

SEAN STEWART

KRAĆ

DOSKONAŁY

Przekład z języka angielskiego

Andrzej Sawicki



Mojej rodzinie

ROZDZIAŁ I

Obudziłem się spięty, spocony i rozdygotany. Znów mi się śniły te upiorne, widmowe drogi. Ta, co przyśniła mi się dzisiaj, zaczynała się przy basenie i szła nią mała dziewczynka, która spoglądała na mnie przez ramię poważnymi, ukrytymi za szklami pływackiej maski oczami. Na nogach miała płetwy, szła powoli, kołysząc się nieco jak kaczką, a mokre ślady znikały pośród niewyraźnie majaczących w oddali czarno-białych domów. Wszystko otulała taka cisza, że dzwoniło mi w uszach.

Zerknąłem na mój odtwarzacz wideo, ale cyfry na panelu migotały monotonicznie:

--00:00--

--00:00--

--00:00--

Czas zerwał się z uwięzi i dryfował leniwie, czemu towarzyszyło to dawno zapomniane uczucie, że jesteś dzieckiem z gorączką, a wokół ciebie zamyka się wieczna noc. Leżałem na nadmuchiwanym materacu w mojej maleńkiej sypialni i całym ciałem wstrząsało przecucie jakiejś okropności. W ustach miałem miedziany posmak. Wytrzeszczonymi oczami wpatrywałem się w mrok.

Zadzwonił telefon, podniosłem więc słuchawkę. - Tak?

- TK?

- Psiakrew, kto mówi? - od dziesięciu lat, od śmierci mojej kuzynki AJ nikt nie mówił mi TK. To ona tak mnie nazwała.

- Tu twój kuzyn, Tom. Tom Hanlon. Mój ojciec ożenił się z przyrodnią siostrą twojej ciotki Dot.

Z głębin mej pamięci wypłynął niezbyt wyrazisty obraz wiecznie poirytowanej kobiety o ondulowanych

włosach, wytykającej wujowi Waylonowi wszelkie zło wynikające z pijaństwa, podczas gdy on pociągał sobie ulubione irlandzkie piwko z papierowego kubka. - W porządku, chyba kojarzę.

- To już inna rozmowa - stwierdził Tom Hanlon. - A ty w ogóle mnie pamiętasz?

- Nic a nic.

- Rozmawialiśmy podczas pewnego rodzinnego zjazdu. Zapytałem cię, jakie są duchy.

- I co odpowiedziałem?

- Nieżywe.

No tak, to było w moim stylu. Oczywiście o duchach można jeszcze powiedzieć kilka innych rzeczy. Różnią się pomiędzy sobą jak demony i wcale nie są takie same, jak na przykład zombi. Niektóre mogą cię dotknąć, a inne nie, jedne są smutne, a inne kompletnie szalone. Najważniejsze jest to, że wszystkie pragną czegoś i to pragną znacznie bardziej, niż wy moglibyście sobie to wyobrazić. Gdybyście mieli choć tyle rozumu, ile Bóg dał karaluchowi, trzymalibyście się od nieboszczyków z daleka.

- Tom - odezwałem się wyłącznie po to, żeby nie uznał mnie za człowieka niegrzecznego. - Czy

zdajesz sobie sprawę z tego, że mamy pieprzony środek nocy?!

- W moim garażu jest martwa dziewczyna.

- To zadzwoń po policję.

- Nie, nie jest martwa w taki sposób. Mam na myśli... normalnie martwa.

No tak.

- Cholera. Nie mogę ci pomóc. Już się tym nie zajmuję. Do...

- Dam ci tysiąc dolców - powiedział. - Przemyśl to sobie.

Przemyślałem. Tysiąc dolców, tylko po to, żeby się pozbyć jednego ducha. To kupa forsy. Tysiąc dolców. Sześć tysięcy opakowań błyskawicznej zupki Ichi-Ban. Przy moim obecnym trybie życia miałbym obiady na jakieś... czternaście lat. Dziesięć porządnych wypraw do któregoś z parków rozrywki Six Flags dla mnie i Megan, włączając w to wszystkie gazowane napoje i frytki, które moglibyśmy wręcić.

- No proszę, jednak nie odkładasz słuchawki - stwierdził Hanlon z wymuszonym śmiechem. - Wiesz, jak to mówią, każdy człowiek ma swoją cenę...

Odłożyłem słuchawkę.

W sześć godzin później, jak w każdą co drugą niedzielę, odwiedzałem moją dwunastoletnią córkę Megan. Megan jest niewysoka, szybka i agresywna. Nie tylko została kapitanem w swojej drużynie piłki nożnej, ale też jako jedyna dziewczyna z całej teksaskiej młodzieżowej ligi piłkarskiej otrzymała w tym roku czerwoną kartkę. „Doskonały wzrok, panie sędzio!” – powiedziała po przeraźliwym gwizdku anulującym gola, klaszcząc urągliwie i nie zwracając uwagi na płynącą z jej rozbitej wargi krew.

Nieodrodna córka swego ojca.

O ile pewną skłonność do uporu odziedziczyła po mnie, po matce ma jasne włosy, zgrabną sylwetkę, zamiłowanie do sportu i - Bogu dzięki! - kompletną niezdolność do widzenia martwych. Nigdy nie mówiłem Megan o mnie i duchach. Żaden dzieciak nie lubi myśleć o swoim ojcu jak o człowieku ułomnym, będącym swego rodzaju wybrykiem natury. Nie prowadzę samochodu, więc kiedy wychodzimy gdzieś razem, jedziemy autobusem, co ona chyba zaczyna uważać za rodzaj kalectwa. Dziś przez całą godzinę siedzieliśmy w sklepie muzycznym na Shepherd i słuchaliśmy darmowych nagrań. Jako pracownik sklepu z karmą dla zwierząt Petco nie zarabiałem zbyt wiele i darmowe nagrania mi pasowały. Jeszcze sześć miesięcy temu byłoby to niezłe popołudnie, ale tym razem Meg była w tak oczywisty sposób znudzona, że dla uratowania sytuacji postanowiłem zaprosić ją na korzenne piwo, ale wtedy usłyszałem, że Meg próbuje nie wchłaniać w siebie zbyt wielu kalorii.

Jezusie!

- Jesteś jeszcze za młoda, żeby rezygnować z piwa - powiedziałem.

Meg uniosła tylko oczy ku niebu.

Powrotna jazda do jej domu w Woodland była długa i uciążliwa dla nas obojga. Woodland to

starannie zaplanowane podmiejskie osiedle na północnych obrzeżach Houston, obsadzone pieczołowicie pielęgnowanymi świerkami i zabudowane średniej wielkości domkami. Nawet restauracyjki sieci Taco Bells są tu czyste i schludne.

- Co słyszeć u Trish i Fondy? - zapytałem, mając nadzieję, że dobrze zapamiętałem imiona nieodstępnych przyjaciółek Megan, łączących za nią jak pomocnicy szeryfa za swoim szefem.

Meg sięgnęła ku przyciskowi dzwonka na żądanie. - Nie mam pojęcia, co robi Trish i guzik mnie to obchodzi. Fonda i Azul są dziś w Six Flags.

Bilety do parku rozrywki Six Flags są po 39,99 dolca od każdej osoby wyższej niż 48 cali, a dodatkowo trzeba bulnąć na autobus, gumę do żucia i napoje Dr. Peppers. Ciężki grosz dla kogoś, kto zarabia jako sprzedawca w sklepie z artykułami zoologicznymi. - Zapraszały mnie, żebym się wybrała z nimi, ale...

Ale twoja matka zmusiła cię do spędzenia popołudnia ze mną...

Podczas minionych dwunastu lat nigdy nie zapomniałem o wigilijnych jasełkach, o świętowaniu zdobycia przez Megan kolejnych sprawności na obozach skautów ani o szkolnych koncertach. Sadziłem dynie na szkolnej działce Megan i na księgarskich wyprzedazach wybierałem książki, które potem oddawałem bibliotece w jej szkole, sprzedawałem też losy na loterii, żeby posłać ją na obóz naukowy. Moja była żona, Josie, powiedziała kiedyś: - Will, jesteś wspaniałym... - zająknęła się - najlepszym z dochodzących ojców, jakiego mogłabym sobie wyobrazić.

Najlepszy dochodzący ojciec w Stanie Samotnej Gwiazdy. Zastanawiam się, czy nie kazać sobie zrobić koszulki z takim napisem.

Wysiedliśmy z Megan w objęcia parnego powietrza Houston na przystanku przed Jamison Middle School. Nad metalowymi zjeżdżalniami w przyszkolnym parku zabaw drgały fale rozgrzanego powietrza.

- Dlaczego na mojej metryce urodzenia nie ma twojego nazwiska? - zapytała mnie Megan.

- Co takiego?

- Mama wczoraj się zdradziła. Przeglądała moje dokumenty. Twojego nazwiska nie ma na mojej metryce. A tatki jest.

Tatkiem był Don, zakuty trep, były żołnierz piechoty morskiej, którego Josie poślubiła w rok po tym, jak puściła mnie kantem.

- Mojego nazwiska nie ma na twojej metryce?

- To właśnie staram ci się powiedzieć.

- Kiedy się urodziłaś - powiedziałem - twoja mama i ja nie byliśmy już razem. Myślę, że uznała, iż lepiej będzie wpisać tam nazwisko Dona.

- A co, nie zrobili testu krwi, czy czegoś w tym guście?

- Nie, myślę, że przyjęli oświadczenie twojej matki. - Może pielęgniary nawet nie zapytały Josie. Może Don poszedł i sam wypełnił te papiery. - Nigdy nie powiedziała ci, że nie jestem twoim ojcem. -

Milczenie. - Nigdy ci nie powiedziała, że Don jest twoim biologicznym ojcem.

- Nie. Zawsze mówiła, że ty nim jesteś. – Zabrzmiało to tak, jakby Meg nie była tego za bardzo pewna.

Kiedy skręciliśmy w podjazd ku domkowi Meg, Josie pomachała nam ręką z okna bawialni. - No to cześć, maleńka - powiedziałem. Pochylając się, żeby pocałować Meg w czubek głowy, zobaczyłem, że nosi biustonosz.

Moja córka zatrzymała się na chwilę na schodach, trzymając dłoń na klamce. - Will, dlaczego nigdy nie miałeś samochodu?

Zaraz potem Josie otworzyła drzwi i Megan znikła wewnątrz domu.

Bardzo często jeździłem autobusami, co w Houston nie należy do dobrego tonu, ale miałem swoje powody. Od dwunastu lat w każdą co drugą niedzielę ja i Megan wychodziliśmy razem i połowa moich wspomnień z tym związanych dotyczyła autobusów. Dziewięciomiesięczna Megan piszcząca z radości, gdy unosiłem ją jak samolocik, dopóki jakieś babsko na przystanku nie stwierdziło: „Nigdy nie widziałam, żeby ktoś traktował dziecko tak nieodpowiedzialnie!”. Megan przez cały czas gulgotała radośnie i tłukła mnie małymi tłustymi piąstkami, domagając się powtórzenia zabawy. Butelki odżywek wystające z kieszeni mojej skórzanej marynarki. Nadal pulchna jak pączus trzyletnia Megan wierzgająca nóżką, aż jeden z jej płóciennych bucików - nazywała je „spadajkami” – nie poleciał, uderzając w głowę jedną z wietnamskich babuń siedzących po drugiej stronie przejścia.

Chuda, ośmioletnia Megan, czytająca ze szkolnej czytanki fragment „Charlotte’s Web”. Patrzę, jak włosy grzywki spadają jej na oczy. Kiedy trafia na jakieś trudniejsze słowo, mruży powieki i wysuwa koniuszek języczka.

A teraz nosi biustonosz, ja zaś nie mam nawet samochodu. Patrzy wyłącznie przed siebie... trzynaście, szesnaście, dwadzieścia jeden... Wszystkie te małe Megan na razie są niewidoczne. Są duchami i tylko ja je widzę.

Nazywam się Will Kennedy. Jestem dość sprytny, choć nie tak, jak mój kuzyn Andy, który jeszcze jako skaut zainteresował się komputerami i teraz pracuje w Krzemowej Dolinie w Austin. Miewałem kłopoty z prawem, choć nie takie, jak mój wuj Jerome, który aktualnie siedzi w mamrze za napaść po przyłapaniu żony w łóżku ze swoim kuratorem sądowym. Rodzina uważa mnie po części za dziwaka, ale nie takiego, jak moja ciocia Dot, która - choć nie opuściła jeszcze łona Kościoła baptystów - uważa, że w poprzednim życiu była królową planety Saturn. (Ciotunia Dot zajęła się badaniem swoich poprzednich wcieleń po kuracji odchudzającej, podczas której - stwierdziwszy, że umarła z głodu w osiemnastowiecznej Etiopii - zrzuciła czterdzieści osiem funtów żywej masy. I utrzymała tę wagę).

Powiedziała mi kiedyś, że na ideę reinkarnacji naprowadziły ją rozmyślania o mnie. Osobiście niełatwo mi uwierzyć w to, że każdy z nas ma za sobą - i przed sobą - wiele żyć. Moi znajomi nieboszczycy mają dość kłopotów z jednym.

Kiedy miałem sześć lat, mój wuj Billy zginął w wypadku przy pracy w fabryce kauczuku Philips

Petroleum. W zasadzie został zamieniony w parę, cały oprócz stalowych zelówek jego roboczych trzewików, które zostały na fabrycznej podłodze jak mokre, srebrne odciski. Statystycznie nie było to wcale zaskoczeniem. Jeżeli jesteś chłopcem dorastającym w Deer Park albo w Pasadenie lub którymkolwiek podmiejskich osiedli na wschód od Houston, są spore szanse, że prędzej czy później trafisz do którejś z rafinerii. Przed śmiercią wuj Billy był diakonem Kościoła Chrystusowego w Deer Park, dokąd chodziliśmy, zanim mama nie przytyła tak, iż nie mogła się wbić w żadną z niedzielnych sukienek. Raz na miesiąc czytał kazanie w szkółce niedzielnej. Pamiętam, że bardzo poważnie traktował podróżę Pawła, ale nie mógł się powstrzymać od plucia na wszystkie strony.

Eksplozja wydarzyła się w pierwszy piątek zajęć w podstawówce, kiedy graliśmy w „pokaż i powiedz”. Rzuciliśmy się do okien klasy i patrzyliśmy, jak po zamglonym teksaskim niebie rozpełza się czarna chmura, jak plama krwi na bandażu. Nie wiedziałem wtedy, że w tym mroku rozpułnął się wuj Billy; usłyszałem o tym dopiero o piątej po południu, kiedy szkolne władze zdecydowały, że mogą nas już wypuścić, żebyśmy oddychając przez zaciśnięte na ustach i nosach dłonie, pobiegli szybko do czekających samochodów, które porozwoziły nas po domach. Moja mama nadal jeszcze lubi opowiadać, jak przedstawiciele kompanii i władz hrabstwa pokazywali się w telewizji, żeby zapewnić wszystkich o absolutnej nieszkodliwości wyziewów znad fabryki, choć przyznawali, że dobrze byłoby, gdyby mieszkańcy pozostali w domach przez resztę tego niezwykle upalnego sierpniowego dnia (temperatura dochodziła do 99°F¹). Pozamykawszy wszystkie okna. I wyłączywszy klimatyzację.

Jak wiele innych dzieciaków w Deer Park obudziłem się pośrodku nocy z krwotokiem z nosa. Miałem poplamioną poduszkę, co powtórzyło się podczas kolejnych dwu nocy. „Opary rozpuszczalnika” stwierdziła mądrze moja dwunastoletnia kuzynka AJ. Jej tatko pracował przy uszczelnianiu przewodów w Brown & Root. AJ (co było skrótem od Anne-Julie) bardzo się interesowała przemysłowym zanieczyszczeniem środowiska naturalnego, ponieważ urodziła się ze zrosniętymi drugim i trzecim palcem na obu stopach.

Następnym razem zobaczyłem wuja Billy'ego w trzy tygodnie później na rodzinnym zlocie. To było wtedy, gdy rodzinne zloty wciąż jeszcze odbywały się podczas pierwszomajowego weekendu, na terenach piknikowych rzeczki Little Blanco. Tym, co najbardziej utkwilo mi w pamięci z tamtych rodzinnych zjazdów, było żarcie. Stoły uginały się pod ciężarem cytrynowych ciast, misek z ziemniaczaną sałatką, żeberkami i soczystymi ćwiartkami melonów. Tamtego roku miła meksykańska żona wuja Raidera, Juanita, przytaskała cały kosz rozmaitych meksykańskich przysmaków, wśród których były tacquitos z kurczaków, o których tatko powiedział, że są zbyt twarde, ale mama uznała, że nie można o to winić Juanity. Powiedziałem, że Carlos, najstarszy synek Juanity zdradził mi w sekrecie, iż jego babcia z domu Braunfeltzer (jakby kto pytał, mama Raidera), nie lubi Juanity, ponieważ jest katoliczką. Tatko i mama spojrzeli na siebie, jakby nie wiedzieli, co powiedzieć, a mama kazała mi pobiec i napełnić swój talerz.

¹ 99°F- temperatura w skali Fahrenheita, ok. 37°C; sposób przeliczania: Temp.°C = (Temp. °F - 32)*5/9 (przyj. red.).

Pobiegłem po hot dogi (robione ze specjalnych niemieckich góralskich kiełbasek, obficie zalanych keczupem z przyprawami) i talerzyk sałatki z rodzynkami, dołożyłem też do tego porządny kawał bananowego puddingu z waflami Nilla w środku. Właśnie nabierałem solidną garść chrupek, kiedy wpadłem na wujaszka Billy'ego. Był tak zimny, że moje opalone przedramię natychmiast powlekleło się gęsią skórką. Był też czarno-biały, jakby wyszedł ze starego filmu. Widywałem już przedtem mnóstwo duchów i natychmiast zrozumiałem znaczenie faktu, że jest czarno-biały. Patrzyłem na nieboszczyka.

Ponieważ jego buty zostały na podłodze rafinerii, stał teraz żałośnie bosy i gapił się na słynną ambrozjańską sałatkę cioci Dot. Ta sałatka była jego ulubionym daniem piknikowym, ponieważ ciocia używała świeżego soku jabłkowego zamiast owocowego koktajlu Del Monte i prawdziwego kremu zamiast Cool Chip. Popatrzył na mnie, a mnie zrobiło się głupio, bo wujaszek nigdy już nie miał doznać rozkosznego smaku bananowego ciągliwego puddingu ani pieczenia bąbelków zimnej coli na języku. Czułem się winny - i jednocześnie uradowany. Cieszyło mnie, że to on jest martwy, a nie ja.

Do czasu, kiedy wuj Billy spotkał się ze swoim Stwórcą w Philips Petroleum, nauczyłem się już nie gadać o nieboszczykach. Nawet moja mama zaciskała wargi i wznosiła oczy do nieba za każdym razem, gdy wspominałem o umarłych. Wszyscy oczywiście wiedzieli, że ich widywałem - w końcu to było małe miasteczko we wschodnim Teksasie - ale ja nie mówiłem już o nich nikomu oprócz mojej kuzynki AJ.

AJ w niczym nie przypominała zwyczajnej dziewczyny z Deer Park. Nosiała okulary a la John Lennon, paliła w swoim pokoiku trociczki i mówiła wszystkim, że jest wiedźmą. Kiedy w domku wuja Walta i cioci Patty zbierali się wszyscy krewni, dorośli gromadzili się w zagraconym frontowym salonie na „rzucanie uroków”, co oznaczało głośne i powoli wygłaszane komentarze baseballowych rozgrywek w TV. W tym samym czasie my, dzieciaki, uganiaлись się na zewnątrz, ignorując ostrzeżenia naszych matek, wyrażających się krytycznie o przebywaniu na upale. Były lata siedemdziesiąte i o ile odkryto już kremy przeciwsłoneczne, wieści o tym odkryciu do Teksasu jeszcze nie dotarły. Każdy szanujący się biały dzieciak musiał się opalić tak, że przynajmniej dwa razy każdego lata złaził mu naskórek z każdego nieosłoniętego cała kwadratowego skóry. Najlepiej zrywało się skórę z uszu - jeżeli robiło się to ostrożnie, można było zdjąć cały naskórek w jednym kawałku, przezroczysty i lekko powyginany, jak porzucona powłoka cykady, którą wtedy nazywaliśmy katydą.

AJ była autorką większości naszych niezłych pomysłów. Czasami wyciągała z garażu szkło powiększające i pozwalała nam na patio wypalać dziury w pudełkach, najczęściej jednak nasze wrzaski i pokrzykiwania działały na nerwy cioci Patty, która polecała AJ, żeby nas zabierała do pokoju rekreacyjnego na tyłach domku, gdzie stał odbiornik telewizyjny tak stary, iż można było na nim oglądać tylko „Strzały w Dodge City” i rysunkowe filmiki, których bohaterem był Popeye. Spieraliśmy się zaciekle o to, co będziemy oglądali, aż w końcu AJ uciszała nas okrzykiem: „Cisza, gnojki!”, gasiła światła i przynosiła jedno ze swoich kaczidetek. Chętnie się uciszaliśmy i zaciągaliśmy zasłony okienne, ona zaś opowiadała nam naprawdę przerażające historyjki o krwiożerczych upiorach pozostałych z załogi

Jean Lafitte² albo o facecie, którego siostra zabrała raz autostopowicza z okolic Nowego Orleanu. Autostopowicz okazał się maniakalnym mordercą, który właśnie zwiął z więzienia w Luizjanie, gdzie przetrzymywano nieuleczalnie stukniętych zabójców.

Raz nawet przyniosła czaszkę spotworniałego dziecka, którą dostała od starej ślepej wróżki w Lake Charles. Kuzynka Doreen, udając obojętność, stwierdziła, że dla niej czaszka wygląda na kocią, ale AJ opowiedziała, że wieść niesie, iż było to dziecko demona: urodziło się z kłami i miało kocie oczy z pionowymi źrenicami, więc gdy tylko rodzice wrócili z nim do domu z porodówki, sami zabili potworka, dolewając do butelki z mlekiem pół puszki środka na muchy. Wszystkim nam zrobiło się go żal, choć był to kociogłowy demon, bo zaraz się uspokoiliśmy i zapadła pełna szacunku cisza. Wiedzieliśmy, że ta historia była prawdziwa i szczególnie bolesna dla AJ, z powodu jej palców u nóg.

Kiedy miałem dwanaście lat, AJ stała się obiektem mojej pierwszej miłości. Oczywiście ona kończyła szkołę średnią, a ja byłem w podstawówce, ale odkryłem, że moje historyjki o umarłych mogą mnie uczynić interesującym. Opowiedziałem jej o panu Johnsonie, starym czarnym woźnym w mojej szkole, który wciąż niemrawo czyścił ubikacje, choć powiesił się na belce w kotłowni najasnopomarańczowej żyłce, kiedy byłem w drugiej klasie. AJ wydawała się rozczarowana tym, że większość duchów zachowuje się bardzo zwyczajnie, ale kiedy próbowałem dodać barw moim historyjkom, żeby upodobnić je do jej opowiastek, zawsze odgadywała, kiedy kłamię. Patrzyła na mnie ponad szkiełkami swoich słonecznych okularów i mówiła tym „murzyńskim” akcentem, którym się posługiwała, żeby wkurzyć swojego ojca: „TK, chcesz, żebym w to uwierzyła?”. TK było skrótem od Truposz Kennedy, co było ksywą, jaką mi nadała. Nauczyła mnie w ten sposób trzymania się faktów.

A potem opuściła szkołę, wyprowadziła się z domu wuja Wälta i znikła w świecie dorosłych, co dla mnie oznaczało inny rodzaj śmierci.

Miałem inne miłostki, spotykałem się z dziewczętami, ale tamto pierwsze uczucie nauczyło mnie, żebym nie rozmawiał z nimi o duchach i tego się trzymałem, aż do pierwszego roku w szkole średniej, kiedy zacząłem chodzić z Josie Wells. Josie była jedyną dziewczyną w historii szkoły średniej w Deer Park, która przetrwała wszystkie sezony w zespole cheerleaderek, a potem zrezygnowała nie z powodu ciąży. Była blondynką, miała sześć krążków w lewym uchu i dwójkę beznadziejnie zaćpanych rodziców. Pobraliśmy się w miesiąc po ukończeniu szkoły i przenieśliśmy się do Houston. Po pierwsze, dlatego że miałem cholerną ochotę na zamieszkanie gdziekolwiek, gdzie nikt na mój widok nie zaczynał nucić „Ghost Riders in the Sky”³, a po drugie, dlatego że nigdy nie jest za wcześnie na wyniesienie się z Deer Park.

Po dwu latach Josie puściła mnie w trąbę. Była wtedy w ciąży. Przez następne dziesięć miesięcy objąłem się po najróżniejszych miejscach: spałem w domach przyjaciół, noclegowniach, zaparkowanych samochodach i dwukrotnie w wesołym miasteczku Hermann Park. O tym, że twoje życie idzie w złym

² Jean Lafitte - pirat grasujący w Zatoce Meksykańskiej na przełomie XVIII/XIX w. (przyp. red.).

³ Stary standard country.

kierunku dowiadujesz się, gdy usiłujesz namówić swój tyłek, żeby zasnął na wiszącej oponie.

W końcu pozbierałem się na tyle, że zamieszkałem w blokowisku Parkwood Apartaments, leżącym pomiędzy Astrodrome⁴ a Texas Medical Center. Parkwood to sześć zwykłych, zbudowanych z kiepsko wypalanej cegły bloków, z których każdy mieścił cztery bliźniacze mieszkania. Kompleks zbudowano pod koniec lat pięćdziesiątych i należał do Baylor College of Medicine. Zarządzanie nieruchomościami nie należało do specjalności Baylor i w rezultacie zarówno utrzymanie budynków jak i czynsz były spóźnione o pięć lat. Oferta była niezwykle kusząca jak na moją kieszeń. Wielu moich sąsiadów pochodziło z egzotycznych krajów, takich jak Chiny, Pakistan lub Idaho, niektórzy byli też obarczeni rodzinami i dziećmi. Kiedy Tom Hanlon zadzwonił do mnie z powodu martwej dziewczyny w jego garażu, żyłem tu od niemal jedenastu lat, tyleż samo razy lądując na bruku.

Co noc w każdy poniedziałek mój kompan Lee zaciągał mnie na Wieczór Indoktrynacji Zagranicznymi Filmami w jego mieszkaniu, leżącym na górnym piętrze naszego „czworaczka”. Lee zaznajomił mnie z bohaterami filmów akcji produkowanych w Hongkongu - Jackie Chanem, Jetem Li i z hinduskimi filmami katastroficznymi. Był także zwolennikiem sowieckich, produkowanych w Armenii filmów muzycznych. Lubił mówić, że nie wiesz, jak masz dobrze, dopóki nie zobaczysz przedstawicieli armeńskiego proletariatu, którzy intonują radosną pieśń na posadzce w fabryce traktorów.

W dzień po moim niezbyt udanym wyjściu z Megan mieliśmy w planie kolejny seans, ale udało mi się stracić pracę w sklepie Petco, co odebrało mi sporo zapału. Cóż, człowiek się starzeje. Kiedy byłem pięknym dwudziestokilkulatkiem, dni, w których mnie wylewano z pracy, stawały się zwykle trzema lub czterema najpiękniejszymi dniami w roku. Gdy aktualna praca zaczynała mnie nudzić, zabierałem się do eksperymentowania, szukając słabych punktów u przełożonych. Na przykład w galerii mody męskiej samo nałożenie kremu na twarz nie wystarczyło, żeby zaryzykowali pozew o nieuzasadnione zwolnienie z pracy, ale nieznaczne, choćby i kiepskie pomalowanie ust pomadką sprawiło, że nie wytrzymali i wylali mnie na bruk.

Tak czy inaczej kończyło się na poszukiwaniu nowej pracy. (Miałem prawo do zasiłku, ale nie lubiłem z niego korzystać. Wiecie, stawanie w jednej kolejce z osieroconymi kalekami bywało dość kłopotliwe. A zresztą zasiłek nie wystarczy, jeżeli musisz sprzedawać migdały w czekoladzie po dolarze za paczkę, żeby posłać córeczkę na obóz naukowy).

Szedłem przez rozgrzany korytarz, żeby powiedzieć Lee, że zamierzam zrezygnować z Poniedziałkowego Filmowego Szaleństwa. Parkwood Apartaments nie zniża się do zadbania o takie rzeczy jak klimatyzacja, więc hall, klatka schodowa, półpiętra i korytarze w moim budynku utrzymują mniej więcej stałą temperaturę 93°F od maja do października, a zagrzybione wykładziny śmierdzą jak trampek po sezonie. Pukając do drzwi Lee, zamieniłem kilka pijanych upałem moskitów w czarne plamki.

Lee pojawił się w drzwiach, trzymając w dłoniach dwie otwarte już butelki piwa Pacifico.

⁴ Dzielnica w Houston położona przy obserwatorium astronomicznym (przyp. tłum.).

Byliśmy rówieśnikami, ale on był przystojny w ten niedbały sposób, który sprawiał, że dojrzałe kobiety miały ochotę na noszenie jego koszul. Wylewano go z pracy rzadziej niż mnie i trafiało mu się więcej obłapek. Na ten wieczór włożył luźną, wzorzystą, brzoskwińową koszulę i obcięte na szorty džinsy.

- Buszmen! - powiedział, podając mi browar. - Tsui Hark przenosi chińskiego Skaczącego Wampira na pustynię Kalahari. Klasyka!

- Nie mogę - odezwałem się, biorąc piwo.

Obrzucił mnie szybkim, taksującym spojrzeniem. - A... trafiło cię, co? - Lee i ja mieliśmy umowę, że w danej chwili tylko jeden z nas mógł być zdołowany. Jeżeli któryś z nas miał gówniany nastrój, drugi powinien był go z tego wyciągać. - Znowu cię wylali?

- Pierdol się. To mogła być miłorć mojego życia.

- Ty nie masz życia miłosnego. Więc... masz zamiar olać film i po prostu zostać w domu i poleżeć? - zapytał, nadal stojąc w otwartych drzwiach.

- Taaa... - odpowiedziałem, wchodząc do środka. Usiadłem przy stoliku kuchennym.

- Zostało mi jakieś żarcie. Jak się załatwiłeś tym razem?

- Zjadłem kocie żarło.

- Znaczący, napchałeś się kociego żarła i nie masz ochoty na resztki - zapytał Lee - czy objadłeś się kocim żarłem, żeby cię wylali?

- To drugie. Widzisz, po pierwsze z samego rana zobaczyłem, że ekipa sobotnich sprzątaczy pomieszała tacki z żarciem dla psów.

Pies Lee, terier o imieniu Frank przyczłapał i spojrzał na mnie, czekając na pieszczoty.

- Tak naprawdę ta historia nie dotyczy żarcia dla psów - zwróciłem się do niego. - Żarcie dla psów to tylko historyjka wprowadzająca. - Frank opuścił uszy i ułożył się pod stołem do drzemki.

Lee pociągnął długi łyk piwa.

- Wiesz, przez ciebie zrobiłem się głodny. - Wszedł do kuchenki. - Chcesz trochę? Przed pójściem do pracy Vicky zrobiła kurczaka w ostrym sosie.

- Najbardziej ją lubię ze wszystkich twoich aktualnych dziewcząt. - Ja sam w kuchni to krew, pot i łzy.

- Długo tak będziesz kołował, zanim przejdiesz do tej części, w której wszystko spieprzyłeś? - Lee krzątał się przy kuchence, układając udka na talerzu z ryżem i zalewając wszystko ostrym sosem. - Dam głowę, że ta część jest najśmieszniejsza.

Wygulgałem swoje piwo do połowy, wciąż usiłując splukać obrzydliwy smak kociego żarcia.

- Krótko i węzłowato. Jestem zmęczony i wkurzony, kiedy wtacza się pani Belton. To stara, złośliwa wiedźma, która wpada trzy razy w tygodniu, żeby zdać zdrapki z kociego żarcia i poskarżyć się na obsługę. Dziś przylazła, żeby się poskarżyć, że NutroMax, które jej sprzedaliśmy, było zepsute. To jest suche żarcie w zamkniętym, napełnianym próżniowo opakowaniu. Więc grzecznie sięgnąłem do worka, wziąłem trochę...

- I zjadłeś! - uśmiechnął się szeroko Lee. - O kurwa! To jest walka o klienta i jego opinie o jakości towaru! Powinni ci dać podwyżkę!

- Mogłoby się tak wydawać. A ja zacisnąłem zęby (wciąż jeszcze poplamione tym kocim żarciem) i powiedziałem Philowi Bezchujcowi, mojemu szefowi, że jego zastrzeżenia dotyczące pryskania klientowi w twarz okruciami kociego żarcia, są jak najbardziej uzasadnione, nawet jeżeli tymi klientami są rozwrzeszczane stare małpy. A on i tak mnie wylał.

Lee i ja rozważyliśmy moją sytuację nad talerzem meksykańskiego żarcia. Zrezygnowałem z nauki po skończeniu szkoły średniej. Już wtedy wiedziałem, że to głupie, ale jest istotna różnica pomiędzy wiedzą, że coś jest głupie, a skorzystaniem z tej wiedzy. - Sęk w tym, że nie mam, kurwa, nic, co mógłbym sprzedać - powiedziałem gdzieś tak po trzecim browcu. - Jak miałem dziewiętnaście lat, cholernie nienawidziłem myśli o dorostaniu i regularnej robocie, no wiesz, od dziewiętej do piątej gdzieś na przedmieściach. Wszystkie programy, jakie oglądałem w TV, wciskały mi piwo. Teraz wciskają mi ubezpieczenie na życie, plany finansowe... i, kurwa, mam na nie chętkę!

- Następne będą leki na serce - stwierdził Lee. - A także rozmaite urządzenia pomagające w gospodarstwie domowym.

- I viagra - stwierdziłem ponuro.

- A co, była ci kiedyś potrzebna?

- Odpierdol się - uśmiechnąłem się znad piwa. - Ale im jestem starszy, tym trudniej się załapać nawet na jakąś gównianą robotę. Kurwa! Nie cierpię myśli o braku forsy! - Lałem w gacie i bałem się utraty forsy nawet dziesięć lat temu, kiedy nikt jeszcze nie przyłapał mnie na gadkach z nieboszczykami. Jakież to upokarzające. - Jezusie! Lee, ja nie mam nawet państwowego prawa jazdy. Nie mogę prowadzić wielkich ciężarówek. Nie umiem nawet pisać na maszynie.

- Zawsze możesz pójść w kamasze - podsunął Lee.

- Albo nająć się do roboty w którejś z rafinerii.

- Na jedno wychodzi - stwierdził. Wypiliśmy pod to stwierdzenie.

Skończyliśmy jeść i wrzuciliśmy talerze do zlewu. Wyciągnąłem się na kanapie, a Lee uruchomił odtwarzacz i rozsiadł się na obszernym leniwcu, podczas gdy na niebieskim ekranie telewizora leciało ostrzeżenie FBI. Terier zajął swoją ulubioną pozycję „filmową”, kładąc się przy stopach Lee.

- Wiesz, co mówią o tym, co nas nie zabija? - zapytał filozoficznym tonem Lee, łykając kolejny haust browaru.

- *Que?*

- Ze tak czy owak, boli jak cholera.

- Amen - zakonkludowałem.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Dobrze po północy wciąż się wsłuchiwałem w równomierny stukot mojego stareńkiego adapteru, który przegrywał kolejną bitwę z gniotącym Houston upałem. Leżałem na materacu w moim studio, pocąc się obficie wszystkimi porami swędzącego nieznośnie ciała i

wciąż rozważałem idiotyczne myśli: nie mogłem zabrać małej nawet do Six Flags, więc jak dam radę wepchnąć ją do college'u? Dlaczego na jej świadectwie urodzenia nie ma mojego nazwiska? Kiedy, do cholery, ona zaczęła nosić biustonosz? A skoro już do tego doszło, dlaczego wciąż jest bardziej płaska niż Autostrada Zachodnioteksańska? I tak w kółko, powtarzałem te bezsensowne pytania jak mój stary adapter z uszkodzoną płytą.

To śmieszne, ale Megan prawdopodobnie nigdy nie widziała winylowej płyty.

Podwinąwszy materac, wyciągnąłem „Houston Chronicle” sprzed trzech dni i zacząłem przeglądać dział ogłoszeń, szukając pracy z pięciocyfrową gażą dla faceta, którego bardzo interesuje alternatywna muzyka i nie jest przesadnie wykształcony. Wybór był dość ograniczony.

O drugiej nad ranem dałem za wygraną i wyszedłem na zewnątrz. Houston jest w zasadzie betonową patelnią pełną bagiennej wody. Gdzieś tak na wysokości mają słońce zaczyna powoli podgrzewać ją do punktu wrzenia i podtrzymuje ten stan do końca października. Nawet o drugiej nad ranem człowiek się pocił, dusił i dręczył go niepokój. Po chodniku śmignęły trzy karaluchy, każdy wielkości mojego kciuka - tak wielkie, że rzucały cień w żółtawym świetle ulicznych lamp. Przeszedłem wzdłuż ulicy Cambridge do Holcombe, a potem ruszyłem ścieżką nad Bras Bayou. „Bayou” to romantyczne określenie, jakiego południowcy używają, żeby nie mówić: „wielki, betonowy kanał ściekowy”. Te kanały teoretycznie powinny nas chronić w razie wielkich ulew, ale nie zapobiegają powodziom - dają tylko dodatkową godzinę na dotarcie do wyżej położonych terenów.

Szedłem wzdłuż Bras Bayou, aż ścieżka zanurzyła się pod mostem Fannina. Patrząc z dołu, nie mogłem zobaczyć wozów przejeżdżających mi nad głową - widziałem tylko błyski reflektorów i słyszałem syk opon.

Przede mną ścieżka znikła w mroku pod mostem. Stał tam jakiś człowiek, niby dozorca - widziałem tylko jego sylwetkę. Zwolniłem. Pod tymi mostami koczowało wielu bezdomnych. Ten facet miał na głowie mocno podniszczony kask ochronny, ale był boso i bez skarpetek. Zacząłem się zastanawiać, czy jak dam mu dolca, nie uzna mnie za źródło dodatkowego dochodu, który może osiągnąć, dając mi w łeb. Zwolniłem jeszcze bardziej. Teraz byłem już dość blisko, żeby usłyszeć, jak mamrocze coś pod nosem... chyba jakiś werset biblijny.

Postanowiłem zawrócić, kiedy podniósł twarz i zobaczyłem, że to martwiak. Jego nagie stopy, blade policzki i kask były czarno-białe, i miał to martwe spojrzenie, jakie często miewają umarli. Podziemne oczy.

- Stopy jego niczym lśniący spiz, jakby w ogniu wypalone - powiedział nieboszczyk. - A głos jego jak szum wielu wód.

- Chryste! - szepnąłem. - Wuj Billy?

Wciąż miał na sobie swój kombinezon Browna i Roota. Z portek wystawały mu nagie stopy, białe jak pieczarki. Zawsze go pamiętałem jako upierdliwego faceta w średnim wieku, ale teraz pojąłem, że

zginął w wieku lat trzydziestu dwu czy trzech. Był wtedy w moim wieku. Doznałem przemożnego uczucia, że czekał specjalnie na mnie: lata całe czyhał, aż przyjdę do tego betonowego ścieku i zostanę zmyty do czarnej wody.

Zimne światło jednej z ulicznych latarni ukazywało pasmo nieba nad naszymi głowami. Brzegi bayou wyglądały na bardzo wysokie. W dole był mrok, gęsty, ciężki i głęboki. Brudne wody gulgotały i szemrały, a ich głos echami odbijał się od sklepienia mostu. Usta miałem pełne smrodu zgnilizny. Serce waliło mi jak młot. Każde uderzenie wstrząsało moją piersią. Po mojej twarzy przemknęło spojrzenie ślepych niczym kamienie oczu Billy'ego. - Bądź wierny aż do śmierci - powiedział - a dam ci koronę żywota⁵.

Zeskoczyłem ze ścieżki i śmignąłem ku brzegowi, drapiąc palcami błotniste zbocze. Piałem się w górę, strącając resztki kartonowych opakowań i puste puszki po piwie. Ślizgając się i wierzgając nogami, chwyciłem kępy długiej trawy, wrywałem je i podciągałem wyżej, aż wydostałem się z mrocznego rowu. - Lecz mam ci za złe - zawołał wuj Billy z mrocznej otchłani - że porzuciłeś pierwszą twoją miłość⁶.

Na poziomie ulicy noc wydawała się zwyczajna, banalna i głęboka. Płonęły światła budynku biurowca Tekszańskiego Centrum Medycznego. Od strony skrzyżowań dolatywały odgłosy ulicznego ruchu. Gnałem, nie oglądając się za siebie, pędziłem jak ścigany zając wzdłuż mostu Fannina, a potem Old Spanish Trail, słysząc tupot moich butów i swój chrapliwy oddech. Nie zatrzymałem się, aż wpadłem na tylne schody mojego bloku i znalazłem się bezpiecznie w mojej kuchence.

Ostatni raz widziałem wuja Billy'ego w 1977 roku. Codziennie po szkole oglądałem „Batmana”. Żył jeszcze wtedy mój dziadunio Jay Paul, choć przesiadywał w domu opieki, który później miał zostać zamknięty po tym, jak trzech pielęgniarzy zostało oskarżonych o molestowanie seksualne starszuchów. David Bowie był w Berlinie, pracował nad wspinałymi płytami takimi jak „Low” i „Lodger”, ale w Deer Park nawet taka buntownicza jak AJ znała jedynie „Space oddity”. W 1977 roku Josie zaczynała się dopiero rozglądać po świecie, opuściwszy swoją beznadziejnie zaćpaną rodzinę. Do naszego spotkania miało dojść dopiero za kilka lat.

Teraźniejszość jest liną rozciągniętą nad przeszłością. Sekret przejścia po niej tkwi w tym, żeby nigdy nie patrzeć w dół. Nie szukać tam nikogo, nawet członków najbliższej rodziny. Trzeba po prostu udawać, że się nie słyszy głosów ludzi, którzy runęli w mrok.

Na moim aparacie migało czerwone światełko. Wiadomość zostawił Tom Hanlon, który informował mnie, że jego oferta wciąż jest aktualna. Tysiąc dolców, żeby zobaczyć, czy nie da się czegoś zrobić w sprawie martwej dziewczyny w jego garażu.

⁵ Objawienie św. Jana, 2, 10 (przyp. tłum.).

⁶ Objawienie św. Jana, 2, 4 (przyp. tłum.).

Dość długo gapiłem się na aparat, rozmyślając o Megan i opłacie za autobus, czynszu i fakcie, że nie miałem już pracy. Tak właśnie dziewczynki zostają dziwkami, pomyślałem. Kiedy jedyną rzeczą, jaką możesz sprzedać, jesteś ty sam, to leżysz i kwiczysz.

Zadzwoniłem do Toma.

ROZDZIAŁ II

Zaczęło się od płaczu - stwierdził Hanlon. – Kilka tygodni temu siedziałem do późna; musiało być dobrze po północy. Lało. Tak czy owak byłem już w łóżku i szykowałem się do snu. I nagle naprawdę poczułem strach i usłyszałem płacz tej dziewczyny, tak cichy, że pomyślałbym, iż mi się wydaje, w głębi duszy wiedziałem, że nie. Ona płakała w moim garażu. Spięło mnie tak, że poczułem ciarki na skórze. Następnego nocy było tak samo. Próbowałem się schlać przed pójściem do łóżka, ale to tylko pogarszało sprawę. A teraz słyszę ją cały czas. Ona wie, że ją słyszę.

- Widziałeś ją?

- Nie.

Świetnie. Kiedy rzecz sprowadza się wyłącznie do dźwięków i głosów, w dziewięciu przypadkach na dziesięć mówimy o schizofrenii. Schizofrenia na swój sposób jest tak samo realna i przerażająca jak duchy, ale ja głównie mogę z nią zrobić. - Wiesz, kim ona jest?

- Ni cholery.

- Czy bywa tak, że niekiedy słyszysz ją częściej niż zwykle? - zapytałem. - Na przykład tylko w nocy?

- M-może wtedy, jak pada. TK? Domyślasz się, co to może być?

- Mów mi Will. Nikt już nie nazywa mnie TK.

- TK, ja przez nią dostanę pierdolca! Nie mogę jeść, nie mogę spać, spóźniam się na spotkania, zawalam transakcje. Naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Nie brak mi forsy. Jeżeli zdołasz wymyślić coś, co zmusi ją do odejścia, jutro wypiszę ci czek.

O kurwa!

- No, nie wiem...

- Jezusie, Will. W końcu jesteśmy rodziną. Myśl o rodzinie i tysiącu dolarów.

Wyjrzałem przez okno mojego pokoju. Dużo bym dał za to, żeby nie potrzebować tego tysiąca. Odbicie mojej bladej zmęczonej twarzy odpowiedziało mi ponurym spojrzeniem. - A co tam! Wpadnij po mnie jutro, to zobaczę, co się da zrobić.

Milczenie. - Wpaść po ciebie? A nie mógłbyś...

- Napisać ci recepty? Jak chcesz mi zapłacić, żebym to załatwił, to załatwię to sam. - Długie milczenie ze strony Hanlona. - Hej, Tom, sraj albo złaż z kibla. Wybór należy do ciebie.

- Sęk w tym, że teraz jestem naprawdę zajęty - wybąkał Tom. - Nie mam... Nie sądzę, żebym dał radę się urwać...

- To buenos, kurwa, noches. - Odłożyłem słuchawkę i tysiąc dolarów. Jeżeli jest coś gorszego od kurwy, to tym czymś jest kurwa, którą wzgardzono. - Niech to szlag!

Prawdopodobnie tak było lepiej. Kuzyn Tom skłaniał się chyba ku schizofrenii i jedyną rzeczą, która mogła spławić jego upiora była solidna, długotrwała kuracja w wariatkowie. W sumie, na dłuższą

metę, obaj na tym lepiej wyjdziemy. Co prawda... Tysiąc dolców! - Kurrrrwa - wrzasnąłem i kopnąłem ścianę tak mocno, że został na niej odcisk mojego buta.

Włączyłem stereo i trzydzieści osiem razy pod rząd wysłuchałem „Wild Child”.

Dwa dni później, kiedy słuchałem Bauhausów, Tom Hanlon zadzwonił ponownie. Nie spał od dwu dni, dzwonił ze swojego samochodu i gdybym miał czas, to czy nie byłbym tak uprzejmy, żeby wpaść do niego w nocy?

Hanlon zatrzymał się przed moim apartamentem o ósmej wieczorem. Tamta czerwcową noc była bardzo parna. Tom przyjechał nissanem staną, który swoje najlepsze dni miał już za sobą. Sięgnąłem w głąb szafy na korytarzu, zastanawiając się, czy nie włożyć swojej starej skórzanej marynarki, tej z haczykami na ryby wszytymi pod spód obu klap. Nie zakładałem jej od dnia, w którym zabrałem Megan do kina, i dostałem prawie zawału, kiedy ona sięgnęła po te lśniące haczyki swoimi tłustymi dziecięcymi paluszkami.

Ale dziś wybierałem się do domu faceta, któremu prawdopodobnie odbiło i te haczyki mogłyby mi się przydać. Spece z Ultimate Fighting Challenge⁷ utrzymują, że w dziewięćdziesięciu procentach przypadków prędzej czy później bójka kończy się na ziemi, w parterze. Mogę to potwierdzić doświadczeniem utarczek z czasów mojej bujnej młodości, bo kilka razy jakiś skurwysyn, chcąc przyłożyć mi z byka, chwycił mnie za klapy i nadziewał się na garść haczyków Eagle numer 8. Walkę kończyły moje uderzenie bykiem i jego złamany nos. Oczywiście wszystko to działo się za starych dobrych czasów w dość przyzwoitej dzielnicy, gdzie mogłeś się spodziewać co najwyżej motylka lub rulonu monet w ręce przeciwnika, a nie automatu Mac-10 z ponacinanymi na krzyż pociskami.

Z drugiej strony noc była parna, temperatura dochodziła do 98°F, a całe miasto śmierdziało jak kubeł gotowanych krewetek. Zostawiłem marynarkę w szafce z poczuciem, że prawdopodobnie popełniam błąd.

Ubrałem się więc odpowiednio lekko: koszula z Mens Wearhouse, czarne dżinsy i para starych klasycznych czarnych martenów. Nie noszę już żadnej biżuterii. Moja ślubna obrączka leży w butelce z aspiryną w aptecznej szafce. Zawsze chciałem ją wyrzucić, ale nigdy tego nie zrobiłem. Przez całe lata nosiłem kolczyk lub jakiś wisior w lewym uchu, ale małeńka Megan często je łapała i ciągnęła, więc z nich zrezygnowałem, a otwór się zasklepił i wizja faceta noszącego klipsy przestała mnie bawić. Teraz Megan dorosła i znów mógłbym przedziurawić ucho, ale żeby aktualnie być trendy, musiałbym sobie wczepić krowi dzwonek w sutek. Niełatwo jest zdobyć się na takie poświęcenie, kiedy masz na karku trzydziestkę i jesteś trzeźwy.

Irokeza zgoliłem, kiedy zaczęła prześwitywać przezeń łysina.

Wyszedłem z mieszkania, nie trudząc się zamykaniem drzwi. Na korytarzu zgniły aromat

⁷ Amerykańskie stowarzyszenie zajmujące się organizowaniem pozbawionych reguł walk na gołe pięści (przyp. red.).

przepononych skarpet mieszał się z zapachami z kuchni Vicky - sądząc z zapachu, zrobiła domowe tamales i kurczaka z czosnkiem.

Człapiąc po schodach zląłem na dół i wyszedłem wprost w objęcia ciepłej mżawki. Przekraczając krawężnik, zobaczyłem płynący z prądem zużyty kondom, który znikł w otworze ścieku.

Hanlon przechylił się od kierownicy i otworzył boczne okienko nad siedzeniem pasażera. - Nie masz żadnych przyrządów - stwierdził. - Wiesz, dzwonki, świeczki i Biblia.

- A co, ta dziewczyna jest katoliczką?

- Nie mam pojęcia.

- Ja też nie.

Tom Hanlon zaczynał łysieć, a teraz był wyraźnie zmęczony. Miał na sobie angielski płaszcz przeciwdeszczowy, który był pewnie drogi, kiedy go kupował - mniej więcej wtedy, gdy zwalono mur berliński. Teraz okrycie to zdobiło kilka plam po kawie i tonerach do drukarek. Brakowało mu też dwu dolnych guzików. Wygląd wozu Toma zdradzał, że właściciel spędzał w nim wiele czasu: na tylnym siedzeniu leżały złożone mapy drogowe i torebki po chipsach, a w uchwycie na kubki tkwiły jeden w drugim trzy papierowe pojemniki kawy „Siódma Rano”. Na półce pod tylną szybą leżały stosy kuponów z rozmaitych sklepów i przydrożnych restauracji. Wszystko to razem pozwoliło mi na wysnucie niezwykle przenikliwego wniosku, że Hanlon był akwizytorem. Mój tato stracił rok, sądząc, że wzbogaci się na sprzedaży tanich jonizatorów powietrza. Znałem te oznaki. Hanlon zmierzył mnie taksującym spojrzeniem. - Teraz mnie sobie przypominasz, TK?

- Wcale.

- Nie za bardzo się zmieniłeś - powiedział.

Stałem obok drzwi wozu, a po moim czerepie spływały krople deszczu. Nie byłem tak szalony, żeby wsiąść do samochodu nawiedzonego faceta, który nie spał dwa dni.

Hanlon poklepał się po kieszeni marynarki. - Mam tu całą forszę. W gotówce. Nowiutkie banknoty trzydolarowe.

- Wspaniale - skwitowałem żart.

Wlazałem do samochodu. Mój kuzyn wyciągnął rękę i wymieniliśmy uścisk dłoni. Miał jastrzębi nos, jak ciocia Dot; i oczywiście to niesamowite spojrzenie, jakie zawsze mają nawiedzeni.

Podjechaliśmy do końca mojego bloku i skręciliśmy na Old Spanish Trail. Krople deszczu zostawiały na przedniej szybie cieniutkie niteczki, szybko unicestwiane przez wycieraczki. Wyprzedził nas jakiś szybko jadący wóz, zostawiając na mokrej nawierzchni ulicy ślady, które znikwały, gdy na nie patrzyłem.

Na skrzyżowaniu z Fannin Street światła reflektorów wozu Hanlona wyłowiły z mroku starą Koreankę z torbą pełną zakupów. Kobieta zamarła w bezruchu. Chwyciłem za klamkę z mojej strony i głośno krzyknąłem, gdy stojąca postać przenikała mknącą prosto stanzę. Powiew chłodnego powietrza sprawił, że dostałem gęsiej skórki.

- Co u diabła? - podskoczył Hanlon.
- Przepraszam. - Zmusiłem się do puszczenia klamki. - Wydało mi się, że coś widzę.
- Ducha?
- Taaa...

Minąwszy Astrodrome skierowaliśmy się ku Pętli i 610. - TK, robisz sobie ze mnie jaja?

- Nie wiedziałem, że nie była prawdziwa - stwierdziłem. - Wydawało mi się, że zaraz kogoś rozjedziesz.

- Nie mogłeś mnie uprzedzić?

- Nie po ciemku. - Nie miałem niczego przeciwko wyjaśnieniu mu tej historii z czernią i bielą, która na dodatek sprawiała, że w nocy rozróżnianie martwych i żywych stawało się trudniejsze.

- Czy to nie jest niebezpieczne? - zapytał Hanlon. - Znaczy, jak ty prowadzisz wóz?

- Sam nie używam żadnych samochodów. Dwa razy rozbiłem samochód tatki, hamując z powodu nieboszczyków. Straciłem prawo jazdy. Najczęściej jeżdżę autobusami.

Hanlon wytrzeszczył na mnie oczy:

- Nie prowadzisz samochodów?

Zawsze potrafię czymś zaskoczyć, choćby najbardziej znudzonego niezwykłościami krajowca z Houston.

Mój kuzyn skręcił w zjazd na 610, przyspieszył przy wjeździe na autostradę i zjechał na boczny pas, pozwalając innym wozom przemykać obok nas. Prowadził jak człowiek, który za kierownicą spędził mnóstwo czasu. Trzymał się prosto i ciągle potrząsał głową. Wycieraczki poruszały się w rytmie uderzeń znużonego serca, zgrzyt-puk, zgrzyt-puk. Jechaliśmy autostradą na zachód, a ja gapilem się przez boczne okno na przemykające obok nas domki i tablice reklamowe, wyławiane z mroku przez światła reflektorów.

- Hej, Will? Kiedy ostatnio byłeś w Deer Park?

- Niezbyt dawno.

Pomyślałem o wuju Billym i jego prześlizgującym się po mnie spojrzeniu martwych oczu. *Lecz mam ci za złe, że porzuciłeś pierwszą twoją miłość. Bądź wierny aż do śmierci, a dam ci koronę żywota.*

W nocy trudniej jest odróżnić żywych od martwych, a jeszcze trudniej odróżnić widmowe drogi od prawdziwych. Kiedy byłem dzieciakiem, nie było w Deer Park zbyt wielu widmowych dróg - nie tyle, ile ich mieli, powiedzmy, w Galveston albo w Four Ward, ale widywałem przynajmniej jedną za każdym razem, gdy jechałem autobusem do szkoły. Nie zawsze jednak pozostają w tym samym miejscu. Jednego dnia może to być długa, szara aleja ciągnąca się za 7-Eleven. Wszystko jest na niej czarno-białe, ostre i wyraźne, tak że mógłbyś policzyć każde ziarenko piasku w betonie albo rozróżnić wyraźne szczeliny w słupach telefonicznych i zobaczyć rdzewiejące pinezki pozostałe po starych ulotkach reklamowych. Ale następnym razem, kiedy idziesz po puszkę napoju do automatu, ulica wygląda zupełnie zwyczajnie; na drutach siedzą gawrony, a w żywoplotach pełno jest czerwono-białych, pogniecionych puszek po coli.

Sam nigdy nie łąziłem po widmowych drogach, nawet wtedy, gdy porzuciła mnie Josie. Są miejsca, po których chodzić nie należy.

- Duch właściwie nie może ci wyrządzić krzywdy, i prawda? - odezwał się Hanlon. - Ona nie może... no wiesz... nie może mnie dotknąć?

- Większość duchów nie. Ale zawsze mogą ci śmiertelnie przestraszyć. Słyszałeś o ludziach, którzy uważali się za Jezusa. Wierzyli tak mocno, że w ich dłoniach otwierały się krwawe dziury po gwoździach. - Kiedyś mówiła mi o tym AJ. - Znałem kiedyś faceta nawiedzanego przez martwą dziewczynę. Chłastała go sprężynowym nożem. Na początku niczego nie czuł, ale po kilku tygodniach na jego skórze zaczęły się otwierać rany.

Hanlon wytrzeszczył na mnie oczy. - Mój Boże! I co zrobiłeś?

- Dałem mu paczkę plastrów Kubuś Puchatek.

- Nie mów!

- To nie były wielkie rany. Kiedy zrozumiał, że najgorszą z nich może zalepić plastrem, jego strach zaczął maleć, a jej było coraz trudniej go nastraszyć.

Hanlon parsknął zduszonym śmiechem. - Podejrzewam, że dlatego właśnie tak dobrze ci płacą.

Przed nami uciekały w dal autostradą żółte tylne światła wyprzedzających nas wozów. Zadałem pytanie, jedno z tych, które zawsze zadaję nawiedzonym: - Tom, kim chciałeś zostać, jak dorośniesz?

- Szpiegiem. - Hanlon uśmiechnął się bezwiednie. - Chciałem być tajnym agentem. Amerykańskim Jamesem Bondem. Miałem wtedy dwanaście, może trzynaście lat. Naładowany Walther PPK. Mikrokamera. Wykradanie Roskim tajemnic, żeby uratować Amerykę. Bardzo cichutko. Nic w gazetach, żadnych wywiadów w TV. Uścisk dłoni prezydenta. Szybki samochód.

Wielkie marzenia, mizerne życie. Samotnik. Nawiedzony. Cóż, to po prostu wspaniałe. Pierdolony Cobain.

Ogólnie rzecz biorąc, dzielę ludzi - żywych i martwych - na pięć typów:

1. Budda;
2. Serce Bajarza;
3. Cobain;
4. [Kuba] Rozpruwacz;
5. Zombie.

Korzystam z tego podziału na dwa sposoby. Po pierwsze, żeby określić, z jakim duchem mam do czynienia. Jeśli ktoś jest ścigany przez wyrzuty sumienia, znaczy mamy honor z Sercem Bajarza. Na przykład mamusia, która pozwoliła się dziecku utopić w basenie. Jeżeli choć częściowo uwolnisz ją od poczucia winy, duch przestanie ją dręczyć. Korzystam też z tej samej systematyki, żeby osądzić, jacy będą, wracając po śmierci. Buddowie nigdy nie wracają: sami sobie radzą ze wszystkim i są rozliczeni ze światem. Budda powiedział, że korzeniem wszystkich cierpień jest pożądanie. Jeśli nie chcesz cierpieć, przestań pragnąć czegokolwiek. Z tym właśnie zawsze miałem problemy.

Cobainowie to zabawna grupa. Obsesyjnie się zamartwiają. Mieszają poczucie winy ze zgorzknieniem. Prawie zawsze czują się zdradzeni, przez kochanków, rodziców lub życie, a osobliwie przez siebie samych. Skłonni są do introwertyzmu z potrzebą działania na zewnątrz: stają się kłownami, poetami opiewającymi wdzięki dam i samobójczymi mścicielami. Szpieg - to był doskonały i przykład. Idealny Cobain.

Hanlon odchrząknął. - Nie powinienem ci tego mówić, ale właściwie to wykonywałem pewne zadania dla CIA, gdy zajmowałem się sprzedażą w Belgii i Niemczech. Byłem mułem. To żargon tajnych agentów. No wiesz... Byłem kurierem. Mułem. Kumasz?

Odpowiedziałem, że kumam.

Hanlon uśmiechnął się do swoich wspomnień. - Zwerbowano mnie w Brukseli, u Ricka. „Rick” to kompletna kopia knajpy Bogarta z „Casablanki”, na 344 Avenue, w dzielnicy Ixelles. Bardzo modna knajpka. To punkt kontaktowy dla Amerykanów znajdujących się poza krajem. Jedna z kanapek serwowanych w tej restauracji została nazwana imieniem faceta, który pracował tam przede mną. Zwerbował mnie jego oficer prowadzący. Tak mi powiedział, zawsze mieli zapotrzebowanie na patriotycznie nastawionych kawalerów. I płacili też niezłe... zanim zakończyli zimną wojnę.

Obok nas przesunął się do tyłu powoli jadący minibus Volvo. - Gdybym się tym nie przejął, to te hałasy nie miałyby znaczenia - stwierdził. - Co to jest duch? Nic! Wystarczy, żebym się trzymał z daleka od garażu. A boję się tam wejść jak cholera... tak bardzo, że chce mi się rzygać. I co robię każdej nocy? Włączę do garażu. Czemu to robię? - Zacisnął powieki. - Co noc leżę w łóżku, nasłuchuję i jeżeli nie usłyszę tej małej dziwki, wstaję, przemykam się do pralni i godzinami sterczę przed drzwiami garażu. I nasłuchuję.

Z lewej zaczęła nas mijać osiemnastokołowa ciężarówka. Światło jej reflektorów odbite od lusterka wstecznego powoli przesunęło się po twarzy Hanlona, wyławiając ją z mroku. Oczy miał nabiegłe krwią i podkrążone z bezsenności.

- Przejechałem ją - powiedział.

- Co takiego?!

- Prowadziłem samochód. Było ciemno. Wyszła na szosę, zanim cokolwiek zdążyłem zrobić. Może chciała popełnić samobójstwo. Nie wiem.

- Zabiłeś ją. Swoim samochodem. - Klasyczna sprawa, duch ściągnięty przez świadomość winy. Nie zadałem sobie nawet trudu, żeby powiedzieć: „Skłamałeś, mówiąc, że jej nie znasz”. Nawiedzeni przez duchy bardzo często kłamią.

- To było w Niemczech - odezwał się Hanlon po chwili milczenia. - Nie wiedziałem, co zrobić. Wciągnąłem ciało w krzaki na poboczu drogi. Nie miała żadnych dokumentów, nie było sensu wzywać policji do wypadku. Wiesz, oni tam nie lubią cudzoziemców. Znaczący Niemcy. Eurasy w ogóle nas nie lubią. Wszyscy czują pewną niechęć do Amerykanów. Ci Niemcy pamiętają, że skopaliśmy im dupski w 45. - Wczepione w kierownicę dłonie Hanlona lekko drżały. - To była jej wina - powiedział. - Nie

sądziłem, że mnie tu znajdzie, nie w Stanach. Ale mnie znalazła. Znalazła mnie – powtórzył ochryplym głosem. - Czego, do diabła, ona chce?

- Ciebie - odpowiedziałem mu. - Ciebie.

Dom Hanlona stał przy jednej z tych niesympatycznych podmiejskich uliczek, z których dzieciaki wyprowadzają się, gdy tylko się nieco usamodzielnia. Halon skręcił w podjazd bez nazwy i zatrzymał się przed czymś, co uznałem za ów nawiedzony garaż. – Może to nie jest taki dobry pomysł. - Wyłączył silnik, ale zostawił włączone reflektory, rozsiewające w deszczu dwa snopy jaskrawego światła i tworzące dwie białe plamy na drzwiach garażu.

Hanlon pozostał w samochodzie i mocno zacisnął dłonie na kierownicy. - No, zasuwaj, Will. Wygłoś mowę. To twój zarobek.

- A twój duch.

Zaśmiał się i przetarł dłonią oczy. - Tak, taaa... Kocham takie rzeczy. Same się sprzedają. Coś, czego klient potrzebuje. - O dach wozu bębniły krople deszczu. - W Europie pracowałem dla kompanii, która sprzedawała sygnałówki. Latarki błyskowe, stroboskopy, syreny; wszystko, co możesz zobaczyć na wozach strażackich lub policyjnych. Świetny towar. - Zaciągnął hamulec postojowy i wyłączył światła. - Czy ty zawsze widzisz te duchy? Znaczą, także te niewidoczne nawet dla osób, które one nawiedzają?

- Czasami.

- Skurwysyn. - Kuzyn wyjął kluczyk ze stacyjki i czerwone światełko hamulca zgasło. Przez chwilę siedzieliśmy po ciemku. Czułem jego obecność na siedzeniu obok. Myśl o tym tysiącu dolców, powiedziałem sobie. Płaszcz Hanlona zaszeleścił nagle. -Jak już o tym mówimy - odezwał się Tom - to muszę stwierdzić, że ten towar jest mi potrzebny.

Otworzywszy frontowe drzwi wprowadził mnie do starego gabinetu. Kanapka z obiciem w kwiatki, duży kolorowy telewizor, chińska szafka wypełniona bibelotami uwielbianymi przez moją babunię Dusty - kokilki na jajka, ceramiczne sówki i łyżeczki do herbaty z herbami rozmaitych stanów.

- To dom twojej mamy, Tom?

- Eugenii. Tato ożenił się po raz drugi. Oboje zmarli w zeszłym roku, dlatego wróciłem. Trzeba było płacić za dom, i tak dalej.

Eugenia urządziła się jak moja cioteczna babcia Rebeka i wszędzie powykładała małe chodniczki z gładkiego plastyku, żeby uchronić swoje piękne dywaniki koloru szampana przed brudem i wydeptywaniem. W jednym kącie pokoju stało czarne pianino na nóżkach otulonych w przesadnie wielkie plastikowe ochraniacze. Na klawiaturze leżały otwarte nuty hymnu „Jest fontanna pełna krwi”. Mignęło mi nagłe wspomnienie kościelnych śpiewów: *Jest fontanna pełna krwi - oddech - z żył Emanuela. W niej grzesznicy zanurzeni - oddech - zmyją wszelkie plamy grzechu.* Dudnienie elektrycznych organów i głos wuja Billy’ego za mną: *...Zmyją wszelkie plamy grzechu, zmyją wszelkie*

plamy grzechu. Szmer sadowiących się na ławkach ludzi, a potem dyskretne zbliżanie się tacki komunijnej, która sunęła ku mnie z maleńkimi szklaneczkami soku pomarańczowego.

W niej grzesznicy zanurzeni

Zmyją wszelkie plamy grzechu.

Wieszak na kapelusze przy drzwiach zajmowała futrzana czapa. Hanlon zdjął ją i obrócił w dłoni. Wciąż jeszcze miał na sobie ten londyński płaszcz.

- Widzisz? Prawdziwa sowiecka czapka. - Uniósł ją tak, że zobaczyłem mały czerwony znaczek z sierpem i młotem. Przypomniałem sobie, jak mając dziewiętnaście lat, czarowałem Josie uśmiechem, waleniem pięścią w ladę baru i cytowaniem Stalina: „Rewolucji nie robi się w jedwabnych rękawiczkach!”.

Z garażu dobiegł nas ostry wrzask, zakończony stłumionym stęknieniem. Żołądek wywinął mi nagłego kozła. Gównno, gównno, gównno! Tyle o schizofrenii.

- Słyszałeś? - Hanlon drgnął nagle. - Bo ja chyba coś usłyszałem.

-Taaa... - odparłem. - Ja chyba też. Najwyraźniej słyszałem ducha znacznie lepiej niż on. Dlatego towarzyszowi Willowi płacą taką forszę. - Te dźwięki zawsze dochodzą z garażu?

- Najczęściej. Najczęściej stamtąd. Blisko samochodu.

Hanlon odłożył na miejsce swoją oryginalną ruską uszankę i ruszył do kuchni. Wyjął z lodówki karton soku pomarańczowego i łyknął wprost z dzióbka. Trzęsła mu się dłoń. Mój kuzyn zabił dziewczynę, ale nie był mężczyzną na tyle, żeby zostać i stawić czoła konsekwencjom. Nie potępiałem go aż tak bardzo, jak moglibyście pomyśleć. Jedną z rzeczy, jakich nauczyło mnie patrzenie na umarłych jest ta, że nigdy nie możecie być pewni tego, co zrobicie, gdy przyjdzie najgorsze. Miałem zajrzeć do garażu, a potem powiedzieć Hanlonowi, żeby się przyznał, albo przynajmniej zadzwonił do Niemiec i powiedział o wypadku. Miałem mu powiedzieć, że to dla jego własnego dobra. Ale głównie myślałem o rodzicach tej dziewczyny, czekających w domu nad albumem z pożółkłymi fotografiami córeczki, którego nie mieli sił już otworzyć.

- Możesz tu poczekać, a ja poszperam w garażu - powiedziałem.

- Nie. - Hanlon spojrzał na mnie ponad drzwiami lodówki i spróbował się uśmiechnąć. - Idę z tobą, brachu. - Odstawiwszy karton z sokiem wyciągnął mały kluczyk z szafki na srebra obok zlewozmywaka. Poszedłem za nim przez kuchnię do małej pralni, gdzie stały pralka i suszarka, a na ścianach wisiało kilka półek. Za nią były drzwi do garażu. Były na nich nowe zamki - rygiel, który Hanlon odsunął, łańcuch, który musiał zdjąć, kłódka otwierana kluczykiem z szafki i zamek szyfrowy.

- Czy to wszystko ma powstrzymać ducha od wejścia, czy ciebie przed wyjściem? - zapytałem.

- Jedno i drugie. - Wybrał kombinację zamka i otworzył drzwi do garażu. Wnętrze pachniało wilgotnym betonem, trocinami i kurzem. Hanlon wcisnął przełącznik i światło pojedynczej gołej żarówki wyłowiło z mroku trzy stopnie niepomalowanych schodów wiodących ku betonowej posadzce.

Zlazłem na dół. W rogu garażu stała kosiarka do trawników i taczka z kilkoma zeszłorocznymi jeszcze liśćmi na dnie. Z kołków na tylnej ścianie zwisały piła i wiertarka. Pod nimi był stół roboczy i warsztat - wiertła, młotki wśród ponabijanych ówiekami i nitami skrzynek narzędziowych. W cieniu pod stołem zobaczyłem kanister z benzyną, puszkę i plastikowe wiadro pełne szmat. Na bocznej ścianie był zlew. Woda lecąca z ciekącego kranu zostawiła rdzawą plamę na dnie baseniku. Pod zlewem leżało skulone ciało młodej kobiety. Miała może dziewiętnaście lub dwadzieścia lat; ubrana była w mokrą kurtkę i mokrą koszulkę. Od pasa w dół była naga. Jej uda i biodra były mocno podrapane, sińce ciągnęły się jak plamy dymu na jej gliniastej skórze. Miała pokrytą plamami i nabrzmiętą twarz, jakby ją najpierw pobito, a potem utopiono. W usta ktoś jej wcisnął knebel z męskiego krawata. Dwa inne krawaty krępowały jej kostki i ręce z tyłu. Węzły były szare. Pojąłem nagle, że cała była szara. Wyłącznie biel i czerń. To był upiór Hanlona. Tylko że tej dziewczyny nie przejechało samochodem. Ktoś ją związał i pobił na śmierć.

Usłyszałem za sobą skrzypnięcie schodów. Prawa ręka mojego kuzyna kryła się w kieszeni jego płaszcza. Zwilżył językiem wargi.

- Widzisz coś? - zapytał.

I właśnie wtedy zrozumiałem, że niekiedy faceci bywają nawiedzani z bardzo ważnych powodów.

ROZDZIAŁ III

Kołysałem się na piętach, usiłując ukryć drżenie nóg. Hanlon zabił tę dziewczynę, ale to wcale nie był wypadek drogowy. Wróciła, żeby go dręczyć, a on nie mogąc już dłużej wytrzymać, zadzwonił do mnie.

Za pierwszym razem powiedziałem mu, że muszę obejrzeć ten dom, a on spanikował. Choć całe to nawiedzenie rozpieprzyło mu życie, nie chciał ryzykować, że mogę zobaczyć, kim była ta dziewczyna i co on jej zrobił. Więc pomiędzy jednym i drugim telefonem do mnie wymyślił tę historyjkę o wypadku drogowym. Gdybym jej teraz nie zobaczył, wyjaśniałoby to, dlaczego ona pojawia się w jego garażu. Emocjonalnie byłaby to nawet częściowo prawda - przyznawał, że ją zabił. Byłoby idealnie, gdybym ją mógł odprawić, wcale jej nie oglądając. Ale skoro tak się nie stało...

Wciąż był w tym swoim płaszczu przeciwdeszczowym i trzymał rękę w kieszeni. Dałbym sobie jaja uciąć, że ma w niej rewolwer. Tu, w Stanie Samotnej Gwiazdy, możemy ją nosić ukrytą pod ubraniem. O czymś takim właśnie myślisz, kiedy dorastasz, marząc o pracy dla CIA. Kurrrrrwa!

Odetchnąłem głęboko - choć oddech trochę mi się rwał. Muszę udawać, że nie widziałem ducha.

- Niby tak. Wyczuwam... wyczuwam obecność młodej kobiety. - Głos trochę mi drżał. Rozluźnijcie się, towarzyszu! Jesteś Truposz Kennedy, pamiętasz? To tylko jeden z setek duchów. - Pozwól, że się trochę rozejrzę.

Martwa dziewczyna pod zlewem była mokra. Kap, kap... Hanlon słyszał ją, kiedy padało. Jej widmową drogą była woda. Może pobił ją na śmierć, a potem wrzucił jej ciało do rzeki lub jeziora? Prawdopodobnie naprawdę zabił ją gdzieś w Europie. Wykończył ją w Amsterdamie czy Bonn, a potem wrzucił jej ciało do Renu lub Dunaju. To by wyjaśniało, dlaczego już nie krążył po dworcach, wciskając migotki niemieckim gliniarzom czy holenderskim strażakom. Dlatego właśnie wrócił do domku swojej starej mamuni i swego starego nissana stanza.

W niej grzesznicy zanurzeni

Zmyją wszelkie plamy grzechu.

Martwa dziewczyna pod zlewem szarpnęła się, usiłując wypluć knebel. W kącikach jej ust pojawiły się maleńkie pęcherzyki powietrza. Jej oczy były mroczne, jak wuja Billy'ego. Nie widziała Hanlona, ale wyczuwała jego obecność.

Skrzyp, skrzyp... odzywały się stare schody. Hanlon kołysał się w tył i w przód, w tył i w przód. Słuchanie martwej dziewczyny. Bezsenne noce, pełne zmęczenia i strachu. *Czy ty zawsze widzisz te duchy? Znaczą, także te niewidoczne nawet dla osób, które one nawiedzają?*

Przeszedłem w głąb garażu, omijając zlew szerokim łukiem i udając, że się rozglądam. Hanlon był seryjnym zabójcą czy ta dziewczyna była pojedynczym wyskokiem przy pracy? Oglądani w telewizyjnych serialach seryjni zabójcy są szaleni i nie odczuwają wyrzutów sumienia. To chyba tu nie pasowało. Ten facet nie był zimną, wyrachowaną, morderczą maszyną. Miał Serce Bajarza, prawda?

Musiał być zdolny do odczuwania zgryzoty i wyrzutów sumienia.

A jednak był mordercą. Jeżeli powźmie podejrzenie, że ją zobaczyłem, to czy mnie zastrzeli, żebym na niego nie doniósł? Czy zaryzykuje zabójstwo tu i teraz? Może nikt nie usłyszy strzału i nie zadzwoni na policję. Trzydziestodwuletni stuknięty facet znika po utracie pracy... Prawdopodobnie nikt się nie zorientuje, że mnie gdzieś wciąło, dopóki nie nadejdzie pora kolejnego niedzielnego spotkania z Megan.

Przed oczami przesunęła mi się błyskawicznie wizja Megan, zakneblowanej i uduszonej pod nieszczelnym zlewem w garażu.

- Hej, Will? - odezwał się Hanlon. - Wykombinowałeś już coś, kemosabe? - zapytał, popisując się swoją znajomością hiszpańsko-indiańskiego żargonu.

- W zasadzie tak. - Zmarszczyłem brwi w udawanym namyśle. - Jest jeszcze kilka rzeczy... Wiesz co? Może byś mnie podrzucił do domu, ja bym poszperał tu i tam, a potem wrócilibyśmy jutro i załatwili wszystko od ręki?

Hanlon potrząsnął głową. - Will, musisz mi to załatwić teraz. Nie zniosę takiej kolejnej nocy.

- A chcesz, żeby to zrobić bez pudła?

- Masz to zrobić TERAZ! - wrzasnął Hanlon. Z prawej kieszeni wyjął rewolwer. Lufa wbiła we mnie swe czarne, zimne spojrzenie. Hanlon łypnął na tkwiącą w jego dłoni spluwę, jakby chciał zapytać: O kurwa! A to skąd się tu wzięło?

- Hola, wyluzuj - powiedziałem łagodnie. - Spokojnie, jesteś już dorosły.

- TK, ja już tego nie mogę wytrzymać! - jęknął jakimś dziwnie błagalnym głosem. - Jeszcze jedna taka noc i wetknę sobie lufę w pysk.

Moje nogi drżały już zupełnie wyraźnie - nie potrafiłem nad nimi zapanować.

- Odwiozę cię jutro. - Hanlon potrząsnął głową. - Usłyszałem ją dziś raz czy dwa. Nawet tego już nie wytrzymuję. Naprawdę, bardzo mi przykro.

- Chłopie, zachowaj zimną krew. Dzisiejsza noc nie będzie problemem, możesz na mnie liczyć. - Ty kupo gówna. Byłem wściekły. No dobra, może planeta nie zatekni za mną, jak mnie tu stukniesz, ty tajny agencie dla ubogich, ale niczego nie muszę ci ułatwiać. Zawsze się szczyciłem tym, że choć przegrywałem, to wyrwanie takiego jak ja kolca z dupy nikomu nie przychodziło łatwo. I miałem jedną przewagę nad nim: on naprawdę potrzebował mojego towaru.

Podszedłem do warsztatu. - Aaa... - odezwałem się z powagą. - Hm...

Może mógłbym ukryć w dłoni śrubokręt, a potem dziabnąć go w nerki? Guza, nie przez ten jego cholerny angielski płaszcz, towarzyszu Will. Rozejrzałem się po stole, szukając czegoś, czym mógłbym w niego rzucić lub go walnąć. Na stole jest piła tarczowa z odłączonym kablem zasilania. Wiertarka elektryczna, młotek, dłuto do drewna. Nie muszę skurwiela zabijać, wystarczy go ogłuszyć albo odwrócić jego uwagę na tyle, żeby spieprzyć dostatecznie szybko, by mnie nie zastrzelił, zanim dopadnę drzwi.

Martwa dziewczyna skuliła się pod zlewem, stękając i szarpiąc knebel nabrzmiałymi palcami.

Jedwabny krawat zagłęziony w nadgarstkach nie ułatwiał jej zadania. Hanlon mógł oczywiście coś usłyszeć. Cofnął się na szczyt drewnianych schodów i zmacał za sobą klamkę, w drugiej, drżącej dłoni trzymając kopyto. Gapił się uparcie na zlew. Woda nadal powoli kapłała w mroku. Komiwojażer oblizał wargi.

- Que pasa⁸, TK?

- Myślę. - Zmusiłem się do przemyślenia kwestii użycia każdego z narzędzi znajdujących się na wyposażeniu warsztatu. Kątownik. Szwedzki klucz. Kanister z benzyną.

Benzyna. *Stopy jego niczym lśniący spiż, jakby w ogniu wypalone.* Dzięki, wujaszku Billy.

Kanister z benzyną. Stwierdziłem, że się uśmiecham, a moje ciało niemal unosi się w górę, jak wtedy, gdy miałem dziewiętnaście lat i siedziałem w knajpce Black Molly z dobrą działką spida w żyłach. - Dobra nasza. To wygląda lepiej, niż myślałem. - Jest fontanna pełna krwi... - Ta sprawa jest w sumie dość prosta.

- Mówiłeś, że musisz poszperać w dokumentacji.

- Bo chciałem mieć pewność. Dowody na dwieście procent. Ale sprawy stoją tak, że teraz powinienes sobie strzelić burbona. - Pieprzyłem od rzeczy. Kurwa jego! - Twój duch jest wyraźnie... no wiesz, z górnej półki. Ale za taką robótkę powinienes zapłacić dwa razy więcej.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

Dobre pytanie. Cofnąłem się tyłem od warsztatu i zmusiłem do spojrzenia Hanlonowi w oczy.

- Posłuchaj, ta dziewczynka... ona przyszła do ciebie. Chciałem powiedzieć, że twój samochód był ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła. Umarlaki już takie są. Jak sobie coś wbiją do głowy, to koniec.

W odległości dziesięciu stóp ode mnie zakneblowana dziewczyna stękała i szarpała się z więzami.

W pełnych obłędu oczach Hanlona pojawiły się dwie łzy. - Była taka piękna...

Ups! - Masz w domu jakieś świece?

- Owszem, na wszelki wypadek. Mama kupiła je po huraganie Alicja, żeby mieć coś, gdyby wysiadła sieć elektryczna. Do czego będą ci potrzebne? Ona była katoliczką?

Wytrzeszczyłem oczy, zaskoczony jego pytaniem.

- Duch - powiedział. - Znaczy, była katoliczką? Do tego potrzebujesz świec?

- A, tak, była katoliczką. - Kurwa, miałbym pecha gdyby naprawdę była buddystką lub kimś w tym rodzaju, i Hanlon byłby się dowiedział, że pieprzę w bambus. - No, w każdym razie na pewno wychowano ją po chrześcijańsku.

Mój kuzyn kiwnął głową. Jego twarz była mokra od łez, a wyczerpanie i poczucie winy sprawiło, że był na poły ślepy.

Dobra, Will, powoli i ostrożnie, zwolnij tempo.

- Przydałoby się kilka świec, jeżeli je masz, i pudełko zapalek. A, i Biblia.

- Chyba nie mam tu Biblii.

⁸ Co jest? (przyp. red.).

- Nie pieprz, Tom, Eugenia musiała gdzieś tu mieć Biblię- - Kurwa, Will, zamknij japę. - Co prawda to nie jest takie ważne. Moją amunicją będą świece. Jak srebrne kule.

- Poczekał chwilę. - Hanlon cofnął się do pralni, zamykając za sobą drzwi. Usłyszałem, jak zasuwuje rygiel i ponownie zakłada łańcuch. Odetchnąłem głęboko, gdy Hanlon zaczął szperać w swojej kuchni. Przemknąłem ostrożnie do stołu warsztatu, ukląknąłem obok kanistra z benzyną i zacząłem odkręcać zardzewiałą zakrętkę. Piszcząca jak przytrzaśnięty szczur. W kuchni zrobiło się cicho. Wstrzymałem oddech, aż usłyszałem skrzypienie otwieranych drzwi szafki.

Nagły jęk zmusił mnie do spojrzenia w stronę zlewu. Martwa dziewczyna sięgała w górę związanymi rękami i usiłowała chwycić krawędź miski. Ciało wokół jej więzów było napuchnięte i ciemne. Widać było wyraźnie nabrzmiałe czarno-białe żyły na jej pokaleczonych ramionach. I plamy opadowe. Chwyciła dłońmi krawędź miski. Kap. Kap. Z mroku pod zlewem wyłoniła się twarz dziewczyny i spojrzenie jej ślepych oczu zaczęło błędzić po wnętrzu garażu. Czegoś szukała.

Zgrzytnęły zamki i Tom Hanlon otworzył drzwi do pralni.

- Znalazłem jedną - powiedział, pokazując krótką, grubą świecę w lewej dłoni.

Usiłowałem się uśmiechnąć, ale miałem sucho w gębce, a wargi nie chciały się rozciągnąć. Martwa dziewczyna cal po calu przesuwała się naprzód, powoli jak krab, aż skuliła się tyłem do zlewu, jakby nie mogła odejść od niego i znajdujących się pod nim rur. Wróciła do ściągania knebla z ust.

- Stań tam, koło zlewu, kowboju - powiedziałem.

- Nie stanę. Po co miałbym to robić?

- Tam właśnie jest duch dziewczyny.

Hanlon niezbyt chętnie zszedł po skrzypiących schodach. Dziewczyna dała spokój kneblowi i wyciągnęła rękę, gdy Hanlon podszedł bliżej. Jej drżące z wysiłku palce zatrzymały się o dwa cale od jego płaszcza. Chybnęła się w tył i opadła, niezdarnie chwytając krawędź zlewu.- Słyszałeś coś? - głos Hanlona był chrapliwy i drżący. - Ja chyba coś usłyszałem.

- Ja też. Przejdź na drugą stronę zlewu. O, tak. Muy bien⁹. - Jak obleję go benzyną i on się zajmie ogniem, będę musiał skoczyć prosto ku schodom, a do tego potrzeba, żeby Tom odsunął się w bok. Serce mi waliło, jak koła pociągu.

Hanlon rozejrzał się nerwowo, obracając głowę. W swojej lewej, obleczonej w rękawicę dłoni trzymał gruby ogarek. - Musisz mnie od niej uwolnić, Will.

- Możesz być pewien, że cię uwolnię. Masz te zapalniczki?

- Mam.

Demonstracyjnie rozejrzałem się po garażu, mrużąc oczy i węsząc.

- Dobra. Zapal świecę.

- Dlaczego ja mam zapalać? Czy to nie ty robisz egzorcyzmy?

- A kto tu jest, psiakrew, nawiedzony? Tom, zaufaj mi. Zapal świecę.

⁹ Bardzo dobrze (przyp. red.).

Nie spuszczać ze mnie oka, Tom wetknął rewolwer do kieszeni i wyciągnął prawą dłoń z zapalniczką. Stalin byłby się pewnie na niego rzucił, gdy nie trzymał spluwy w dłoni, ale ja nie miałem dostatecznie twardych jaj.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - powiedział Hanlon.

Trzasnął spustem zapalniczki i podniósł ją do świecy. Wokół knota pojawił się mały płomyk, który przekształcił się w cienką smużkę ognia. Tom powoli się wyprostował i odłożył zapalniczkę. Jego prawa dłoń ponownie zanurzyła się w kieszeni płaszcza. Moja szansa minęła.

Martwa dziewczyna zdołała w końcu pozbyć się knebla. Rzuciła go w kąt garażu, gdzie upadł z cichym szelestem. Jej pierś ciężko pracowała. Potarła związanymi rękami usta, zostawiając na wargach wilgotne ślady krwi, czarne na jej białej skórze.

Kurrrrrwa! Odwróciłem się i cofnąłem do stołu.

- Teraz potrzebuję czegoś, co zostawia ślad... pędzel z farbą? Kawałek kredy? - Pochyliłem się, zasłaniając Hanlonowi widok ciałem. Ująłem uchwyt kanistra. Przez moje ciało przepłynęła kolejna porcja adrenaliny, co sprawiło, że ręce zaczęły mi się trząść. Chciałem powiedzieć, że narysuję pentagram, ale byłem zbyt spięty, żeby wydobyć z siebie choć słowo.

- Hej, proszę pana - zachrypiała dziewczyna popękkanymi wargami. - Czy pan jest Amerykaninem?

Wyprostowałem się, odwróciłem i zamachnąłem się kanistrem ku środkowi pokoju. Hanlon gapił się na mnie, kiedy przez zatęchłe powietrze pomknęła ku niemu struga benzyny. Chlusnęła do zlewu przez ciało dziewczyny, zbrzydła londyński płaszcz przeciwdeszczowy Hanlona, jego spodnie i ramię zakończone ukrytą w kieszeni dłońią. Chlusnęła też na płomyk świecy i go zgasiała.

Skierowałem zdumione spojrzenie wytrzeszczonych oczu na ogarek świecy w dłoni Hanlona.

Ilość oparów benzyny w powietrzu okazała się zbyt mała. Ciecz była zbyt zimna i w płomieniu nie znalazły się opary, tylko zalał go płyn; zamiast eksplodować, zgasił ogień jak szklanka wody. Kanister wypadł z moich zmartwiałych palców i z głuchym brzękiem spadł na betonową posadzkę. Hanlon zmrużył powieki.

- Czy to część... - urwał. - Widziałeś ją. - Wyciągnął rewolwer z kieszeni płaszcza i wymierzył w moją pierś. - Próbowałeś mnie zabić.

- Tom... Uspokój się, chłopie. - Nie mogłem oderwać wzroku od wylotu lufy. - No, widziałem ją. I co z tego. Co mogę zrobić? Powiedzieć policji, że w twoim garażu widziałem ducha? Myślisz, że się tym przejmą?

Z upuszczonego przeze mnie kanistra zaczęła wyciekać benzyna, tworząc ciemną kałużę, która powoli wyciągała się ku wlotowi ścieku pod zlewem. Powiniennem dać nura pod stół albo rzucić się na jego blat i chwycić młotek lub zrobić cokolwiek w tym guście. Zamiast tego stałem bez ruchu, trzęsąc łydkami.

(Czteroletnia Megan siedząca na moich kolanach w autobusie i marszcząca brewki w bardzo

poważnym pytaniu: Czy ty umrzesz, tatuśku? To było, zanim przestała mnie nazywać tatuśkiem. Cyt, kochanie. Mam jeszcze przed sobą długie życie. Megan obejmuje mnie mocnym uściskiem i trąca czołem w nos. Tatulku, nie chcę, żebyś umierał).

Zacisnąłem oczy. Kurwa, nie czas na wspominki!

- Will, dałbym ci tysiąc dolców. - Trzymająca gnata dłoń Hanlona wyraźnie drżała. Lufa wskazywała to na moją szyję, to na jaja lub brzuch. - Powiniennem cię zastrzelić. Mógłbyś ją opisać. Gliny zaczną jej szukać. Dowiedzą się.

W mojej krwi śpiewała adrenalina. Czułem, że szczerzę zęby w uśmiechu, jak za czasów moich barowych bójek tuż przed momentem, w którym pięści szły w ruch. Bardzo powoli uniosłem dwa palce w górę.

- Hej, Tom, nikomu nie powiem. Indiańskie słowo honoru. Ona mnie gówno obchodzi, to twój duch. - Tom w oczywisty sposób nie był typem mordercy z serialu, bo inaczej dawno by mnie już wykończył. - Myślisz, że jesteś pierwszym, poznanym przeze mnie ponurym skurwielem, który jest dręczony przez ducha? - Benzyna zaczęła się ulatniać. Jej zapach unoszący się wokół Hanlona był na tyle mocny, że moje oczy zaczęły łzawić. - Myślisz, że pozostałbym jeszcze przy życiu, gdybym rozpuścił jezior i zacząłbym pieprzyć o każdym facecie, który wywiózł trupa w bagażniku?

Martwa dziewczyna szarpnęła połą płaszcz Hanlona. - Hej, proszę pana - powiedziała. - Mógłby mnie pan podrzucić?

Dotknięty jej ręką Hanlon odskoczył w tył. - O kurwa! - Jego spojrzenie szybko wróciło do mnie. - Will, to cholernie gorący towar. - Oddychał szybko, a na jego czole pojawiły się drobne kropelki potu. - Zabierz ją ode mnie, Will. Zabierz ją albo jak Bóg na niebie, zastrzelę cię tam, gdzie stoisz!

- I stworzysz nowego ducha, który będzie cię nawiedzał? Takiego wała mnie zastrzelisz, Tom. Sądzę, że i bez tego siedzisz po uszy w gównie. - Zamknij pysk! ofuknąłem sam siebie. Will, na miłość boską, czy ty musisz wkurwiać tego faceta? Ale moim ciałem targała już adrenalina i nie mogłem zgasić uśmiechu. Mam swoje plany, ty dupo wołowa! Jadę do Six Flags.

Martwa dziewczyna odsunęła się od zlewu, sięgając na oślep związanymi dłońmi ku płaszczowi Hanlona. - Hej, proszę pana? Czy zna pan tutejsze drogi?

- Kurwa! - rewolwer w dłoni Hanlona drżał bardzo wyraźnie. - Kochałem ją.

Dziewczyna pochyliła się ku przodowi. Jej ramiona pełne były zadrapań. Prawdopodobnie usiłowała zakrywać twarz, gdy Hanlon tłukł ją na śmierć. Oczy akwizytora znów wypełniły się łzami.

- Kochałem ją.

- A pewnie - powiedziałem. - To nawet widać.

Hanlon oblizał wargi. - Wal się.

Skoczyłem ku drzwiom. Kula uderzyła mnie w pierś. Okręciło mnie i rzuciło twarzą na schodki do pralni. Huk wystrzału w garażu był ogłuszający. Błysk ognia z wylotu lufy rewolweru Hanlona zapalił unoszące się wokół niego opary benzyny. Tuż za mną rozszalał się ogień.

Charcząc ciężko, odwróciłem głowę i spojrzałem na piekło za mną. Hanlon był jedną wielką pochodnią. Machając na oślep rękami, cofnął się i wpadł na ścianę garażu. Wszędzie połyskiwały wściekłe odblaski płomieni. Na betonie zakwitały czarne plamy sadzy.

Stopy jego niczym lśniący spiż, jakby w ogniu wypalone. Ogarniający Hanlona ogień huczał jak wodospad. Mój kuzyn w końcu się przewrócił i wił się teraz jak larwa w płomieniach. Trzepotał ramionami niby płonąca osa, czemu towarzyszyły suche trzaski, ale poruszał się coraz wolniej, jak płyty zdychającego wentylatora. Nie wrzeszczał już tak głośno, jak przedtem. Jego ciało kurczyło się i słyszałem trzask kości. W garażu zrobiło się piekielnie gorąco. Pierś raz po razie przeszywał mi jęzor bólu. Kaszlnąłem i zabołało mnie jeszcze bardziej.

Spojrzałem ku zlewowi, szukając wzrokiem martwej dziewczyny. Nie było jej tam. Szanowny panie, pomyślałem, patrząc na płonące jeszcze ciało Hanlona. Uwolniłem pana od ducha. Gdzie moje tysiąc dolców?

O Boże.

O Boże.

Oddychanie przychodziło mi z coraz większym trudem. W garażu było diablo gorąco. Spróbowałem jakoś się pozbierać. No dobra, niech będzie. Postrzelono mnie. To nie było aż takie okropne. W piersi coś mi dziwnie gulgotało i jakby brzęczało, ale na razie ból był do zniesienia. Żadnych bluzgów krwi. Obejrzałem się. Innym poszło gorzej, co, Tom? Skóra Hanlona była popękana i osmalona. Czasami niedźwiedź dobiera się do myśliwego, proszę pana. Niech żyje rewolucja!

Cały garaż zasnuwały smugi i nici czarnego dymu. Śmierdziało palonym plastykiem i rozkaszałem się - może nieco za gwałtownie. Zabołało. Wczołgałem się do pralni i zamknąłem za sobą drzwi garażu. Nade mną brzęknął łańcuch zasuw. Nabrałem tchu w płuca i jęknąłem, gdy ból przeszył moją pierś. Zacząłem oddychać płytko i szybko w przerwach pomiędzy kolejnymi atakami kaszlu. Moje prawe ramię było ciężkie i zupełnie nie mogłem nim ruszać.

Ogarnęła mnie fala żalu. Obraz rewolweru Hanlona wymierzonego w mój brzuch mieszał mi się ze wspomnieniami Megan siedzącej na moich kolanach. No, no... Mój biologiczny ojciec został zastrzelony w garażu jakiegoś zbrojaka. - Nie, to nieuczciwe. Megan na pewno przyszłaby na mój pogrzeb. Z pewnością by płakała. Nie ma już ojca, lecz jakiegoś pieprzonego trepa z piechoty morskiej. Kennedy znów zawiódł swoje dziecko.

Od mojego prawego ramienia do żył z prawej strony mojej szyi i potem twarzy wlewało się straszne, nie do zniesienia ciśnienie. Czułem to jak falę drągów, zostawiającą po sobie ciepło i spokój. Lepiej wezwij gliny, pomyślałem. Przypomniałem sobie, że na ścianie w kuchni Hanlona wisiał telefon. Lewym ramieniem chwyciłem krawędź suszarki i dźwignąłem się w górę. A potem poczekałem, aż schodki znikną mi z oczu. Z każdą chwilą robiło mi się cieplej i ogarniał mnie coraz większy spokój. To nie jest dobry znak, do kurwy nędzy, pomyślałem sobie. Spokojnie. Spod drzwi pralni błyskały żółte światełka.

Dotarcie do kuchni zabrało mi całą wieczność. Czas rozciągnął się jak we śnie. Każdy krok trzeba było zacząć od podniesienia pięty, palce wlokły się po wykładzinie, przechylałem się chwiejnie ku przodowi... i oto początek kroku przepadał już w niebycie przeszłości, jak sen spłoszony jękiem dzwonka. Każda chwila przypominała bezmyślne budzenie się na nowo. Stałem obok lodówki. Na ścianie przy mnie, nad szeregiem równych pojemników na mąkę, cukier, ryż i ciasteczka, wisiał telefon. Dokładnie nad pojemnikiem na ciasteczka. Moje prawe ramię było mi równie posłuszne jak bryła lodu. Chwyliłem słuchawkę i wypuściłem ją z palców.

Znacznie później obudził mnie trzask uderzającej o podłogę słuchawki.

Wdech, wydech, wdech... kaszel. Z każdym oddechem czułem igłę bólu przeszywającego mnie z prawej strony piersi do kręgosłupa, jakbym się przesuwiał przez maszynkę do krojenia mięsa. Wdech. Igła... Wydech, igła, kaszel. Pochyliłem się nad słuchawką i ta cholerna igła omal nie przebiła mnie na wylot.

...porzuciłeś pierwszą swoją miłość.

Co u licha miał na myśli wuj Billy, mówiąc mi takie rzeczy? Od przyjścia Megan na świat nie miałem żadnej dziewczyny na stałe. Owszem, od czasu do czasu człowiek sobie coś stuknął, ale nic na poważnie. Zresztą to Josie mnie porzuciła. Nigdy nie stanę się jednym z tych kutasów, co wracają po śmierci. Zrobiłbym wszystko, wołałbym sto razy zgorzeć po śmierci, niż wrócić.

Nie umrę dzisiaj. Zadzwonię pod 911. Gliny mnie uratują. A potem będę żył sobie długo i szczęśliwie. Szczęśliwe zakończenie. Josie wciąż mi wyrzucała brak wiary w szczęśliwe zakończenia. Mówiła, że ten brak wiary jest przyczyną moich życiowych niepowodzeń. Mówiła, że nie próbuję. Nikt nie miał więcej powodów do smutku od niej. Jej stary żłopał piwo, truł się tanimi kompotami z maku i lał ją, gdy nie siedział w pierdłu. Jej mama paliła jakieś ziółka i była stałą klientką opieki społecznej. W wieku ośmiu lat Josie trzymała rodzinę w kupie, klejąc wszystko i łatając z nadprzyrodzoną cierpliwością, chowając drobne, piekąc zapiekanki z tuńczyka i pichcąc jakieś grzybowe zupki bez nazwy.

Zawsze sądziłem, że jej się spodobałem dlatego, że byłem cwany i widziałem nieco więcej świata niż tylko Deer Park. Może to i była prawda, ale spojrzawszy wstecz łatwo było stwierdzić, jak wiele z tego zawdzięczałem jej tatuśkowi. W końcu przyszła na ten świat, żeby powiększyć szeregi przegranych.

Zrezygnowała z członkostwa w drużynie cheerleaderek, bo ją to znudziło. Wszyscy uważali, że zaszła w ciążę, ale jest zbyt dumna, żeby się do tego przyznać. Kiedy nie przytyła, szkolna społeczność doszła do wniosku, że wysłałem ją na aborcję do Houston.

Wdech, wydech. Wdech. Kaszel. Ześlizgnąłem się na podłogę oparłszy plecy o lodówkę. Trwało to dość długo. W końcu sięgnąłem po słuchawkę lewą ręką i słuchałem, jak sygnał nabiera mocy, w miarę jak zbliżałem w głośniczek do ucha.

Wcisnąłem dziewiątkę.

Oczy Josie miały błękitny odcień starych dżinsów. W lewym uchu miała sześć kółek, a swe

cudownie jasnopopielate włosy wiązała w koński ogon. Kiedy się kochaliśmy, łaskotałem ją w szyję jego koniuszkiem, a potem odsłaniałem to miejsce i je całowałem. Jej włosy jak jedwabista przedza kukurydzy, ześlizgujące się po moim policzku. Dzień, w którym przyszła do naszego mieszkania, obcięta jak ta szprycha z Eurythmics, Annie Lennox. Kiedy pocałowałem ją w kark, nadziałem się na szczecinę. Wszystko ścięła, nie pytając mnie o zdanie. Wsadziła trochę żarła w plecak i powiedziała, że bym wsiadał do wozu. Miałem dwadzieścia lat i byłem akurat bez pracy, pojechaliśmy 1-45 ku Zatoce Meksykańskiej, gapiąc się ponad niewysokimi wschodnioteksańskimi krzewami na dalekie rafinerie Dickinson i Texas City. Dotarliśmy do Galveston w nieco mniej niż godzinę, przejechaliśmy długą drogą po grobli i dalej ku zachodniemu krańcowi wyspy, dokąd nikt nie zagląda. Poprzedniego dnia przeszła tam burza. Piasek pełen był tłustych glutów czarnej ropy, a gdy ruszyliśmy wzdłuż plaży, musieliśmy zrezygnować, bo zalegały ją tysiące martwych meduz.

Wcisnąłem jedynekę.

Usiłowaliśmy rozpalić ogień z naniesionego drewna i liści zarośli, ale wszystko było za mokre. Zjedliśmy przygotowany przez Josie posiłek: kanapki z masłem orzechowym, popijając je butelką czerwonego wina. Upiliśmy się, a ja byłem beznadziejnie zakochany. Słońce zaszło, pociemniało morze, a potem drzewa. Chmury zaczęły gasnąć jak papierosy; złote brzegi przechodzą w czerwień, a potem zostaje już tylko dym i popioły. W mroku widziałem zarysy ciała Josie: linię nóg, niewyraźnie majaczący policzki i dłonie - pojawiające się i znikające, gdy piła. Powiedziałem jakiś żart, a ona się roześmiała. Nauczyłem ją hymnu „Niech krąg zostanie nietknięty”. Pamiętam, że jak byłem chłopcem i śpiewałem w kościelnym chórze, miałem w nim solówkę. Zaśpiewaliśmy go wspólnie, ale kiepsko nam poszło. Tadadam, Panie, i tadadam...

Josie łyknęła kolejny kubek wina. - Will - odezwała się - chcę rozwodu.

Wcisnąłem jeszcze raz jedynekę na telefonie Hanlona. Wdech, wydech. Kaszel. Wdech...

Powiedziała, że nie zamierza spędzić reszty życia na ratowaniu mnie przede mną samym. Powiedziała, że samą swoją obecnością pozbawiam wszystko sensu, że odbieram jej nadzieję. - Patrzysz na mnie czasami i wiem, że widzisz mnie martwą albo umierającą. Sparaliżowaną po wypadku lub czymś takim.

- Umrzesz raczej na raka - stwierdziłem. - Weź pod uwagę swoją rodzinę. - Jej dziadek umarł z wielkim jak grapefruit guzem w dupie.

- Will, na miłość boską! - ukryła twarz w dłoniach. Nie mogłem uwierzyć, że już nigdy jej nie pocałuję. - Tego właśnie zamierzasz nauczyć swoje dzieci? - zapytała, zakręcając pokrywę termosu. - To nie będą moje dzieci. - Dodała. Potem spakowała plecak i po ciemku wróciliśmy do naszego wozu.

Później doszedłem do wniosku, że to musiał być ten tydzień, w którym odkryła, iż jest w ciąży. Musiała pomyśleć: „Jak to, Will Kennedy miałby wychowywać moje dziecko? To już lepiej, żeby w ogóle nie mało ojca”. To był jeden z powodów, dla których nie opuściłem żadnego meczu czy szkolnego koncertu. Chciałem pokazać pieprzonej Josie, że nie miała racji.

Kiedy wróciliśmy do Houston, powiedziała, że mógłbym przenocować na kanapce, ale ja stwierdziłem, że wolę nie. Przez całą noc łąziłem, wałęsając się po kampusie Rice, a potem dalej ulicą Montrose'a obok Rothko Chapel. Tej nocy widziałem kilka duchów - może trzy lub cztery. Długie, szare, spokojne ulice. Pamiętam, że po jednej z nich powoli jechał jakiś pikap, i pomyślałem, że mógłbym podskoczyć i wskoczyć na pakę, jakbym znów miał siedemnaście lat, wtedy gdy pracowałem na farmie wuja Chase'a pod Brownsville, przez całe dni wdychając pestycydy i w końcu mdlejąc, podczas gdy beztrudnie Meksy śmiały się ze mnie i oblewały mi łeb wodą. Te sukinsyny były niezmordowane. Mówiłem im, że lepiej będzie, jeżeli przestaną tak zasuwac, bo nigdy nie przekonają ludzi z La Migra¹⁰, że są Amerykanami.

Po tym, jak Josie przywaliła mi swoją bombą, nie spałem przez siedemdziesiąt dwie godziny. Po prostu łąziłem i łąziłem. Wychodzi na to, że nieszczęście jest lepsze od dexedryny¹¹. Pamiętam, że kompletnie wyczerpany myślałem, iż miłość zmienia człowieka w lodówkę. Myślisz o sobie, że jesteś kimś, możesz się śmiać, rozmawiać i poruszać, ale to nieprawda. Ukochana osoba w każdej chwili może cię otworzyć, pogrzebać wewnątrz, wyjąć ci serce i odejść. A ty nic na to nie możesz poradzić. Nie możesz zamknąć drzwi na klucz. Możesz tylko siedzieć i patrzeć, jak ona wyjmuje ci serce i odchodzi.

Nie mogłem jeść, nie mogłem soać i nie mogłem przerwać łożenia. Podczas tych trzech dni schudłem o dziesięć funtów. Taki właśnie bajeczny rezultat możesz osiągnąć wskutek nowej Cudownej Diety Złamanych Serc! Josie usiłowała posłać mnie do doktora, ale ja nie byłem ubezpieczony i zresztą wcale nie było mi to potrzebne. Co czułem? Ulgę. Wielki, pusty balon ulgi w mojej piersi, który wciąż unosił się w górę. Czy możecie sobie wyobrazić złamasa, który nawet nie potrafi sobie porządnie popłakać, gdy rozpadnie się jego małżeństwo? Ja widocznie byłem takim właśnie złamasem. W ogóle się nie załamałem. Czułem się rześko, jak haczyk na ryby. Twardy i lekki.

Nigdy tego Josie nie powiedziałem.

W rok później wyszła za mąż za faceta o imieniu Don. Właśnie skończył obowiązkową służbę w piechocie morskiej. Byłem na ślubie i zachowywałem się jak należy. Patrzyłem, jak mama Josie podczas nabożeństwa kołysze Megan. Przyniosłem nawet prezent. To było chyba coś z porcelany. Gdy byliśmy razem z Josie, mieliśmy tylko tanie poobijane talerze. Przy wręczaniu prezentu Josie zrewanżowała się zapewnieniem, że wciąż możemy zostać przyjaciółmi.

Lecz mam ci za złe, że porzuciłeś pierwszą swoją miłość.

Ocknąłem się, słysząc miły kobiecy głos. - 911. Mam połączyć z policją, strażą pożarną czy pogotowiem?

- Hyyy... - powiedziałem. - Niełatwo powiedzieć. - Kaszlnąłem. Czułem się tak, jakbym oddychał przez gorący ręcznik. Dyszałem jak pies, ale wciąż miałem za mało powietrza w płucach.

¹⁰ Termin używany przez hiszpańskojęzyczne społeczności na określenie amerykańskich funkcjonariuszy egzekwujących prawo emigracyjne (przyp. red.).

¹¹ Amfetamina, leczniczo stosowana przy nadpobudliwości (przyp. red.)

- Proszę pana, czy jest pan ranny? Mam wysłać karetkę?

- Tak proszę pani. - Wdech, wydech, kaszel. Kasznięcia były niby lekkie, ale cholernie bolesne. Pomiędzy jednym i drugim czas rozciągał się niemal w nieskończoność. - To szok - powiedziałem. - Jestem chyba w szoku.

- Gdzie pan jest, proszę pana?

- Nie wiem. - Niełatwo było oszczędzać oddech na rozmowę. Odpląnąłem... i ponownie wróciłem. Proszę pana, dzwoni pan spod numeru 610 na Juanita Lane. Łączę pana z pogotowiem.

- Łączy pani? Nie, nie może pani...

I czas się dla mnie zatrzymał.

Ponownie odpląnąłem ku tej nocy, kiedy Josie mi powiedziała, że chce rozwodu. Wzdłuż plaży rozciągał się mrok, niczym czarne wody. Mewy wzbijały się coraz wyżej, aż trafiały w promienie znikającego za horyzontem słońca i nagle ich skrzydła rozblyskiwały oślepiającą bielą na tle zimnego nieba.

Daleko na morzu widać było migające światełka jakiegoś trawlera.

- Pogotowie ratunkowe. Jest pan ranny.

Powiedziałem coś temu głosowi. Usłyszałem, że karetka jest już w drodze. Puściłem słuchawkę. Nie usłyszałem uderzenia o podłogę, ale kiedy ocknąłem się nieco później, wciąż widziałem, jak podskakuje na ziemi. Ogień w głębi garażu mówił coś sam do siebie.

Prawą stronę mojego ciała, od podbrzusza po głowę, odczuwałem jako obcą i nabrzmiałą. Ciśnienie pod skórą na mojej twarzy było wprost nie do zniesienia. Wdech, wydech, wdech. Kaszel. Z korytarza do kuchni wpełzła smuga dymu. Potem z garażu doleciał przytłumiony odgłos wybuchu. Ekspłodowała puszka farby, WD-40 lub jakiegoś rozpuszczalnika. Byłoby naprawdę zabawne, gdyby dom Hanlona spłonął razem ze mną przed przybyciem pogotowia. Czasami ten wielki rosyjski niedźwiedź bierze nad tobą górę.

Powiedziałem sobie, że powinienem się przedostać do drzwi wejściowych, bo sanitariusze mogą mnie nie znaleźć. Przewróciłem się na kuchenną podłogę tak, że ległem na brzuchu z głową uniesioną o kilka cali nad wykładziną, opierając ciało na łokciach. Wśród tego dymu lepiej trzymać się ziemi. Teraz już bez przerwy kaszlałem, każdy oddech wyrывał ze mnie zduszone charknięcia. Unosząc się na łokciach, przeczołgałem się przez kuchnię i skręciłem w lewo do salonu. Było bardzo gorąco. Zachłysnąłem się, łapiąc powietrze, i ból w plecach rzucił mnie na podłogę. Mój policzek rąbnął o szorstki, gorący dywan. Odetchnąłem prosto we włosie i okropnie się rozkaszałem. Czułem ogromną suszę w ustach. Poczłogałem się ku pokrytej perkalem kanapie. Miałem nadzieję, że trafię na jeden z tych plastikowych dywaników i, podążając za nim, prześlizgnę się do drzwi wyjściowych. Zastanawiałem się, czy wciąż mam jeszcze moje ubezpieczenie z Petco i czy pokrywa ono leczenie ran po kulach. Prawdopodobnie dotyczyło tylko postrzałów na terenie sklepu czy magazynu. Zboczyłem chyba z drogi, bo uderzyłem prawym bezwładnym ramieniem o nogę stolika do kawy i znów utknąłem twarzą w

dywanie. Widziałem dolną część frontowych drzwi domku. Z garażu doleciał kolejny huk i zaraz potem zadzwoniły walące o beton stalowe narzędzia. Chciałem jeszcze popełznąć przed siebie, ale nagle ogarnął mnie mrok i zgasłem jak zapałka.

Gdy odzyskałem przytomność, leżałem na plecach w ambulansie. Natychmiast w mojej głowie zrodziło się pytanie: - Kto mi zdjął spodnie?

Wewnątrz karetki było bardzo jasno. Okryto mnie ciepłymi kocami od stóp aż po potężny zwał przylepca z gazą na prawej stronie mojej piersi. To opatrunek rany po kuli, pomyślałem. Skurwysyn. Odpływałem i wracałem. Ciepłe koce były bardzo przyjemne. Schludnie ubrana czarnoskóra sanitariuszka w niebieskim kombinezonie trzymała nad moją twarzą i nosem przezroczystą plastikową maseczkę. Maseczka gulgotała i trzeszczała jak ogień. Sanitariuszka miała paznokcie pomalowane w złote wzorki. - Tlen - powiedziała z uśmiechem. - To naprawdę dobre, mój mały.

Ambulans z wyciem sygnału gnał przez ulice miasta. Włączono też koguta - piękne amerykańskie barwy, czerwień, biel, błękit, czerwień i biel; wirowały i pulsowały. Wstrzymałem oddech, co okazało się błędem. Wspaniały towar Hanlona, pomyślałem i ponownie mnie zaciemniło.

Szpital. Pielęgniarka wbiła mi w ramię wenflon. Widziałem kołyszący się nad moją głową plastikowy worek kroplówki, kiedy przenosili mnie na szpitalne łóżko na kółkach i zaczęli wyścig. Cała akcja była piekielnie hałaśliwa, metalowe kółka podskakiwały na nierównościach betonowej posadzki podjazdu wiodącego z postoju ambulansów do izby przyjęć, automatyczne drzwi same się otworzyły, kolejne szarpnięcie, znaleźliśmy się na korytarzu wyłożonym linoleum i przestało mną tak rzucać. Niesamowity jest taki wyścig, gdy leżysz na plecach. Przemknąłem przez izbę nagłych wypadków, aż zatrzymali mój wózek przy ścianie korytarza. Gapiłem się na sufit wyłożony tekturowymi płytkami z mnóstwem maleńkich, okrągłych dziurek w każdej z nich; co piętnaście stóp z sufitu sterczała metalowa główka spryskiwacza. No, przynajmniej tu nie groziło mi spalenie się na śmierć.

Sanitariuszka mówiła z doktorem, ale oboje znajdowali się gdzieś poza moim polem widzenia. Usiłowałem podstuchiwać, ale usłyszałem coś niezrozumiałego o tlenku węgla. Przewieźli mnie do innego pokoju i przełożyli na łóżko. Błada pielęgniarka o piegowatej twarzy, z trwałą na gęstych kasztanowych włosach, zmierzyła mi tętno i ciśnienie krwi. Potem pobrała mi krew. Zagapiłem się na napełnianą powoli strzykawkę. Czułem się nijako, nie było mi za ciepło ani za spokojnie. Chciałem powiedzieć, żeby mnie nie kładli na szpitalnej sali, ale nie mogłem poruszyć językiem. Nie znoszę sal ogólnych. Połóżcie mnie lepiej na podłodze.

Z wiszącego gdzieś w górze głośnika rozlegał się co chwila jakiś głos, ale nie mogłem zrozumieć, co mówi. Może to był hiszpański. Kaszlnąłem. Zabolało. Zabolało też, gdy spróbowałem poruszyć ramieniem. Zgrzytały koła przejeżdżających obok szpitalnych wózków. Pomyślałem, że powinni nam urządzić wyścig po korytarzach. Śmigalibyśmy po nich, leżąc na plecach jak podczas zjazdu na

bobslejach. Na chwilę odpłynąłem, ale zaraz wróciłem. Pielęgniarka z trwałą stanęła nade mną z notesem na podkładce. - Kochany, czy jest ktoś, do kogo powinniśmy zadzwonić?

Moja pierwsza miłość była w domu ze swoim mężem. Moja córka, która już nie nazywa mnie tatusiem, prawdopodobnie śpi pod posterem reprezentacji USA w piłce nożnej kobiet.

- Panie Kennedy? - Pielęgniarka знаła moje nazwisko prawdopodobnie zajrzała mi do portfela. Te portki gdzieś tu pewnie jeszcze są. - Czy jest ktoś, kogo powinniśmy powiadomić?

Udałem, że jej nie słyszę i dość szybko naprawdę odpłynąłem.

Kiedy odzyskałem przytomność, jakaś lekarka unosiła nade mną głowicę aparatu rentgenowskiego i postukiwała w nią jednym twardym palcem.

- Został pan postrzelony w pierś i pańskie płuco się zapadło. Kula weszła tuż pod obojczykiem, wylatując, złamała pańskie piąte żebro i zrobiła niewielką dziurę w pańskiej łopatce. To się zagoi. - Była niewysoką Hinduską z pasmami siwizny w czarnych, krótko obciętych włosach. Mówiła stanowczym głosem i kręciła słuchawkami. Słowo „żebro” wymówiła tak, że zabrzmiało jak odgłos pospiesznego zamknięcia walizki z zamkiem błyskawicznym. - Powodem tego pańskiego kaszlu jest uszkodzone płuco.

Kaszlnąłem.

Lekarka spojrzała na mnie z naganą w oczach. - W pańskich płucach zebrało się trochę krwi. Będziemy musieli pana zaintubować, żeby ściągnąć tę krew.

- Moja pierś - powiedziałem, ciężko dysząc. - Mój kark. Czuję, że...

Lekarka zmarszczyła brwi z zawodową troską.

- Płuca nie utrzymują już pańskich organów wewnętrznych na ich miejscach - powiedziała szorstko. - Ma pan tam niezłą breję. - Zapisała coś na kartce rozpiętej na tabliczce. - Na takie przypadki mamy opracowane bardzo dobrze sprawdzające się procedury.

W tejże chwili wróciła piegowata pielęgniarka, popychając przed sobą mały wózek pełen medycznych utensyliów. Nie bardzo mi się to spodobało. Zaczęła unosić w górę moje prawe ramię, ale pomyślałem, że to będzie bolało. Przez chwilę się opierałam, ale ona wygrała. Posmarowała mi prawy bok jakimś brązowym świństwem, które śmierdziało jodyną. Z głośników rozległa się seria wrzasków po kurdyjsku. Lekarka wróciła ze strzykawką.

— Znieczulenie - powiedziała. — Zaboli.

Zabolało.

ROZDZIAŁ IV

Tej nocy moje ciało było ociężałe i napchane różnymi lekami. Kilka godzin, zanim się obudziłem, leżałem na plecach i gapiłem się na sufit; przez zimne pokłady demerolu¹² obserwowałem te tekturowe płytki sklepienia. Ogarniały mnie fale zapachu wcieranego we mnie alkoholu i lateksowych rękawic.

Powoli odetchnąłem. W mojej piersi krążyły strumienie bólu. W prawe ramię miałem wetknięty wenflon. Z każdym uderzeniem mojego serca drżała wbita w moją skórę plastikowa igła.

Zamknięte oczy.

Bijące serce.

Odgłosy szpitalne, mgliste i niewyraźne, docierały do mnie jak spod wody: liczne kroki, dzwonki telefonów, dalekie rozmowy przez intercom. Zgrzyt kół szpitalnych wózków, głosy mijających moją salę sanitariuszy brzmiały mocniej, a potem cichły, w miarę jak wózki się oddalały.

- Ja was chrzczę wodą ku pamiętaniu, ale ten, który po mnie idzie, jest mocniejszy niż ja; jemu nie jestem godzien i sandałów nosić; On was chrzcić będzie Duchem Świętym i ogniem. - Słowem tym towarzyszył szelest przewracanych kartek Biblii.

- Kto tu jest? - spróbowałem zapytać.

Tak zimno.

Więc tak to jest być martwym? Zimny brud wepchnięty do ust i uszu. Życie jest jak plotka - szepty ludzi, którzy, rozmawiając, przechodzą obok w podmuchach świeżego powietrza. Wpakowany do ziemi; stłumiony odgłos kroków nad głową i wewnątrz mojego pokoju; dochodzący z daleka słaby gulgoczący syk, jakby ktoś wysysał przez słomkę resztki coli z papierowego kubka. Bezwiednie przechyliłem głowę na bok i otworzyłem oczy. Otoczona nimbem jasnego światła pielęgniarka stała przy innym łóżku. Jej biały kitel był jasny i lśniący, wprost promieniował blaskiem. Patrzyła z góry na starego człowieka, który gapił się na nią ze strachem w oczach i mrugał powiekami. W jego nosie zniknęły dwie rurki przypominające plastikowe szemrzące coś wąsy.

Bardzo chciałem, żeby pielęgniarka sobie poszła, bo zbudziło się we mnie podejrzenie, że jak tu zostanie, to staruszek umrze. Nie chciałem, żeby ktoś jeszcze musiał umierać. Żadnych więcej duchów.

Tom Hanlon - anioł o jasnych skrzydłach dymiących w żółtym świetle. Światło było jaskrawe i migotało.

Dryfowałem przez całą noc z oczami raz otwartymi, a raz zamkniętymi. O linoleum stukały obcasy trzewików zaafierowanych pielęgniarek. Białe kitle zmieniały mi worek z kroplówką lub pochylały się nad staruszkami, albo wdzierały się szorstko w moje sny. Słyszałem szelest przewracanych stron i raz ujrzałem nad sobą twarz mojej mamy. Po kilku godzinach odpłynęła w górę niczym balon i, stając się coraz mniejsza, znikła w końcu w jednej z dziur płytek sufitu. Wiele snów później zobaczyłem

¹² Narkotyczny lek o silnym działaniu przeciwbólowym (przyp. red.).

ją jeszcze raz. Siedziała obok mojego łóżka z poważną żalobną miną na twarzy. Głośniczki intercomu syczały i trzeszczały. W sąsiednim pokoju słychać było osobliwy dźwięk, jakby wszystko pochłaniał żarłoczny ogień.

Mam jedenaście lat i wciąż łączę za moją siedemnastoletnią niesamowicie bystrą kuzynką AJ. Ona cytuje poezję, po szkole pracuje w sklepie, a za zarobione pieniądze kupuje sobie walkmana, na którym wciąż odtwarza muzykę Clash i Roxy, zamiast George'a Jonesa i Dolly Parton.

AJ jest nie tyle moją niańką, co kuratorem. Podczas weekendów zabiera mnie w miejsca, gdzie starsi mają inne rzeczy do roboty. Dziś wybieramy się do szpitala, odwiedzić jedną z jej klasowych koleżanek. - Jamie mówi, że oni tylko wleźli do ciasnego pokoju i trochę się pomigdalili. - AJ i ja ni cholery w to nie wierzymy. - Barb mówi, że Sandra powiedziała, że jakby ją zgwałcił. Ale nie do końca.

AJ zawsze traktuje mnie tak, jakbym był dostatecznie duży, żeby sobie ze wszystkim poradzić.

Na zewnątrz panuje duszny sierpniowy upał, powietrze jest gorące i lepkie jak olej maszynowy, ale kiedy otwieramy szpitalne drzwi, z klimatyzowanego wnętrza uderza w nas fala pachnącego formaliną i chłodnego powietrza. Pytamy o pacjentkę w recepcji i ruszamy na oddział psychiatryczny. Mam na sobie koszulkę z logo „Imperium kontratakuje”, a AJ sportowe przyciemniane okulary Lennona i niesie wielką dzinsową torbę, w której trzyma swojego walkmana, taśmy, rozmaite damskie drobiazgi i prawdopodobnie trochę dragów, choć w tym wieku żadnych jeszcze nie widziałem.

- W dziesięć dni po imprezie ta dziewczyna, Sandra, chciała się zabić - mówi mi AJ. - Jej mama znalazła ją prawie nieprzytomną w wannie pełnej czerwonej wody. Otworzyła maszynkę do golenia, wzięła żyletkę i się pochlastała po nadgarstkach.

Nienawidzę szpitali. Ludzie w nich umierają.

- Miała bzika na punkcie Jamie. W końcu był w drużynie piłkarskiej - mówi zjadliwie AJ.

Kiedy docieramy do pokoju Sandry, siedzi tam jej mama i coś trajkocze, żeby zagłuszyć ciszę.

Sandra jest jak zombie. Bardzo wychudzona. Ma długie przetłuszczone włosy i jasną, pokrytą piegami twarzyczkę. Leży blada i sztywna, co można przypisać działaniu leków uspokajających albo depresji. Gdyby ją tknąć palcem, w skórze pozostałby dołek, jak zastygły w wosku. Porusza się powoli, jej ciało drży. Jest jak popsuta i nie umiem sobie wyobrazić, żeby dało się ją naprawić. Plastikowa szpitalna bransoleta wygląda na jej nadgarstku, jakby obejmowała pustkę.

- AJ, tak się cieszę, że wpadłaś - terkocze mama Sandry. - To bardzo dobrze, że Sandra ma tak miłe przyjaciółki. - Na jej policzkach widać czerwone plamy.

Sandra nie odpowiada. Dotarła do miejsca, w którym słowa nic już nie znaczą.

Zwlekamy jeszcze z piętnaście minut, a potem AJ mówi, że powinniśmy się zbierać, co przyjmuję z niemalą ulgą. Wsiadając do windy, widzę, że moja kuzynka ma wargi zaciśnięte w sposób świadczący o tym, iż zamierza komuś skopać dupsko. Mam nadzieję, że tym kimś nie będę ja. Winda jest ciasna i ma lśniące, metalowe ściany. Jestem w niej zamknięty, a wszędzie wokół siebie widzę odbicia AJ. Wszystkie

patrzą na mnie z dezaprobatą w oczach.

- TK, chciałam, żebyś to zobaczył.

- Dlaczego?

- Bo któregoś dnia to ty się zamkniesz z jakąś dziewczyną w ciasnym pokoiku.

Drzwi windy się otwierają, rozdzielając jedno z odbić AJ na połowy. Dziewczyna wychodzi energicznym krokiem na korytarz, a ja drobię za nią. Rozumiem, że powinienem czuć się winny, bo jestem chłopcem i tak też się czuję, ale nie umiem zrezygnować z dobrych numerów, takich jak robienie sobie jaj i zdejmowania koszuli w letnim upale. Jestem pewien, że AJ wyczuwa tę niegodną myśl. Starannie unikam spojrzenia jej w oczy i nagle łapię się na tym, że widzę, jak patrzy na mnie jej odbicie w szkłe drzwi szpitala. - Więc nie bądź kutasem - mówi AJ.

Gdy ocknąłem się ponownie, przez okna sączyło się już światło dnia. Moja matka odeszła. Czułem się nieco mniej oszołomiony. W moim nadgarstku tkwiła igła wenflonu i bolało mnie w piersi, ale nie przejąłem się tym tak bardzo, jak powinienem. Prawdopodobnie dlatego, że wciąż byłem naszprycowany po same uszy.

Do pokoju weszła olbrzymia czarna pielęgniarka. Nad kieszenią jej kitla, dość wielką, żeby ukryć w niej jamnika, wyszyto imię Darła.

- Dzień dobry, panie Kennedy. - Ujęła mój nadgarstek i sprawdziła tętno. Jej palce były wielkie jak naleśniki, ciepłe jeszcze po zdjęciu z patelni. - Jak się czujemy?

Kaszlnąłem. Wewnątrz, pod żebrami, poczułem nki kłę fajerwerki bólu.

- Boli mnie w piersiach. - Ułożyłem zwiotczałe mięśnie twarzy w coś na podobieństwo uśmiechu. Daria zerknęła na worek mojej kroplówki i zapisała coś na swojej tabliczce. - Co jest w tej kroplówce? - Zapytałem. - Tylko demerol?

Daria pogłaskała mnie pod brodą. - Percodan¹³. Łyżka cukru pomaga przełknąć lekarstwo.

Zaśmiałem się i popełniłem błąd. Poprzez rozmaite dziurki w mojej piersi przebiły się ogniste strzałki i w oczach stanęły mi lzy bólu. - Ja bym się na twoim miejscu za bardzo nie ruszała - stwierdziła Daria tonem łagodnej nagany. - W nocy wpadła tu twoja matka. Całkiem miła. - Z głębin mojej jaźni wypłynął fragment snu: spokojna twarz mojej matki, patrzącej na mnie z góry ze smutkiem w oczach, jakbym przepadł na dnie jakiejś studni. - Zaraz wrócę z twoim śniadaniem. Lepiej, żebyś coś zjadł. Jacyś policjanci chcą z tobą pogadać.

No tak, wspaniale.

Jako głupi nastolatek miałem kilka utarczek z De partamentem Policji hrabstwa Harris. Do czasu ukończenia szkoły średniej ograniczyłem swoje zbrodnie do kilku przypadków wymuszeń drobnych sum na swoich młodszych kolegach lub odebrania im puszki coli, ale ponownie się pogrążyłem podczas roku, w którym Josie puściła mnie kantem. Nie opodal mojego apartamentu przy Old Spanish Trail są wielkie

¹³ Lek przeciwbólowy zawierający m.in. kwas acetylosalicylowy, czyli aspirynę (przyp. red.).

koszary marines i zacząłem zaglądać do pewnego baru, w którym te trepy przesiadywały, czyhając na okazję zarwania jakiejś miejscowej dziewczyny. W razie potrzeby i dla dobra sprawy potrafię nieźle nawijać i nigdy nie musiałem zbyt długo czekać na zaproszenie do tańca. Potem trzeba było tylko dobrze się ustawić, gdy pan Żołnierz Zawodowy udawał, że zamierza mi przyłożyć jak doświadczony bokser. Prędzej czy później dochodziło do zwarcia, trep chwycił mnie za kłapy i odkrywał tam garść niezawodnych i nierdzewnych haczyków Eagle. Wydawał wtedy dziki wrzask, a ja rozkwaszałem mu nos, uderzając z byka. I było po zawodach.

Przyznaję, że nie był to najdojrzalszy okres w moim życiu, ale wymierzałem sprawiedliwość.

Pewnej nocy wszcząłem spór z jakimś czarnoskórym marine, pochodzącym z jednego z tych małych miasteczek w Luizjanie, gdzie jedzą tylko krewetki i rządowy chlebek z pomocy socjalnej. Zwrócił na siebie moją uwagę głośnym stwierdzeniem, że dziewczyny z zespołu Violent Femmes to same lesbijki. Zaprotestowałem łagodnie tylko po to, żeby w dziesięć minut później malowniczo osunąć się po znaku parkingowym, z gębą pełną krwi i narastającym we mnie podejrzeniem, że zostałem wystawiony. Gdy przyłączyłem się do dyskusji, ten facet natychmiast stracił wszelkie zainteresowanie muzyką alternatywną, ale okazało się, że lewym prostym potrafi walić jakby używał nitownicy. O dwa zęby, złamane żebro i pękniętą szczękę później powiedział mi, że walcząc w wadze lekkopółśredniej, zdobył Srebrne Rękawice Floty. Żeby zapłacić rachunek, jaki mi wystawił mój dentysta, musiałem przez pół roku harować w supersamie Krogera.

Po tym, jak facet zostawił mnie leżącego na parkingu pyskiem ku ziemi - muszę dodać, że wszystko działo się przy głośnym aplauzie widowni - kucnął nade mną bramkarz i powiadomił mnie, że zaraz zjawią się gliny, żeby mnie zapuszkować za zakłócanie porządku publicznego. Powinienem był uciec albo przynajmniej schować się gdzieś za koszami na śmieci, a zamiast tego zacząłem macać po wszystkich oświetlonych miejscach, szukając brakujących zębów, aż wreszcie zjawiła się Czerń i Biel. Gliniarz o imieniu Earl był przyjaźnie nastawionym facetem w średnim wieku. Spojrzał na mnie tylko raz - po czym wezwał karetkę, a zanim ta się zjawiła, kręcił się obok, opowiadając o swoim hobby, którym było przyrządzanie wytwornych sałatek. Nie bardzo mnie było stać na korzystanie z usług pogotowia, ale ciężko jest się spierać, kiedy masz pysk zalany krwią, a przyjaźnie nastawiony glina może wpaść na brzydki pomysł zabrania cię na posterunek.

Myślę, że wtedy właśnie po raz pierwszy w życiu usłyszałem słowo „brokuły”. Było to moje najlepsze bliskie spotkanie trzeciego stopnia z policją, ale teraz, w dziesięć lat później i w tych okolicznościach - samoobrona wobec uzbrojonego mordercy, który zatłukł dziewczynę na śmierć i wrzucił jej ciało do rzeki lub jakiegoś innego zbiornika wodnego - mogłem się spodziewać pewnego współczucia ze strony Niebieskich. Ale, jak się okazało, Departament Policji hrabstwa Harris wydelegował do mnie parę swoich najbardziej podejrzliwych i nieufnych funkcjonariuszy. Dość szybko i bezceremonialnie wyjaśnili mi, że z ich punktu widzenia byłem facetem z nieźle zabazgraną kartoteką, który spalił do gruntu dom porządnego i płacącego podatki obywatela z tymże obywatelem wewnątrz.

Powiedziałem im, że Hanlon przyznał mi się do zabójstwa tej dziewczyny, a potem postanowił się mnie pozbyć. Nie bardzo ich poruszyło to wyjaśnienie, a ja w żaden sposób nie mogłem powołać się na ducha.

Zaproponowałem, żeby zbadali przeszłość Hanlona i sprawdzili, czy są jakiekolwiek podejrzenia łączące go z zabójstwami kobiet w Europie. A potem stwierdziłem, że może powinienem zadzwonić do mojego prawnika.

Tegoż popołudnia musiałem znieść kolejną wizytę mojej matki. Usiłowała nie pokazać po sobie, jak bardzo jest wystraszona, ale jej oczy nieustannie wędrowały z mojej kroplówki na moją obandażowaną pierś. Trajkotała ochoczo, głównie o mojej siostrze Fonteyne i jej córeczce Violet, ale byłem koszmarnie wyczerpany i co chwila zawisały pomiędzy nami zasłony milczenia. Mama zaciekle usiłowała je rozsuwać. Miała czerwone plamy wysoko na policzkach.

Jak długo pamiętałem, zawsze pracowała w recepcji tej samej kliniki. W latach 80. był tam jeden doktor morfinista. Popępiał błędy i wydawał niewłaściwe diagnozy, aż po dwu latach takiej działalności jedna z pielęgniarek wróciła do gabinetu po zostawioną tam przypadkiem torebkę i znalazła go na podłodze z igłą wbitym pomiędzy palce u nóg. Zaczął ćpać, kiedy jeden z jego pacjentów, u którego stwierdził zwykle bóle kręgosłupa, umarł na raka. Mama mówiła, że wielu lekarzy jest na szprycy.

Sprawę wyciszono i wysłano go na kurację odwykową. W sumie uwolnił się od morfiny, ale nie potrafił zrezygnować z palenia, co było dość istotne, bo jego córka należała do astmatyków. Co kilka miesięcy biedaczka budziła się niebieska i bez tchu, on wypadł z sypialni w szlafroku i wstrzykiwał jej potężną dawkę adrenaliny, a potem odwoził ją do szpitala. Ale nigdy nie zrezygnował z palenia. Przez cały czas i wszędzie towarzyszył mu czerwony ognik na końcu papierosa, a smugi dymu wsiąkały w każdy dywan i w każdą szczelinę sufitu.

Nie wszystkie upiory są martwe, ale każdy z nich jest głodny. Są głodne i nic, nic, ale to naprawdę nic nie może ich zaspokoić.

Kiedy byliśmy dziećmi, mama nieustannie przynosiła do domu całe masy drewnianych szpatulek, plastrów i tych plastikowych zabaweczek, jakie wam dają po szczepieniach. Ze wszystkich rzeczy, które przynosiła, najbardziej utkwiły mi w pamięci czarne egzemplarze wydruków „Tygodniowych Raportów Wypadków Śmiertelnych”. Każdy z nich zawierał opis trzech czy czterech wypadków i każda z tych historyjek była jak krótka bajeczka z morałem. Każda historyjka zaczynała się inaczej...

„Trzej dentyści w Omaha jedli kanapki z jajkami, kiedy...”

„Czterech wycieczkowiczów z San Diego wybrało się na trudną trasę w Sierra Mountains, kiedy...”

„Grupka uczniów z Dayton w Ohio pływała w miejscowym stawie, gdy...”

Ale wszystkie te historyjki, choć każda zaczynała się inaczej, kończyły się tak samo.

Przez całe dzieciństwo jadałem płatki śniadaniowe, czytając o wypadkach wirusowego zapalenia opon mózgowych wywołanych ukąszeniami kleszczy, czy siusiałem do klopika, nad którym wisiał

szczególony opis wyglądu i uszkodzeń ciałek urodzonych w Michigan dzieci, których mamy piły nasyconą związkami rtęci kranówę. W naszej rodzinie stało się to swoistą formą żartów:

- Troje dzieci spóźniło się na zajęcia szkolne w Deer Park, kiedy... - mówił ojciec z groźną miną, usiłując wypchnąć nas z domu.

Nie mam pojęcia, czemu mama tak się fascynowała tymi raportami. Myślę, że zastępowały jej późniejsze programy Oprah.

Młoda Europejka spotkała akwizytora z Teksasu, kiedy...

Tak brzmiałaby historia o moim kuzynie Tomie.

Zabiłem go.

Zabierałem się właśnie do drugiego okropnego szpitalnego śniadania, kiedy usłyszałem coraz bliższy tupot lekkich czólenek na korytarzu. Uniosłem wzrok znad moich płatków zbożowych na ciepło (Cream Wheat™), kiedy do mojego pokoju wślizgnęła się młoda kobieta.

- Suzette Colbert, „Houston Chronicle” - przedstawiła się. - Chciałabym usłyszeć coś o pańskich duchach.

- Kto, do cholery, pani o tym powiedział?

- Po mężu byłam Suzy Friedlander - stwierdziła. - Mój kuzyn Travis ożenił się z Marcia Jessup.

- Kuzynką Marcia cioci Patty?

- Owszem. Spotkaliśmy się raz, na pogrzebie AJ. Leżałem na plecach i mogłem widzieć tylko jej górną połowę, gdy klikała w stronę mojego łóżka.

- Travis opowiadał nam rozmaite historie o swoim stukniętym kuzynie, Truposzu Kennedym. Chyba rozpoznałam twoje nazwisko we wczorajszym raporcie policyjnym. Mój brat pracuje w biurze rzecznika prasowego policji. Nie ma to jak rodzinka, prawda?

To wyjaśnienie walnęło mnie z siłą pięcioletowego młota. Jak tylko sięgam pamięcią, zawsze bardzo uważałem, żeby nikomu nie mówić o tych moich duchach, i wszyscy wokół doskonale o nich wiedzieli. Teraz, dziobiąc szpitalnym widelcem porcję wyjętych z mikrofalówki ziemniaczanych frytek Browna, zrozumiałem, że wydała mnie moja rodzinka. Dokładnie rzecz biorąc, musiała to być AJ, której opowiedziałem wszystko w najgłębszym sekrecie, żeby ją choć trochę sobą zainteresować, a ona musiała wypaplać wszystko krewnym i znajomym Królika, takim jak jej kuzynka Marcia.

Nie mogłem pojąć, jak mogłem nie rozumieć tego wcześniej.

Cholera, moje siostrzyczki prawdopodobnie robiły samo, usiłując zainteresować swoje szkolne psiapsiółeczki. Parsknąłem śmiechem, co odbiło się bólem w mojej piersi. Koncertowy idiota... powinienem był się domyślić znacznie wcześniej. Suzy Colbert wyjęła z torebki maleńki srebrzysty dyktafon.

- Pozwolisz?

- Zwykle o tym nie rozmawiam - odparłem. - Ale czego się nie robi dla rodzinki...

- To mi się podoba - stwierdziła Suzy, parodiując głosy teksańskich cheerleaderek. Wcisnęła guzik nagrywania. - Powiedz mi, Will, jak to jest, kiedy się zobaczy ducha?

Pomyślałem o moim bosonogim wujaszku Billyni, który czyhał na mnie nad mrocznymi wodami pod mostem Fannina, stojąc przed szeregiem wózków i legowisk włóczęgów, którzy wypadli z życia, nawet nie umierając.

- Widujesz czasami bezdomnych? Wiesz, że najczęściej starasz się ich nie zauważać? Są, ale ty na nich nie patrzysz i ich nie widzisz. Patrzysz gdzie indziej. - Suzy kiwała głową. - To jest dość podobne. Tyle, że ja nie jestem tak dobry w omijaniu ich wzrokiem, jak inni.

- Badałeś sprawę ducha, który nawiedzał Toma, prawda?

- Tak. - Sięgnąłem po pojemnik poziomkowego dżemu i spróbowałem go otworzyć. Cholernie bolało mnie ramię i nieustannie drżała mi dłoń. - Odbiło mu trochę i wziął mnie na muszkę.

Być może pielęgniarki wlały zbyt wielką ilość percodanu do mojej kroplówki, ale cała sytuacja wydała mi się niesamowicie śmieszna i bardzo teksaska. Jak kiedyś stwierdził Lee, cienka jest linia dzieląca Houston od farsy.

Suzy wzięła ode mnie pojemnik z dżemem, otworzyła go i rozsmarowała zawartość na trójkątku mojego Tosta z mikrofalówki.

- To musiało być straszne.

- Gówniana prawda. Chcę powiedzieć, jasne. Wiesz, nie miałem takiego stracha od tamtej sprawy Rzeźnika z Bayou w dziewięćdziesiątym dziewiątym.

- Więc często robisz takie rzeczy?

- Staram się tego unikać, ale czasami płacą mi tak, że trudno się oprzeć pokusie.

Suzy zamrugnęła oczami.

- A ile bierzesz?

- Tysiąc dolców za dzień. - Łyknąłem nieco produktu wyciskanego z pomarańczy, z zawartością około dziesięciu procent prawdziwego soku. - Plus wydatki.

Nie wolno zapominać o rachunku za wydatki. Widzicie, wszystkie te godziny spędzone na oglądaniu „The Rockford Files”¹⁴ na coś się jednak przydały.

- Wydatki?

- No, wiesz... Świece. Poszukiwania w Internecie. W razie czego, trzeba też opłacić jakiegoś kapłana... - Do mojej kroplówki siostrzyczki musiały wstrzyknąć coś na poprawę nastroju. - Usługi tych panów bynajmniej nie są tanie.

- No, no... nie wiedziałam - powiedziała Suzy. - Niesamowite.

Dzięki moim złamanym żebrom łatwiej było mi się powstrzymać od śmiechu, gdy niechętnie ujawniałem zawodowe sekrety Williama Kennedyego, twardziela, łowcy i pogromcy duchów do wynajęcia. AJ, ty mała zdrajczyni! Ty królowo dramatów! Ten wywiad jest dla ciebie!

¹⁴ Popularny amerykański serial kryminalny (przyp. red).

Następnego ranka Daria przyniosła mi ze śniadaniem egzemplarz „Houston Chronicle”. Suzy wsadziła mnie na pierwszą stronę działu Styl Życia.

Truposz otwiera usta

Od przedmieść Piekieł po Ref nery Row — badacz zjawisk paranormalnych William „Truposz” Kennedy dobrze zna piekielne krajobrazy i klimaty.

Było tam zdjęcie - moja fotografia na szpitalnym łóżku. Wyglądałem, jakby to powiedział wujaszek Walt, jak dziesięciofuntowe gówno w pięciofuntowym worku. Spojrzałem ze zgrozą na Darię. - O mój Boże!

Uśmiechnęła się oślepiająco.

Przebiegłem wzrokiem artykuł Suzy. Było tam wszystko, każde bezczelne łgarstwo pomieszczone z prawdą, włącznie z moją osobistą klasyfikacją na Buddów, Serca Bajarzy, Cobainów, Rozpruwaczy i Zombich.

Łapiduchy wyłączyły już percodan ze spisu moich leków i nagła myśl, że połowa Houston zajada się w tej chwili kiełbaskami i naleśnikami, czytając historyjkę o Szalonym Egzorcyście „Truposzu” Kennedym wydała mi się znacznie mniej zabawna niż wczoraj. - Czy oni nie powinni sprawdzać faktów przed puszczaniem artykułu do druku?

- Chyba tak, ale to dotyczy wiadomości. Ty jesteś w dziale Styl Życia. Masz wytrzeszcz oczu – stwierdziła Daria.

Słyszałem ich, jak ciągną korytarzem, spierając się i oskarżając jedno drugie, słyszałem chrzęst tenisówek, a także człapanie mojej siostry Paris, kiedy krzyknęła „Justin” i wyciągnęła swojego dwulatka z innej sali. Moja czteromiesięczna siostrzenica Violetta wydała długi gniewny wrzask; a tatko uspokajał ją cierpliwie.

- Dobrze, Megan, ty pierwsza - powiedziała będąca jeszcze poza polem mojego widzenia mama.

Megan! Moje serce wywinęło nagłego kozła. Megan dowie się o mnie i tych moich duchach! Nawet jeżeli sama nie przeczytała tego artykułu, ktoś z pewnością jej o nim powie. Na pewno to odkryje. Dlatego właśnie nie powinienem był rozmawiać z Suzy Colbert. O mój Boże! Po jedenastu latach prób ukrywania tego gówna przed córką, spieprzyłem wszystko w dwadzieścia minut tylko po to, żeby zrobić sobie jaja z jakiejś odległej kuzynki pracującej dla „Chronicie”.

Jasna cholera!

Megan weszła do pokoju. Miała makijaż na twarzy podmalowała brwi na brązowo i nałożyła cienką warstwę bladego różu na wargi.

- Hej - powiedziała.

- Ty sama hej!

Podąła mi mojego discmana. - Babcia i ja pomyślałyśmy sobie, że powinnyśmy ci to przynieść.

Nacisnąłem guzik kontroli ułożenia łóżka. Silniczek zahuczał i powoli uniósł mój tors i głowę do góry. Czułem się żałośnie słabo i trochę głupio. Moje prawe ramię było w zasadzie bezwładne, złamane zebro kłuło mnie boleśnie za każdym razem, gdy zaczynałem się śmiać, a każdy mięsień w mojej piersi był zgrzany i obolały, jakby mnie pobito bejsbolową pałą. - Byłyście w moim mieszkaniu?

Do sali wpadł Justin ścigany przez Paris, a za nimi pojawiła się reszta rodziny.

- Boże, co za chlew! - Paris chwyciła Justina za rączkę i zatrzymała jednym szarpnięciem. - Justin? Chcesz na nocniczek?

- Jestem kotem! - wrzasnął Justin. Wyrwawszy się matce opadł na czworaki i przełaził za moje łóżko. - Miauuu! Mrrrau!

Megan miała na sobie szorty koloru khaki z ozdobnymi sprzączkami i sandały. Dzięki Bogu, pomalowała sobie paznokcie nóg na czarno. Gdyby były różowe, straciłbym wszelką nadzieję.

- Jeżeli dorośli żyją tak jak ty, to zamierzam powiedzieć mamie, że nigdy już nie będę sprzątała w moim pokoju - stwierdziła Megan. - Teraz wiem, dlaczego nigdy mnie do siebie nie zaprosiła. Nie, żartuję, Will...

Pokoik Megan zawsze lśnił nieskalaną czystością. Don prawdopodobnie przeprowadzał w nim lotne inspekcje z zaskoczenia, udzielając jej nagan przed frontem własnym, jeżeli rogi łóżka nie były wygładzone zgodnie z koszarowymi standardami trepów.

Tatko wkroczył do sali z przerzuconym przez jedno ramię śliniaczkiem i kołyszając córeczkę Fonteyne, Violetę. Fonteyne utrzymuje, że ojciec jej córeczki był męskim modelem. Nikt z nas go nie widział, a ja mam brzydkie podejrzenia, że dotyczy to i Fonteyne, której doświadczenia życiowe wskazują, że była pijana i podczas kilku pierwszych podziałów komórkowych przyszłej Violette miała zamknięte oczy.

- Fonteyne nie mogła wpaść dziś rano – stwierdził tatko - ale kazała przekazać ci jej gorące pozdrowienia. Ma jedną ze swoich lekcji modelowania.

Mógłbym w tym momencie unieść oczy ku niebu.

Mama opadła ciężko na krzesło dla gości.

- Przynieśliśmy ci kilka rzeczy z twojego mieszkania. Ramonsów, Eelsów i ten album „Sandinista!”¹⁵, którego tak często słuchałeś. - Wyjmując każdą płytę z torebki, odsuwała ją od siebie na długość ramienia i zerknęła przez swoje dwuogniskowe szkła, żeby przeczytać tytuły: „Screaming Blue Messiahs”, „Jesus and Mary Chain”, „Stiff Little Fingers”.

- Co? Nie przynieśliście moich taśm z „Gun Club”?

- Widzieliśmy ten artykuł w prasie - stwierdziła Paris. - Nigdy nam nie powiedziałeś, że zarabiasz taką forszę! Czemu sobie nie wezmiesz jakiej służącej albo kogoś w tym guście? Justin! - wybuchła nagle.

- Natychmiast wyłaż spod łóżka wuja Willa!

Justin lubi się ukrywać. Prawdę mówiąc, podejrzewam że odziedziczył tę skłonność po swoim

¹⁵ Album punkowej grupy The Clash.

tatusiu, którego nikt nie widział od dnia, w którym siuski Paris zaróżowiły jej test ciążowy. Moja siostra nie była zbyt dobra w ocenianiu mężczyzn.

- Nie widziałam Suzy od matury - stwierdziła mama. - Od lat nie zjawia się na uroczystościach rodzinnych. Myślę, że przez cały czas kręciła z AJ i tamtymi...

Siedzący pod łóżkiem Justin chwycił podstawkę stojaka kroplówki i delikatnie nim szarpnął. Worek się zakotysał, a igła wenflonu drgnęła w mojej żyle. - Hej, Jus! Natychmiast przestań!

Spod łóżka doleciał głos stłumionego chichotu.

- Kiedy mama zobaczyła ten artykuł, popadła w sentymentalny nastrój i postanowiła zorganizować kolejne rodzinne spotkanie integracyjne Smithersów - odezwał się tatko.

Ha! Mój tatko nie przepada za spędzaniem rocznie dwu dób pod rząd na jakimś kempingu z mniej więcej setką Smithersów, których aktualnie da się zwołać. Dla dzieciaka oczywiście taki rodzinny zjazd to sama frajda: można się opalać, opychać frytkami i dźgać węże kijami, ale zorganizowanie tego wszystkiego jest trudniejsze od przeprowadzenia Czwartej Armii przez Afrykę Północną.

- Rodzina to wszystko, co mamy - stwierdziła mama.

- Na przykład taki Tom Hanlon - mruknął tatko. - Do licha, gdyby zjawił się na kilku wcześniejszych zjazdach, mógłby załatwić paru Smithersów, zanim dobrał się do Willa.

- Mówiłam ci, że on tak naprawdę nie należał do Smithersów - ucięła bynajmniej niespieszona mama. - Ojciec Dot ponownie się ożenił po śmierci jej mamy. Trafiła jej się naprawdę złośliwa forma chłoniaka. Znaczący, jej mamie. Zgasła jak świeca, sześć miesięcy od diagnozy do zgonu. - Mama wciąż trzymała i głaskała moją dłoń, jakby chcąc się upewnić, że jestem przy niej. - Przypominam sobie chyba, iż jej rodzina pochodziła z Abilene. Dot naprawdę wzięła sobie do serca fakt, że jej ojciec tak szybko ponownie się ożenił. Ale tak to już jest. Mężczyźni nie znoszą samotności. Po kobietach oczekuje się, że pozostaną wdowami.

Tatko uniósł jedną brew. - Nie trać nadziei, mamusiu.

Mama skwitowała tę uwagę nikłym uśmiechem. - Kiedy Eugenia wprowadziła się do ich domku, Dot musiała opróżnić szafki po mamie i myślę, że musiały się wtedy ścierać. O ile sobie przypominam, mąż Eugenie - znaczący, ojciec Toma - spalił się w pożarze pola ropy nieopodal Andrews. Walnął motyką w gazociąg i spłonął w eksplozji...

Mama urwała nagle i spojrzała na mnie z osobliwą miną.

- Historia lubi się powtarzać - stwierdziłem. Ponownie zobaczyłem Hanlona i to, co mu zrobiłem. Niezdarnie potykający się, płonący uparcie anioł.

- Mrrrau! - warknął Justin spod łóżka. - Jestem kotem! Mrau! Mrrrau! - Ponownie popchnął stojak z kroplówką.

Mama ścisnęła moją dłoń. - Wyglądasz na zmęczonego, Will. - Powiedziałem, że czuję się dobrze, ona jednak już się podnosiła z krzesła. - Najlepiej będzie, jak sobie pójdziemy. Megan, może zostaniesz chwilę i porozmawiasz z ojcem? Zaczekamy na korytarzu.

Zostawili mnie samego z córką. Przypomniałem sobie, jak patrzyłem na martwą dziewczynę w garażu Hanlona i wyobrażałem sobie na jej miejscu Megan, związaną i pobitą.

Kiedy byłem mały, wyobrażałem sobie, że życie jest fajerwerkiem, rozbłyskiem światła na niebie. Gdy umierasz, to jakby spadała rakietka: migotanie, iskry, wspomnienia, stare historie, może kilka modlitw i wreszcie ciemność. Ale dla ducha, dla tej dziewczyny zabitej przez Hanlona, śmierć jest pułapką; jest jak kiepska fotografia, którą chwyta się w złym momencie. Wszystkie kolory blakną jak gasnące niebo, wszystko się rozmywa i zatrzymuje, ukazując tylko jedną rzecz. Jedną, najgorszą rzecz.

- Ten facet, który cię postrzelił... - zaczęła Megan. - To z powodu ducha?

Zaczerwieniłem się. Pieprzona Suzy Colbert, pieprzona AJ, dwanaście lat baczenia na każde słowo spieprzone w jeden dzień, dwanaście lat ostrzegania mojej rodziny, żeby nigdy nie mówiła córce o tej jednej jedynej rzeczy...

- Mama mi powiedziała kilka lat temu - stwierdziła Megan.

No tak.

- Nie mówiłam ci o tym, bo myślałam, że cię to krępuje.

- W porządku.

- Tatko wyciąga to za każdym razem, kiedy nie chce, żebym cię odwiedzała.

Tatko to Don, były trep. - On uważa, że jesteś stuknięty.

- A Josie?

- Ona twierdzi, że ty naprawdę je widzisz.

- A ty komu wierzysz?

Megan zerknęła na mnie z półuśmiechem na ustach. - Mama i ja znamy cię lepiej.

Kiwnąłem głową. Zachowałem spokój, ale w mojej głowie brzmiały radośnie struny wspaniałej harfy. Uścisnąłem dłoń Megan. - Nie chciałem, żebyś mnie takim widziała...

- Ktoś powinien zadbać o ciebie. - Zanim wyszła, pocałowała mnie w policzek, zostawiając mi na nim maleńką różową plamkę szminki. Dwunastoletnia dziewczynka.

Następnego dnia obudził mnie skrzyp otwieranych drzwi do mojej sali. Czekałem na odgłosy krzątaczki pielęgniarki, ale zamiast tego... -Will?

Głos Josie.

Z jakiegoś powodu nie otworzyłem oczu. Leżałem na łóżku, jakbym wciąż jeszcze spał. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się zachowałem. Byłem zmęczony. I miło było pomyśleć o tym, że ona tu stoi i patrzy na mnie.

- Nie śpisz - stwierdziła rzeczowo Josie. - Wciąż jeszcze wiem, jak wyglądasz, kiedy udajesz śpiącego.

Miała na sobie drelichową koszulę i spłowiełe dzinsy tego samego koloru, co jej oczy. Włosy zawiązała w koński ogon. W każdym calu wyglądała jak nowoczesna mama nowoczesnej nastolatki,

którą była, tyle że w lewym uchu miała sześć krążków kolczyków. – Wiesz myślę, że lubisz Dona, ponieważ przy nim to ty możesz być tą dzikuską - powiedziałem. - Mamuszką z charakterkiem.

- Wiesz, on ci zazdrości.

- Jak cholera.

Usiadła na krześle dla gości. Przytyła nieco w biodrach, a w jej jasnych włosach pojawiło się kilka srebrnych pasemek.

- Don był zawsze... Zbiera broń. Czytuje książki o wschodniej filozofii. Na rok przed wstąpieniem do woja przejechał autostopem przez cały Meksyk. - Josie urwała. - Nigdy nie widział siebie w roli zastępcy administratora supermarketu. A teraz pracuje na nasze utrzymanie. I się nie skarży. Przynajmniej mnie. Ale to wszystko: żona, dziecko, treningi piłkarskie i dług na hipotecę... mamy dług, na miłość boską! - Josie wyglądała na bardzo znużoną.

- Jeżeli on mi zazdrości, to jest większym dupkiem, niż myślałem.

- Wiesz, polubiłbyś Dona, gdybyś tylko zadał sobie dość trudu, żeby go poznać.

Pierdolony, skurwysyński trep. - Dobra - powiedziałem.

- Will, ja zawsze wybieram porządnym facetów.

Pomyślałem o tym, że kiedyś mógłbym rozpiąć jej drelichową koszulę. Dłoń Josie spoczywała na mojej pościeli. Wyciągnąłem rękę i nakryłem ją swoją dłonią. Moja skóra aż zatrzeszczała życiem.

- Przestań - powiedziała Josie. Pod palcami wyczuwałem zgrubienie jej ślubnej obrączki. - Will, zostaw. - Cofnęła dłoń. W tej obrączce, którą podarował jej Don był diament. Kiedy my się pobieraliśmy, nie stać mnie było na diament. Obrączkę dla Josie kupił mój tatko. Nigdy jej o tym nie powiedziałem. - Don byłby zły, adyby się dowiedział, że tu byłam - stwierdziła.

Kochałem ją. Oczy Hanlona pełne łez.

Josie zmieniła pozycję na krześle. Kiedy ponownie przeniosłem spojrzenie na jej twarz, zobaczyłem ją martwą. Jej wargi przybrały kolor szarego betonu. Ołowiane kulki oczu w szarej twarzy i zapach zimnego kurzu. Przez moją pierś i bok mojej twarzy przemknęło tchnienie zimna. Pierś ścisnęły mi zimne okowy i straciłem oddech.

- Will?

Jezu Chryste! Przez te leki zupełnie mnie popieprzyło. Spojrzałem na igłę wenflonu. Drgała w takt mojego pulsu. Raz, dwa, trzy...

Lecz mam ci za złe, że porzuciłeś pierwszą swoją miłość.

-Will?

Powietrze znów wpłynęło do moich płuc i wenflon w żyłę ponownie zadrgał. Kaszlnąłem. Zaboląło jak cholera. Josie sięgnęła do guzika dzwonka wzywającego personel medyczny. Jej paznokcie były czerwone. Podniosłem wzrok. - Dobrze się czujesz, Will? Wezwę pomoc. - Jej skóra była blada, ale żywa, jej oczy znów przybrały kolor jasnego błękitu i się ożywiły.

- Nie, wszystko w porządku. - potrząsnąłem głową i odciągnąłem jej dłoń od guzika. Moje ciało wciąż drżało po szoku, jaki mnie dopadł, gdy zobaczyłem ją martwą. Josie pochyliła się nade mną z troską w oczach. Oszło mi zapach jej skóry i włosów. Ziołowy szampon. - Nic mi nie jest - powiedziałem. Czuję dziką ochotę, żeby sięgnąć do jej szyi, przyciągnąć jej twarz do mojej i przytulić policzek do jej policzka. - J? Byłaś ostatnio u lekarza?

- Co takiego?

- No, dla kontroli? Wiesz, płuca i tak dalej...

Zesztywniała. *Patrzysz na mnie czasami i wiem, że widzisz mnie martwą albo umierającą.*

Ale nie taką, chciałem jej powiedzieć. Nie ze zgasytymi jak świece oczami i skórą koloru cementu.

Gliniarze wrócili jeszcze tego popołudnia i powiedzieli, że powinienem pilnować swojej dupy, co przyjąłem jako zapewnienie, iż nie zamierzają mnie zamknąć. Co za ulga. Nie chciałem, żeby do listy kłopotów Megan doszedł jeszcze i ten.

Wieczorem poprosiłem pielęgniarkę, żeby nie gasiła światła w mojej sali, ale stwierdziła, że to byłoby wbrew szpitalnemu regulaminowi. Ułożyłem się tak wokół stojaka z kroplówką, że mogłem widzieć blask światła z korytarza pod drzwiami. Godzinami gapiłem się na nikłą smugę światła sączącego się spod drzwi i wsłuchiwałem się w stłumione odgłosy szpitalnej dyspozytorni, która trzeszczała, syczała i brzęczała przez całą noc. Cały czas, jakby szalał gdzieś pożar.

Moja kuzynka AJ została zastrzelona przez swojego chłopaka, kiedy miała dwadzieścia dwa lata. Wypadła z ich mieszkania, ścigając się o życie. W sekundę później wyszedł za nią, poruszając się naprawdę leniwie i powoli. Podniósł pistolet kalibru 38, wymierzył z ramienia i strzelił jej w kręgosłup. Upadła na chodnik jak worek ziemniaków. Usiłowała się jeszcze odczołgać, ale przeszkadzały jej w tym bezwładne nogi. Chłopak podszedł bliżej i strzelił po raz drugi. Potem wrócił do ich mieszkania, żeby poczekać na policję.

Obudziłem się spocony, w środku nocy, a w głowie kołowała mi jedna myśl. Nigdy nie kochałem kobiety dość mocno, żeby ją zabić.

ROZDZIAŁ V

W niedzielny poranek wypisałem się ze szpitala, płacąc kartą Visa 4317,14 \$, co było pierwszą ratą z rachunku wynoszącego w sumie 19317,14 \$.

Cała fura błyskawicznych zupek w proszku.

Do domu odwiozła mnie matka, a ja nie znalazłem w sobie dość dumy, żeby odmówić. Kilka zabawnych chwil straciłem na niezdarne próby zapięcia pasa zdrętwiałym ramieniem, aż w końcu mama sięgnęła i pomogła mi, jakbym był raczkującym berbeciem.

Wróciwszy do swojego mieszkania nastawiłem czajnik i zaparzyłem trochę Gold Key, która należy do tańszych gatunków meksykańskiej kawy. Kiedy miałem dziewiętnaście lat, mój dentysta, nie wspominając nawet o „spidzie”, powiedział, że jeżeli dalej będę tak zgrzytał zębami, to w wieku trzydziestu pięciu lat przyjdzie mi na noc wrzucać sztuczną szczękę do kubka z efferdentem. Gold Key był moim ulubionym zamiennikiem owego „dopalacza”. Jeżeli strzelisz sobie pod rząd pięć kolejek, a ostatnią doprawisz kilkoma kroplami Valium, które wielu dealerów sprzedaje ze zniżką, możesz osiągnąć ten stan łagodnego podniecenia, jaki jest potrzebny do sprzedaży męskiej bielizny bez wyrzutów sumienia. Bardzo dobrze też robi pracującym w pizzeriach. Przy pracy na dachu w upale nie za bardzo się sprawdza, ale to już inna historia.

Telefon zadzwonił, gdy kończyłem czwarty kubek Dzwoniła Megan. - Mama powiedziała, że będziesz w domu.

- Taaa...

- Więc... jak się czujesz?

- Nie licząc tych ran? Wspaniale. A ty?

- Też wspaniale. Więc u ciebie wszystko w porządku? - zapytała jeszcze raz.

- Tak sędzę.

- Wczoraj w szpitalu wyglądałeś dość kiepsko.

- Bo też czułem się kiepsko.

Zapadła chwila kłopotliwego milczenia. Zdałem sobie sprawę z faktu, że Megan jest dzieckiem Josie. Tak jak jej mama kazała, wyraża troskę o chorego tatkę.

- Dobra, posłuchaj - odezwała się Megan. - Dzwoniłam do babci. Powiedziała, że zajrzy do ciebie dziś lub jutro, po prostu, żeby sprawdzić, jak się miewasz, dobrze?

- Właśnie przywiozła mnie do domu - postarałem się nadać głosowi nadmiernie rzeźkie brzmienie.

- Doskonale sobie radzę, maleńka. Dzięki za telefon, ale nie musisz się o mnie martwić. Dam sobie radę. Nie musisz tego robić.

- Wiem - odpowiedziała Megan. Jej głos zabrzmiał tak, jakby nie uwierzyła w ani jedno wymówione przeze mnie słowo.

Wymieniliśmy jeszcze uprzejme pozdrowienia i przerwaliśmy połączenie. Cała ta niezręczna

rozmowa pozostawiła mi jakieś niezwykle uczucie pustki wewnętrznej. Zastanawiałem się, co też jedenastoletnia Josie czuła do swojego tatki, kiedy robiła mu posiłki z torebek Mac 'n Chez, gdy wracał pijany o jedenastej w nocy. Kochający i upokorzony. Zmęczony. Dokładający wysiłków, żeby oglądać lepiej, niż się czuł.

Wetknąłem do odtwarzacza CD płytę „Werewolves of London”, skręciłem głośność, nastawiłem na ciągłe odtwarzanie i położyłem się na łóżku, usiłując zasnąć ze słuchawkami na uszach.

Mam dziewiętnaście lat. Dwa tygodnie przed ślubem, ja i Josie stoimy obok grobu jej ojca. To jego pogrzeb - będący swego rodzaju zjazdem rodzinnym. Spoczywaj w Panu, żegnaj nam i tak dalej. Tej jesieni wyszedł z więzienia, znalazł nową pracę, wstąpił do miejscowego oddziału Strażników Obietnicy¹⁶, i powitał Chrystusa w nowym życiu. Prawda jednak wygląda tak, że kiedy jesteś byłym gliniarzem i ćpunem z niepełnym wykształceniem, samo zdanie sobie sprawy z tego, w jakie gównno zabrnąłeś, nie rozwiąże jeszcze twoich problemów. Nie ma się więc co dziwić, że po kilku długich tygodniach nadstawiania drugiego policzka i entuzjastycznego przerzucania burgerów z tacki na tacę, przyszedł dzień, w którym potrzebował tylko jeszcze jednego kopniaka od losu. Owszem, to było złe, na pewno, ale Jezus poznał pokusy na pustyni. Jezus rozumiał ludzkie słabości. Nie było tak, że od dawna chciał przywalić swojej beużytecznej żonie, porzucić pracę czy coś w tym guście. Kolejny jeszcze jeden policzek od losu.

Mnóstwo nieudaczników i ćpunów usiłujących naprawić swoje życie nie rozumie jednej prostej rzeczy - jeżeli długo pozostajesz czysty, twoje ciało traci tolerancję budowaną cierpliwie przez liczne poprzednie ukłucia igiełek. Jeżeli długo pozostawałeś czysty, możesz wywinąć orła pod wpływem dozy nie większej niż te, których używałeś przedtem. Możesz wykorkować.

Josie zatrzymała wóz przy jego przyczepie, przywożąc mu drobne zakupy i znalazła go siedzącego w toalecie sztywnego na amen z igłą wciąż jeszcze tkwiącą w jego ramieniu.

Pochowaliśmy go pewnego zimnego styczniowego dnia. Gałęzie starych dębów obsiadły szpaki. Zimne podmuchy wiatru kołysały pasmami hiszpańskiego mchu. Pozostali żałobnicy już opuszczali cmentarz. Przyszli liczniejszą grupą, niż można się było spodziewać. Rodzinne więzy w Deer Park bywają bardzo silne, nieważne jak bardzo spieprzyłeś sobie życie. Nad grobem nie usłyszałem zbyt wielu miłych czy pochlebnych słów, mówiono głównie o załamaniu i cierpliwości. Nikogo nie zdziwił taki właśnie obrót spraw, z wyjątkiem mamy Josie, która nigdy nie rezygnowała z okazji do publicznych wystąpień. Z zamglonymi oczami opowiadała o tym, że gdybyż tylko... i wszystko dlatego, że... oraz, że właśnie mieli zamiar... Nie miała wstydu. Jak gdyby zawsze, ale to zawsze od samego początku nie wiedziała, że tak to się skończy. Brała kolejno ludzi na bok i szeptem opowiadała im, jak jej było trudno zdobyć te kilka dolców na koszt pogrzebu i że potrzebuje kilku jeszcze, żeby stanąć na nogi. Josie

¹⁶ Strażnicy Obietnicy [Promise Keepers] - chrześcijańska organizacja zrzeszająca młodych ludzi, głównie mężczyzn, która ma poprzez rozpowszechnianie „boskiej obecności” wpływać pozytywnie na ich życie rodzinne (przyp. tłum.).

darzyła ją głęboką nienawiścią.

Josie odwróciła się plecami do matki, która, płacząc, skarżyła się na chłód i cofała się tyłem ku samochodowi. Wóz miał ją zabrać na stypę opłaconą przez moją rodzinę - i ku darmowemu żarciu, które tam czekało. Długo jeszcze potem ubrana w dżinsowy komplet Josie stała i patrzyła na grób z nieruchomą twarzą. Zawsze była córeczką swego tatki. - Jeżeli mi kiedyś wytniesz taki numer - powiedziała - jak mnie kiedyś tak zostawisz, to cię, kurwa, zabiję.

Ocknąłem się kilka minut po pierwszej. Byłem spocony i zdezorientowany. Sięgnąłem, żeby zdjąć słuchawki z uszu; moje ramię i żebra przeszły strzała bólu. Spróbowałem ponownie, bardziej ostrożnie. Przetarłem twarz i chwiejnie dźwignąłem się z tapczanu. W mieszkaniu śmierdziało, jak w garażu Hanlona - dym i rozgrzany metal. Coś się przypalało.

Począłem do kuchni. Lewy żarnik gorzał wściekle pod czajniczką na wodę. Boki czajniczka zdobiły czarne smugi, a z dzióbka wydobywały się kłęby złowrogiego dymku. Chwyciwszy czajniczek cisnąłem go do zlewu, gdzie wydał z siebie długą serię trzasków i syków. Potem wyłączyłem żarnik. Dość długo stałem i gapiłem się na krążek żarnika, który zmieniał powoli barwę z pomarańczowego na czerwony, a potem na czarny.

- Kurwa! - sarknąłem.

Kto włączył żarnik?

No dobra, oczywiście ja. Musiałem zostawić go na chodzie, kiedy zrobiłem sobie kawę.

Dajcie spokój, towarzyszu Will. Weźcie się w garść.

Pomyślałem o wyjęciu baterii detektora dymu z kuchennej szuflady i ponownym ich wetknięciu w detektor ale jak zawsze powstrzymała mnie myśl o tym, że jak to zrobię, będzie mnóstwo wycia, gdy tylko w powietrzu pojawi się smużka dymu.

Wróciłem do salonu, wyciągnąłem rękę, żeby wyjąć wtyki słuchawek z mojego odtwarzacza i zakląłem, gdy moje ramię i pierś znów dziobnęły gwoździe bólu. Gdy opuszczałem szpital, fizykoterapeuta polecił mi surowo, żeby „śmiało poszerzać zakres ruchów”, w miarę jak ramię będzie wracało do zdrowia. A co tam, pieprzyć go.

Znalazłszy jakiś stary szalik zrobiłem sobie z niego temblak. Potem wcisnąłem do odtwarzacza krążek Pogues (Shane McGoran, pijany i miotający we mnie przekleństwami) i zasiadłem do poważnej oceny mojego dotychczasowego życia.

Musiałem zarobić trochę grosza.

„Każdy mężczyzna niebędący socjalistą w wieku lat dwudziestu, nie ma serca. Każdy mężczyzna pozostający socjalistą w wieku lat trzydziestu nie ma mózgu”. To, oczywiście, cytat z mojego tatki. Mając lat dwadzieścia uważałem, że jest to zwykłe pieprzenie w bambus, żeby usprawiedliwić zaprzękanie się systemowi. Jako starszy i mądrzejszy ująłbym to tak: będąc dwudziestolatkiem, miałem tylko wiatr w kieszeniach, a teraz, mając trzydzieści dwa tkwiłem wciąż w tym samym miejscu. Różnica

polegała na tym, że teraz nie mogłem się skłonić do polubienia tego stanu.

Ojciec oczywiście ostrzegał mnie i przed tym, ale nie należał do ludzi, których rady bierzesz sobie do serca, gdy przychodzi do finansów. - Musisz zrobić karierę - mawiał. - Nie warto starać się o zwykłą pracę. Gdy tatko miał się jakiejś pracy, zwykle chodziło tylko o stworzenie gruntu pod większe rzeczy. Ale każda z jego karier kończyła się zwykle na etapie planowania i mimo całej jego ambicji, w sumie nie wyszedł lepiej ode mnie. Zajmował się sprzedażą materacy, był sprzedawcą w sieci sklepów Wal-Mart, zajmował się też wysyłkową sprzedażą rozmaitych nasion, na krótko zatrudnił się w sklepie ze sprzętem fotograficznym, po czym nastąpił jeszcze krótszy epizod „fotoreportera do wynajęcia”. Z mojego punktu widzenia najlepsza była zima, kiedy rozwoził lody ciężarówką z chłodnią. Najgorsze było siedem miesięcy, kiedy byłem w dziesiątej klasie, a on roznosił w małym czerwonym fartuszku drobne w salonie gier tuż obok mojej szkoły. Jeden ojcowski uścisk przed konsolą „Gwiezdnych Wojen” na zawsze zniszczył moją karierę gracza wideo.

Inne prace... Pomocnik parkingowego, kierowca wózka na lotnisku, instruktor w szkole wieczorowej. Agent sprzedaży nieruchomości. Import przedmiotów z zagranicy, który nieustannie zajmował jego uwagę, choć miał niby wtedy pracować w domu. Ojciec opylał meksykańskie koce i ceramikę, indonezyjskie batiki, elektronikę z Hongkongu i odwodnione żarcie pewnej szwajcarskiej firmy, która zamierzała przebojem wdrzeć się na rynek amerykański.

Praca w domu miewała swoje pułapki i niebezpieczeństwa. Nie widywał szefa, ale oczywiście musiał mieć oko na spowodowane przez dzieciarnię wypadki losowe, jak tego dnia, kiedy dwuletnia Fonteyne porwała jego świadectwo ukończenia kursu i otrzymania licencji sprzedawcy ubezpieczeń, które spuściła do toalety, podczas gdy tatko rozpaczliwie bębnił pięściami w zamknięte drzwi łazienki.

Ciekawe, że większość jedenastolatków nie zdaje sobie sprawy z faktu, że mogą cię wsadzić za handlowanie ubezpieczeniami bez licencji. Tatko nigdy nie rozmawiał z nami o więzieniu, ale na każdym rocznym rodzinnym zjeździe kilku Smithersów - szczególnie specjalizujący się w napadach na stacje benzynowe Billy Joe i burak Floyd, który od ukończenia sześciomiesięcznej odsiadki na jednej z platform wiertniczych w Zatoce wdawał się nieustannie w bójki z kim popadło - wszczytało przyjazne gadki z moim ojcem o polityce Białego Domu. Odgadywali, że nie czuje się najlepiej z krewniakami żony i uznawali, że powinni dać mu poznać, że jest człowiekiem tamtych. Nie byli zbyt natarczywi, ale nie rezygnowali.

Żeby uspokoić nerwy, zrobiłem sobie jeszcze jeden kubek Golden Key.

No dobra.

Nowy, nawrócony Will Kennedy zdecydowany na dokonanie zmian w swoim życiu przełknął dumę i zadzwonił do Petco. Bezchujec Phil powiedział mi, że wzięli już kogoś na moje miejsce. Nie, w najbliższym czasie nie spodziewa się takiej poprawy sytuacji, żeby uruchomić drugą zmianę.

Gdy opuszczałem szpital, dali mi kilka opakowań kodeiny, więc zażyłem jedną przeznaczoną na rano. Po dwu minutach nadal cholernie bolało mnie w piersi, więc pomyszkowałem w szufladzie, aż

znalazłem fiolkę aspiryny i zabrałem się do jej otwierania. Okazuje się, że dla postrzelonego w ramię odkręcenie zabezpieczonego przed dziećmi korka jest trudniejsze, niż moglibyście się spodziewać. W końcu udało mi się zmusić pieprzoną fiolkę do uległości, ale wszystkim, co zdołałem wytrząsnąć na dłoń, była moja ślubna obrączka. Wciąż sobie powtarzałem, że powinienem wyrzucić to cholerstwo, ale nigdy tego nie zrobiłem. Gapiłem się na nią przez kilka długich uderzeń serca, wyobrażając sobie, co by było, gdybym wypieprzył ją teraz przez okno, albo spuścił do spluczki w klopie.

Zrób mi coś takiego, to cię, kurwa, zabiję.

- No i chuj - powiedziałem. Wetknąłem ponownie obrączkę do fiolki i położyłem na półce w szafce. Znajdowałem to draństwo regularnie raz lub dwa razy w roku. Za każdym razem było to nieprzyjemne doświadczenie.

Znalazłem kilka tabletek Tylenolu leżących w szufladzie, w której trzymałem przyrządy do golenia, i połknąłem od razu cztery sztuki. Ze zwierciadła popatrzyły na mnie moje własne oczy, równie zmęczone, jak oczy Hanlona. To mnie już dobiło. - Chłopie, potrzebujesz czegoś mocniejszego - powiedziałem sobie.

Po powrocie do pokoju zauważyłem, że miga dioda mojej automatycznej sekretarki przy telefonie. Gdy byłem w szpitalu, dostałem dwadzieścia dwie wiadomości. Wcisnąłem guzik odtwarzania. Pierwsza wiadomość była od jakiegoś faceta, który chciał, żebym pogadał z jego zmarłą mateczką w sprawie spadku. Gość zapisał się w piątek rano, zaraz po artykule Suzy Colbert w „Chronicie”. Drugą była jakaś stara dama, pytająca, czy nie mógłbym porozmawiać z jej martwym pieseczkiem. Potem dwa dzwonki od Megan, pragnącej sprawdzić, czy wróciłem ze szpitala i czy wszystko jest w porządku. Jedną wiadomość od Phila Bezchujca, który informował mnie, że ponieważ zostałem zwolniony z pracy w Petco za chamskie traktowanie klienta, straciłem ciągłość polisy ubezpieczeniowej. Kilka wiadomości od dziennikarzy utrzymujących, że pracują dla „Reader’s Digest”, „Houston Press”, „Voice”, „Texas Monthly” oraz „Gnosis”.

Inwektywogram od jakiegoś faceta, który naprawdę rozmawiał z duchami i wiedział, że ja kłamię. Wiadomość od pastora kościoła ciotki Polly, który taktownie przypominał mi o swojej gotowości do pomocy, w razie gdybym naprawdę jej potrzebował.

I telefon od jakiegoś człowieka, któremu zaginęła siedmioletnia córeczka. Miał drżący głos, który nieustannie mu się łamał i za każdym razem, kiedy zaczynał wymawiać jej imię, jąkał się i zamiast tego mówił: „moja córka”.

W sumie dwanaście wiadomości od ludzi, którzy chcieli jakoś porozumieć się z nieboszczykami. Wszyscy z nich chcieli, żebym im pomógł. Wielu z nich gotowych było zapłacić - tysiąc dolarów dziennie. Plus wydatki.

Lee podsunął mi pod nos pełen talerz jakiegoś meksykańskiego żarcia. - Co tym razem cię zdołowało?

- To wariactwo.
- A poza tym?
- Klient mnie postrzelił.
- O w mordę! - Lee okrążył stół, idąc do lodówki po trzy butelki browca Dos Equis.

Ulżyło mi. Lee i Vicky uczcili mój powrót do domu specjalnym obiadem, na który złożyły się enchiladas verdes z mango pico de gallo. Enchiladas Vicky były diabelnie smaczne, płaty mięsistego kurczaka z kolendra i dwoma rodzajami pieprzu, zapiekane z chili, wędzonymi strąkami papryki i odrobiną soku z cytryny. Vicky to dwudziestodwuletnia kelnerka, z tych, jakie w Deer Park nazywaliśmy „ładniutkimi Meksykaneczkami” choć jej rodzina mieszkała w Teksasie od pięciu pokoleń, a ona sama była daleką krewną burmistrza San Antonio. Stała teraz przy kuchni i mieszła masę na deser sopapilla¹⁷.

- Nie jestem egzorcystą. Ja tylko widuję duchy - wyjaśniłem. - Nikomu nie mogę obiecać, że go od nich uwolnię. - Machnąłem ku niemu ręką w temblaku. - Możesz mi otworzyć to piwo? Czuję się jak inwalida.

Lee wyszczerzył zęby, przeżuwając jednocześnie kawał mięsnego placka. - Widzę.

- Wal się. Frank? - Spod stołu wylazł mieszaniec teriera. Lee miał stanowczy zakaz trzymania bydłęcia w mieszkaniu. - Dostaniesz kurczaka, jak mi znajdziesz otwieracz do piwa - powiedziałem. Frank przechylił głowę na bok i łypnął na mnie podejrzliwie. Postawił uszy - wiedział, że czegoś się po nim oczekuje, ale nie miał pojęcia, o co chodzi. - No, dalej, stary! Znajdź mi otwieracz! Szukaj!

- Wrrrau! - odparł Frank.

- Myślisz, że mój pies wykona polecenie faceta, który sam nie może otworzyć swojego piwa? - Lee sięgnął i otworzył mi puszkę. - Dobry pies! Dobry! - rzucił kęs kurczaka w ostrym sosie na miskę Franka. Frank lubił meksykańską kuchnię.

- Durny pies! - zgromiłem go.

Vicky wlała do kociołka kilka kubków oliwy Criosco i nastawiła kuchenkę na wrzenie. Zwolennicy klasycznej kuchni meksykańskiej dodaliby smalcu czy łożu do mlecznego koktajlu, gdyby dało się to jakoś pogodzić. Vicky jednak ostatnio używała tłuszczów roślinnych, bo martwiła się stanem arterii Lee. - O tobie i tych twoich duchach nawypisywano straszne bzdury - powiedziała. - Ale wiesz, moja babunia użyła raz Zaklęcia Mocnej Ręki, żeby nasłać plagę ognistych mrówek na kota sąsiadki.

- Są rzeczy na niebie i na ziemi... - stwierdził filozoficznie Lee.

Cholernie miło było tak siedzieć i chłonać aromat enchiladas i piwa zamiast formaldehydu i krochmalu. Miło jest, skoro już o tym mowa, patrzeć na krzątającą się przy kuchni Vicky, zamiast widzieć, jak Josie staje się czarno-biała. Lee wyjął z kieszeni scyzoryk Bucka, odciął nim cienki plaster cytryny i wrzucił do swojego piwa. Ten scyzoryk był prezentem od jego tatki. Pradziadek Lee walczył na wojnie amerykańsko-hiszpańskiej, a jego dziadunio bił się z Niemiaszkami w Ardenach. Jego tatko

¹⁷ Meksykańskie ciasto podobne do naszej bezy (przyp. tłum.).

zaliczył całą kampanię w Wietnamie i teraz uzbrojony po zęby prowadził samotną egzystencję w Alpine, gdzie obsługiwał stację pomp i malował akwarelami pustynne krajobrazy. Miał wielką kolekcję rozmaitej broni palnej, włącznie z Barret Light 50, z którego można było z odległości półtorej mili przestrzelić na wylot przeciętny samochód. - Cały ten park Big Bend¹⁸ jest pełen popierdolonych uczniów rozmaitych szkół przetrwania - zwykł mawiać. - Do tych ludzi nie dociera nic, oprócz solidnej dawki ołowiu.

Lee wycisnął porcję keczupu obok swoich enchiladas. - Jeżeli w „Houston Chronicie” ukaże się artykuł o tym, że możesz rozmawiać ze zmarłymi krewniakami rozmaitych ludzi, dam sobie głowę uciąć przy dupie, że się nie opędzisz od interesantów.

- A ja dam sobie głowę uciąć, że pojawi się tłum buraków z widłami.

- To też możliwe. Ale pomyśl tylko! - Dla podkreślenia wagi swoich słów wymierzył we mnie drewniany patyczek szaszłyka. - Tysiąc dolców dziennie! Pracując tylko jeden dzień w tygodniu, zarobisz rocznie pięćdziesiąt kawałków!

- To cała fura błyskawicznych zupek. - Przez chwilę wszyscy troje gapiliśmy się na siebie, żując enchiladas.

- Już widzę te reklamy telewizyjne! - powiedział Lee.

- Czekażże! Gdyby Tom Hanlon był moim pierwszym klientem - powiedziałem - to miałbym osiemnaście tysięcy dolców w plecy.

Vicky przerwała rachunki, żeby zlizać plamę sosu z kącika ust. - Nie licząc rany w płucach.

- To prawda. - Lee pociągnął łyk browca. - Ale i tak zostaje pięćdziesiąt na czysto.

- Trafna uwaga - przyznałem.

- Williamie, dobry Bóg dał ci pewien dar. Jako pobożny chrześcijanin powinieneś z niego skorzystać.

- Bóg miałby chcieć, żebym odbierał pieniądze wdowom i sierotom?

- Nie musisz ich oszukiwać. Powiedz im prawdę o tym co możesz i czego nie możesz. Rzuć trochę pierdolonego chleba na wody płynące i zobacz, co do ciebie wróci.

Frank podniósł głowę i nastawił uszu, kiedy Lee odepchnął się od stołu i poczłapał ku korytarzowi. Usłyszałem, jak otwiera moje drzwi. - Czego ty, do cholery szukasz w moim mieszkaniu?

- Zbieram twoją pocztę. - W chwilę później wrócił ze stosem kopert, które zostawiłem na stole w kuchni. Zająwszy ponownie swoje miejsce zaczął przeglądać moje listy. Frank położył głowę na obutej w sandały stopie Lee i wrócił do drzemki.

- Rachunek telefoniczny. - Lee cisnął ostanie wezwanie do zapłaty na podłogę. - Rachunek za gaz. Ręcznie adresowana koperta - wygląda obiecująco. Kolejny list. Rachunek. Oferta karty kredytowej. Pismo z agencji matrymonialnej. Temu akurat poświęciłbym nieco uwagi.

- Wal się.

¹⁸ Big Bend - park narodowy na brzegach Rio Grandę w Teksasie. Jak powiedział Sam Houston: „Widać od razu, że Teksas jest dziełem Pana Boga. Znać tu rękę Mistrza, byle partacz nie mógłby tak spieprzyć tego kraju” (przyp. tłum.).

- Will, zamiast kłać na ciemności, lepiej zapalić świeczkę. No, ale ty oczywiście postąpisz, jak zechcesz. - Lee wyjął z koperty pisany niebieskim tuszem list. - *Drogi panie Kennedy* - przeczytał. - *Z pewnością zdaje pan sobie sprawę z tego, że pójdzie pan do piekła za swoje...*

- Daruj sobie - mruknąłem.

Lee opuścił list na podłogę, gdzie wylądował na zbolałej głowie Franka. Pies tylko poruszył uchem i ponownie zasnął.

- Następny. *Drogi panie Kennedy. Jestem pracującą zawodowo czterdziestotrzyletnią kobietą mającą dobrą pracę i niezłą pensję.*

- Wiesz, Lee, ty też nieźle byś wyglądał w kostiumiku urzędniczeki.

- *Ostatnio w wyniku rozwodu musiałam się przeprowadzić, ale czuję, że mój nowy dom jest nawiedzony (nie wiem, jak mogłabym to lepiej określić). Istnieje oczywiście możliwość, że - wzięwszy pod uwagę moje ostatnie przeżycia - problem jest natury psychologicznej. Zanim jednak poddam się długiej - i pewnie dość kosztownej - terapii, chciałabym wykluczyć wszelkie działanie sił nadnaturalnych.* - Lee podniósł wzrok znad listu.

- To nie jest list osoby stukniętej - odezwała się z kuchni Vicky.

- I chyba dość zamożnej. - Dokończyłem browar, usiłując nie zdradzać budzącej się we mnie nadziei. - Co jeszcze mamy?

- *Drogi panie Kennedy. Mam problem z nieboszczykiem. Niekiedy muszę bardzo mocno walnąć się w łeb, żeby go nie słyszeć. Czuję, że splotłem swój dług wobec społeczeństwa, on chyba jednak tego nie zrobił. Prawie każdej nocy...* - Lee przerwał i spojrzał na adres zwrotny.

- Z więzienia Huntsville?

- W rzeczy samej.

- To do śmieci go.

- Może byś mu jednak odpisał? - zapytał Lee. - Nie chcesz chyba, żeby skazaniec z piętnastoletnim wyrokiem wypuszczony po dwunastu latach dobrego sprawowania pomyślał, że go zlekceważyłeś?

- Do śmieci, cholere mu w bok!

- Ale on zna twój adres i w ogóle...

Jezusie!

Vicky wyszła z kuchni, niosąc dzban miodu i talerz gorących placków sopapillas lekko osypanych cukrem pudrem i cynamonem. Zanim je skończyliśmy jeść, zdołaliśmy posortować pocztę.

- Dodając do tego faceta, który zapisał się na telefonie mamy dziewięciu ludzi, którzy nie wyglądają na stukniętych i gotowi są zabulić - powiedział Lee, postukując w stosik listów lepkiem paluchem. Vicky zawsze próbowała zetrzeć miód chusteczką, a Lee po prostu bezwstydnie oblizywał palce. - Gdybyś ogłaszał się w prasie, miałbyś całą furę propozycji. Chłopie, uważam, że powinieneś to przemyśleć. Za każdym razem, gdy chcę pogadać, ty masz zbyt ponury nastrój, żeby mi dodać ducha.

Podaruj sobie odrobinę luksusu, jesteś tego warty. Zarób trochę forsy - to nie boli.

Splukałem resztki placaka trzecim - przecież nie wypilem więcej niż trzy, prawda? - piwkiem Dos Equis. - Mógłbym być Zamaskowanym Krzyżowcem¹⁹!

- Jasne! Pomyśl o wdzięczności wdów i sierot! - Rąbnęliśmy jeszcze po piwku. - I byłyby z tego pieniądze - dodał.

- Kolejny punkt za.

Vicky spojrzała na temblak, zakrywający moją przewierzoną przez kulę pierś. - Pomijając wszystko inne - powiedziała - czymże to w końcu mogłoby grozić?

I tak oto, w dwa tygodnie po wyjściu ze szpitala zadzwoniłem do męża mojej byłej żony, Dona, prosząc go, żeby mnie nauczył strzelać i w ogóle.

W słuchawce zapadła długa chwila milczenia.

- Zamierzasz otworzyć firmę „Egzorcysta” i zarabiać na tym forszę - stwierdził Don, mówiąc wolno i wyraźnie. - Ale ponieważ ostatnim razem cię postrzelono, pomyślałeś, że powinieneś zapewnić sobie jakąś ochronę.

- Trafiłeś w dychę.

- I dzwonisz do mnie, ponieważ żaden z tych twoich porąbanych przyjaciół nie ma zielonego pojęcia o tym, z którego końca spluwy wylatuje kula, co?

- Don, nie ma sposobu na to, żeby ci zamydlić oczy.

Kolejna długa chwila milczenia.

- Dobra - odezwał się wreszcie Don. - Zabiorę cię na strzelnicę i nauczę przynajmniej pewnych podstawowych rzeczy, jeżeli odpowiesz mi szczerze i bez owijania w bawełnę na jedno pytanie - zgoda?

- Wal.

- Czy to był pomysł Josie?

- Jak cholera.

- A byłbyś się z tym zwrócił do mnie, gdyby ona cię nie poprosiła?

- Umówiliśmy się, że miało być jedno pytanie.

Po jednym uderzeniu serca Don parsknął śmiechem. - Pierdol się - odpowiedział.

Kiedy miałem pięć lat, wuj Walt - tatko AJ - dał mi do rozpracowania pewną łamigłówkę. Była to puszka po kawie Folgera pełna kawałków metalu, sprężyn, rurek i wkrętów. Powiedział, że da mi loda na patyku, jeżeli wykombinuję, jak to wszystko złożyć razem do kupy. Zajęło mi to ponad godzinę, ale w końcu jakoś się z tym uporałem. Wbiegłem do kuchni, wołając: - Dawaj tego loda! - i wymachując układanką, która okazała się automatyczną czterdziestką piątką Walta z czasów jego służby w Wietnamie. Do dziś pamiętam wrzask cioci Patty.

¹⁹ Aluzja do popularnego serialu amerykańskiej TV - Batman: Caped Crusader (przyp. tłum.).

Jak byłem dzieckiem, składałem tę czterdziestkę piątkę (każdy z moich sukcesów ciotka Patty kwitowała pełnym dezaprobaty zaciśnięciem warg) kilkanaście razy, choć ani razu z niej nie wystrzeliłem. Mój tato uważał wymachiwanie spluwami za jedną z tych idiotycznych głupot związanych z kultem macho, przez które mieszkańcy pozostałych stanów uważają Teksaszczyków za stukniętych narwańców. Mama wyczytała w „Miesięcznym Raporcie o Wypadkach Śmiertelnych” artykuł, w którym teksańskie zamiłowanie do broni analizowano jako przypadek endemicznej zarazy. Wołałaby już mieć mole w komodzie, niż choć jedną sztukę broni w domu. W końcu położyła kres tym zabawkom wuja Walta, choć naraziła się cioci Patty. Od tamtego czasu przez następne dwadzieścia lat nie miałem broni w ręku, dopóki ojciec Lee w nagłym przypiływie wigilijnego nastroju nie przysłał mi pistoletu dziadunia, z którym ten przeżył II wojnę światową. Lee miał do broni stosunek jeszcze bardziej wyrazisty niż mój tato i nie chciał mieć spluwy w mieszkaniu, nie mógł jej jednak po prostu wypieprzyć, ponieważ jego tato co pół roku go nawiedzał. Zgodziłem się więc rozłożyć mu broń na części, żeby mógł je trzymać w pudle na buty i składałem za każdym razem, gdy stary zapowiadał się z wizytą.

Krótko mówiąc: skrycie szukałem kogoś, kto byłby mnie wyszkolił na strzelnicy. Jednym z kłopotów, jakich się doznaje, będąc zwolennikiem lewicy, jest to, że nie powinieneś lubić broni palnej - co dorośli i mężczy Teksaszczyki traktują jako rodzaj zbrodni. Osobiście uważam, że gdy się jest liberałem z gatunku James Taylor łamany przez Simona i Garfunkela, w ogóle nie powinno się tykać broni, ale zwolennicy „Sex Pistols” i „Butthole Surfers” mogą sobie pozwolić na większą swobodę z aktami gwałtu.

W trzy tygodnie po tym, jak zostałem postrzelony, czekałem na Dona, który miał mnie zabrać na strzelnicę, kiedy zadzwonił mój telefon. Chwyciłem słuchawkę i przeniósłem ją do okna w salonie, żeby w razie czego zobaczyć samochód Dona. - Słucham?

- No dobra, tato jest już w drodze - usłyszałem głos Megan. - Ale może uświadomię ci kilka rzeczy.

Linia była pełna zakłóceń i słyszałem chyba w tle ruch uliczny. - Dzwonisz z domu?

- Nie, wymknęłam się na stację Shella. Posłuchaj, po pierwsze, żadnych przekleństw. Tato uważa, że masz robaczywą gębę.

- Tak jest, psze pani!

- I żadnych żartów o ćpaniu i ćpunach. On myśli, że ty tylko czekasz, żeby mnie wciągnąć w otchłań nałogu. Lepiej, żebyś tego nie robił - dodała Megan.

- Nie będę, psze pani.

- To gównu wcale mnie nie interesuje.

- No proszę! Sama używasz słów wysoce nieprzyzwoitych!

- Więc jakie są zasady? - ponagliła mnie Megan.

- Nie kląć i nie ćpać.

- I nie wygłupiać się.

- Hm... dziękuję.

- Will, mówię poważnie. - Usłyszałem dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych stacji i jakieś szelesty, jakby ktoś łąził po worku czipsów. - Kumpie w szkole wiedzą o duchach i całej reszcie; uważają, że to trochę dziwaczne ale w sumie nie mają nic przeciwko. Ale z tatką to inna sprawa, kumaszc? Więc bardzo proszę, po prostu...

Zobaczyłem przez okno podjeżdżający do krawężnika wóz Dona i Josie.

- Co?

- Nie spieprz tego, dobrze? - poprosiła Megan.

Don wysiadł z minibusu i ruszył ku drzwiom wejściowym do mojego bloku.

- Muszę iść - powiedziałem. - Zabolalo mnie w piersi. - Dla ciebie wszystko.

- Wiem. Jak będziesz sławny i bogaty, możesz mnie zabrać do Six Flags.

- Umowa stoi - stwierdziłem. Megan odłożyła słuchawkę.

Don zapukał do moich drzwi. - Wyklęty powstań, towarzyszu Will.

- Hej, Don. Zaraz będę gotów. - Piers wciάζ mnie bolała jak cholera, ale zdjąłem prowizoryczny temblak. Miałem wyjść z aktualnym mężem mojej byłej żony i ni kuta nie chciałem wyglądać jak popierdolony delikates. - Hej - powiedziałem, otwierając drzwi. - Zaczniemy zabawę!

Don miał sześć stop i trzy cale wzrostu i wygląd uniwersyteckiego futbolisty. Piechota morska była jego sposobem na wydostanie się z Quatro Huevos, teksańskiej dziury liczącej sobie ośmiuset siedemdziesięciu trzech mieszkańców, z których niemal wszyscy byli ze sobą spokrewnieni. Odbębniwszy drugą kolejkę zaciągu, zwolnił się z marines i zapuścił jasne wąsy z bródką. Wyglądał z tym jak złotowłosa wyżeł. Nadal ubrany był w swój służbowy garnitur: spodnie z szarej wełny, białą koszulę i szarą marynarkę. Gdy odwrócił się ku schodom, marynarka rozchyliła się, ukazując kolbę gnata wystającą z brązowej skórzanej kabury pod lewym ramieniem.

Zeszliśmy do samochodu. Na przednim siedzeniu leżała sportowa torba Nike, prawdopodobnie pełna dozwolonych konstytucyjnie narzędzi masowej zagłady.

(Dwunastoletnia dziewczynka i jej przyjaciółki bawiły się w Houston pistoletami tatusia, kiedy...)

- Trzymasz chyba to żelastwo pod kluczem - stwierdziłem.

- Amunicję w sejfie, pistolety rozładowane w garażu, w zamkniętej stalowej szafie.

- Nic w szufladzie nocnego stolika przy łóżku? Ot, na wypadek, gdyby do domu wtargnęły jakieś oszołomione narkotykami ćpuny?

- Mam tylko wojskowy nóż. Myślisz, że zostawiłbym broń palną tam, gdzie Megan mogłaby ją znaleźć?

- Musiałem zapytać.

Don łypnął na mnie spod oka. - W porządku - powiedział. - Bez urazy.

Włazłem do tego WASP-mobilu²⁰ i zacząłem się grzebać, usiłując zapiąć pas jedną ręką. W

²⁰ WASP - amerykański skrót (White Anglo-Saxon Protestant), czyli biały Anglosas wyznania protestanckiego – sól

przeciwieństwie do mojej mamy, Don siedział jak kołek i najwyraźniej nie zamierzał mi pomóc. - Jedziemy na twoje stare tereny, gdzie biłeś i bywałeś bijany. Pod Pasadeną - powiedział. - Chłopie, ależ to zadupie. - Ruszył do wjazdu na trasę nr 680, włączył się do ruchu i przejechał przez dwa pasy, nie zadając sobie trudu, żeby komukolwiek zasygnalizować ten manewr.

Było już po szóstej i promienie chylącego się ku zachodowi słońca sączyły się przez tylną szybę, napelniając wóz złotem, jak w reklamówce meksykańskiego piwa. Po szosie leniwie sunęły fale samochodów, minibusów, plymouthów volares i śmiesznych żuków Volkswagena, okrągłych i lśniących jak kuleczki M&M's-ów. Przed nami sunął dostojnie cytrynowo żółty cadillac prowadzony przez otyłą białą kobietę z wielką strzechą pomarańczowych włosów. - Założę się, że zatłukła na śmierć jakiegoś ciężko pracującego czarnoskórego chłopaka i ukradła mu ten wóz - mruknął Don. Jedną ręką sięgnął ku znajdującej się pomiędzy siedzeniami półce z taśmami i wetknął jedną do odtwarzacza. „The Eagles, 1971-74”. Najlepiej sprzedający się album wszystkich czasów, bardziej odjechany niż całowanie siostry i lizanie się z psem. - Dessperaaaaado! - zawył Don.

- Jezu! Don, błagam!

Czemu nie zaczniesz znów MYS-leć?

- Hej, Will, a co zrobisz, jak ten twój plan z przepędzaniem duchów nie wypali?

- Chyba poszukam jakiejś prawdziwej roboty. Może otworzę sklep muzyczny? Mógłbym to sprzedawać - stwierdziłem, grzebiąc w kasetach. CCR, Eddie Rabbit, The Beatles „1”.

Uchowaj Boże.

W 1974 roku J.D. z Margaret Sayers zobaczyli budynek starego kina w stylu art deco na Highway 225 i pomyśleli sobie dokładnie to samo, co ja byłbym pomyślał na ich miejscu: - Do licha, z tej szopy można byłoby zrobić idealną krytą strzelnicę!

- Wiesz, jak byłem mały, oglądałem tu filmy - powiedział Don, gdy skręcaliśmy na parking - „Robin Hood”, „Zakochany kundel”. - Wysiadłem z wozu i czekałem, aż Don wyciągnie torbę z bagażnika.

Pod ekranem starego kina tam i z powrotem spacerowała martwa dziewczyna. Była ubrana w stylu lat czterdziestych, miała obcisłą długą suknię, wielki kapelusz i parę białych rękawiczek. Z początku trzymała się z dala od drzwi wejściowych, jakby tłoczyli się w nich dawno już nieżyjący amatorzy filmów, których ja nie mogłem zobaczyć, w końcu jednak chyba musiał zacząć się jej seans, bo podniosła teatralną lornetkę i spojrzała na podjazd. Zastanawiałem się przez chwilę, czy umarła tamtej nocy, przejechana przez samochód w wypadku ulicznym. A może facet, na którego czekała, nigdy się nie zjawił, ona zaś spędziła resztę życia, rozmyślając o tym, że byłaby szczęśliwa, gdyby tylko wyszła za niego za mąż, zamiast siedzieć w domu i troszczyć się o mamę, która od zawsze czuła się nie najlepiej?

A może wszystko skończyło się dobrze? Może jej chłopak pojawił się spóźniony wprowadzie o

dwadzieścia minut, ale zdyszany i z przeprosinami, a wieczór, który skończyłby się katastrofą, zmienił się w cudowny przeżycie, ona zaś poślubiła swego ukochanego, tylko że podczas następnej wiosny wysłano go na wyspę Guam i zginął cztery dni przed unicestwieniem Hiroszimy?

Życie każdego człowieka może się potoczyć rozmaitymi drogami, kryje w sobie tysiące możliwości, a każda niesie ze sobą radości, smutki i sporo humoru sytuacyjnego. Życie każdego z nas jest filmem, który zaczyna się kolorowo. Ale każdy koniec jest czarno-biały.

Don wziął swoją torbę i ruszyliśmy do wejścia. Gdy zbliżyłem się do drzwi, martwa dziewczyna odwróciła się. Była ładna na swój staromodny sposób, ale jej ślepe oczy mnie nie widziały i przebiegła mi drogę, zaciskając dłonie na czarnej małej torebce. Musiałem uskoczyć na bok, żeby się z nią nie zderzyć. Owionęło mnie znane mi z dawniejszych doświadczeń uczucie lodowatego dreszczu: przenikliwie zimno, które musnęło moje ramię, gdy się o nie otarła. Dziura po kuli w mojej piersi najpierw zakłuła mnie boleśnie, a potem poczułem dość łagodny tępy ból, który w końcu rozpląnął się w nicość wewnątrz ciepłego Pasadena Gun Center.

Don obrzucił mnie przenikliwym spojrzeniem: - Que pasa?²¹

- Soy muy bien²². - Żadnych przekleństw, żadnych żartów związanych z prochami, i żadnych wygłupów, powiedziałem sobie. Nie spieprz tego.

- Jesteś pewien, że dobrze się czujesz?

- Rozwalmy to gówno! - Kurrrrrwa! Miało być bez przekleństw, niech to szlag. - Człowieku, jestem Zamaskowanym Krzyżowcem, wysoko opłacanym superbohaterem.

Ladę w hollu, niegdyś pełną opakowań prażonej kukurydzy i mlecznych batoników, teraz pokrywały warstwy pudełek z nabojami. Był też na niej piękny zestaw myśliwskich noży i rozmaitych gnatów różnych kalibrów z małymi plakietkami ceny przy kabłąkach spustowych. Na ścianie za ladą był zestaw bardziej egzotycznych egzemplarzy broni palnej: działająca świetnie replika jednej ze strzelb obrońców Alamo, pistolet uzi, który po złożeniu kolby można byłoby chyba ukryć w chlebaku i japoński miecz samurajski w bambusowej pochwie. Za ladą w kraciastej koszuli siedział ważący trzysta dwadzieścia pięć funtów dozorca strzelnicy, który leniwie kartkował złożony na fałdzie jego potężnego bandziocha egzemplarz „Guns and Ammo”. Nad jego głową widać było dwa wykonane wielkimi literami ogłoszenia. Z lewej był napis: ZABRANIA SIĘ UŻYWANIA POCISKÓW ZAPALAJĄCYCH, a napis z prawej informował interesantów: WYPOŻYCZAMY PISTOLETY MASZYNOWE.

- Co to znaczy „wypożyczamy”?

- No, powiedzmy, że się wybierasz na wycieczkę do jednego z tych pełnych opryszków miast jankeskich... - Don znacząco zawiesił głos.

- Żeby sobie postrzelać na ulicach - stwierdził kwaśno strzelnicowy. Nie podniósł nawet głowy. Był ostrzyżony niemal do bladego skalpu i jego łeb wyglądał jak brudnawy kalafior. - Pożyczamy tylko

²¹ Jak leci?

²² W porządku.

niektórym. Wam niekoniecznie. Gaszę światła o 19.50 - dodał. - Nic mnie nie obchodzi, że możecie nie skończyć kolejki. Wypuszczę was jutro rano, jak przyjdę otwierać tę budę.

Na zegarze wiszącym tuż nad egzemplarzem AK-47 z plakieta „UŻYWANY W AFGANISTANIE” była 18.58.

- Za dziesięć ósma - stwierdził spokojnie Don. - Zostaliśmy ostrzeżeni, J.P.

- Nie zamierzam siedzieć tu do późna. - J.P. przerwał, żeby zerknąć na reklamę myśliwskiego łuku. Polizawszy paluch odwrócił stronę. - Powiedziałem szefowi, że jak chce, żeby był tu ruch po godzinach, niech przyjdzie i sam se tu posiedzi. To mój kumpel, ale nie rozumie, jakie czasem trafiają się tu świrusy.

Odłożył magazyn i spojrzał na mnie. Ukośny cień kładł się na jego policzkach niczym czarna blizna. Miał bardzo jasne, niebieskie oczy.

- W razie czego nie mówcie, że was nie ostrzegałem.

Podsunał nam do wpisu książkę strzelań.

- Wpiszcie się, chłopaki. Płacicie dziesięć dolarów. Stanowiska szóste i siódme.

Zapłaciłem pieniędzmi pożyczonymi od Lee. Ciekaw byłem, czy mógłbym to wciągnąć na listę wydatków i czy powinienem był zażądać rachunku.

- Amunicji Magnum można używać tylko na stanowisku siódmym. -J.P. wyjął spod lady parę czerwonych przemysłowych ochraniaczy na uszy i podsunał je ku nam, mierząc mnie baczny spojrzeniem. - Czy on strzelał już choć raz w życiu?

Don uśmiechnął się, nie podnosząc głowy i wpisał dużymi literami swoje nazwisko i numer telefonu.

- Czy on w ogóle miał spluwę w ręce?

- Raz obejrzałem cały jeden odcinek „Policjantów z jajami” - stwierdziłem poważnie. - I oglądałem „Czerwony świt” w kinie, kiedy tylko wszedł na ekrany. - Nie dodałem, że aby obejrzeć to arcydzieło sztuki filmowej lat 80., musiałem sobie strzelić dwie porcje kwacha. Wiem, że niektórzy woleliby Bergmana. No cóż, możecie mnie nazwać patriotą.

- J.P. możesz nam dać jakieś tarcze?

Zagadnięty sięgnął pod ladę, nie spuszczając mnie z oka. - Sylwetki czy zwykłe koncentryki?

- Daj nam złoczyńców. - Don uśmiechnął się grzecznie kiedy J.P. wyciągnął stos tarcz sylwetkowych. - Obecny tu Will nosi się z zamiarem wykupienia licencji na ukrytą broń. Nie strasz go swoją czujnością. Chodźmy, Will - powiedział, kierując się ku drzwiom na salę.

Gdy szedłem za Donem, J.P. zawołał za nami, podnosząc głos: - Przyjacielu, czytałeś sobie ostatnio coś dobrego? Na przykład KONSTYTUCJĘ STANÓW ZJEDNOCZONYCH?

Przypomniałem sobie to, co mówił Hanlon o tym, jak go zwerbowano w Brukseli: *...zawsze mieli zapotrzebowanie na patriotycznie nastawionych kawalerów.*

Przeszedłszy przez drzwi, weszliśmy do mrocznej sali o betonowej posadzce, gdzie kiedyś

poustawiano rzędy krzeseł. Posadzka usłana była tysiącami pustych łusek, które, połyskując metalicznie, grzechotały trącane naszymi stopami. Zapach cementu i kurzu obudził we mnie wspomnienie garażu Hanlona. Było gorąco.

Stanowiska strzeleckie pooddzielano od siebie rzędami prowizorycznych betonowych ścianek - każda miała dziesięć jardów długości i była jaskrawo oświetlona. Przy wszystkich stanowiskach strzeleckich stały tanie stoliki na gnaty i amunicję. Za ściankami była kolejna pusta przestrzeń zakończona bezbarwną betonową ścianą, na której kiedyś zawieszano ekran.

Don położył swoją torbę na stoliku przy stanowisku numer siedem i zajął się rozpakowaniem. - Amunicja, amunicja, amunicja - mrucał pod nosem, wyjmując pudełka naboju różnego kalibru i kilka załadowanych już magazynków. - Czy gliniarze ci powiedzieli, jakim nabojem cię postrzelono?

- Dostałem z trzydziestki ósemki.

- Wszędzie teraz pełno tych tanich gnatów. To był pewnie 380 ACP z Phoenix albo Lorcin, lub jakiś inny kawał złomu.

Półautomatyczny Walter PPK.

- Nie powiem, na mnie zrobił wrażenie.

Z blizny w mojej piersi trysnęła struga gorąca, która spłynęła mi po skórze jak fala wrzątku. Poczułem lekki zawrót głowy i odrobinę mdłości - to nieokreślone uczucie, kiedy o czwartej po południu, gdy sprzedajesz artykuły dla mężczyzn, minie działanie wypitej wcześniej kawy i nagle zdajesz sobie sprawę z faktu, że przez cały dzień wbiłeś w siebie jedynie sześć niskokalorycznych batoników i jedną torebkę orzeszków M&M's.

- Dobrze się czujesz, Kennedy?

- Absolutnie. - Wal się, trepie. Nie przeklinać. Bez wygłupów. Odetchnąłem głęboko i nudności mi przeszły, jak ręką odjął. Przez chwilę zastanawiałem się, czy moja rana w piersi się nie babrze. Trzeba będzie później zajrzeć pod bandaż, powiedziałem sobie. Człowiek ze Stali, powiedziałem sobie. Prawdziwe Dziecię Prawdziwie Dzikiego Zachodu. Wspomnienia natarły na mnie niczym duchy; widziałem czarno-białe wizje samego siebie nieustannie składającego i rozkładającego służbowy pistolet wuja Walta. Obrót klucza kontrującego lufę. Powoli toczące się po stole sprężyny.

Potrząsnąłem głową, żeby wrócić do rzeczywistości. - Ryglujmy i ładujemy, stary.

- Will, nigdy nie mów czegoś takiego komuś, kto służył w marines. Te słowa mają swoje znaczenie. - Don wyjął z torby wielki pistolet o ciężkiej kolbie i długiej srebrzystej lufie. - Sportowy pistolet kaliber dwadzieścia dwa. A to jest trzydziestka ósemka Special. Mówi się, że ta broń powstała na zamówienie glin, żeby „załatwić naćpanego czarnucha, usiłującego zgwałcić białą kobietę”. Boże, błogosław Ameryce. - Mój mentor musnął palcem bębnek. - Zechciej zauważyć, że to jest rewolwer, nie pistolet. Do pistoletu wkłada się magazynek. Mając rewolwer sam musisz wepchnąć naboje do bębna.

Położył trzydziestkę ósemkę na stoliku i ponownie sięgnął do torby, niczym policyjny Święty Mikołaj. - Magnum 357 - powiedział z szacunkiem, wyjmując wielki czarny rewolwer. - Magnum

oznacza, że ładunek prochu w naboju został wzmocniony. Robi dziury jak pocisk z armaty. - Don wyjął z torby niezbyt wielki, wzbudzający poczucie bezpieczeństwa samym wyglądem pistolet w żaden sposób niekojarzący się z Dzikim Zachodem. - A oto i Glock kaliber dziewięć milimetrów – stwierdził z satysfakcją w głosie. - Najbardziej popularna broń w Ameryce, skonstruowany przez Austriaków Glock model 17. Doskonały celownik, poręczny uchwyt, nigdy się nie zacina i potrafi zatrzymać szarżującego nosorożca. - Potem wyjął z torby dość topornego, ale groźnie wyglądającego czarnego gnata. - Magnum kaliber czterdzieści cztery o krótkiej lufie. Nie za bardzo celny, ale ma niezawodny mechanizm spustowy i łatwo możesz go ukryć w kieszeni. Zostawia dziury wylotowe wielkości pomarańczy.

Wyobraziłem sobie wielki jak pomarańcza kawał mojego grzbietu i płuc rozsmarowany po stopniach piwnicy Hanlona. Ponownie poczułem falę oblewającego mnie gorąca i zacząłem się trząść, jakby moje ciało bało się czegoś, czego ja sam nie mogłem zobaczyć. Zjeżyły mi się włosy na karku i na przedramionach, a moje uda opłotły nici skurczów. Znow poczułem gorąco i mdłości, tym razem znacznie mocniejsze niż przedtem. Wetknąłem dłoń w kieszenie, żeby Don nie zauważył, że drżą. Kołysałem się na piętach w tył i do przodu, a puste łuski klikały na podłodze. Słuchały. Czekwały. Trzymaj się, Will. To jest część naprawy twojego gównianego życia. To wchodzi w skład bycia Zamaskowanym Krzyżowcem.

- Strzelę teraz szybką kolejkę, żebyś mógł zobaczyć, jak to się robi - powiedział Don. Wziął masywny pistolet i szybko go pocałował. Ze sklepienia zwisały dwa zestawy linek wzdłuż całej długości strzelnicy; wyglądały jak sznury do suszenia bielizny. Don przypiął jedną z tarcz do wielkiego metalowego haka i kliknął przełącznikiem na ścianie. Linki zgrzytnęły i uniosły trzepoczącą się tarczę w głąb strzelnicy. - Ponieważ wiem, że chcesz być ekologicznie odpowiedzialnym użytkownikiem broni - odezwał się Don - ugotujemy wszystkie zużyte przez nas dziś tarcze. Te, których nie zjemy, przekażemy do banku żywności.

Udałem, że przesuwam dłonią po szczecinie na moim podbródku. Miałem gorące czoło. Dłoń też mi się spociła. Kiedy mrugnąłem, poczułem, że i gałki mam rozpalone.

Duch nie może ci zrobić krzywdy, prawda?

Don odsunął tarczę o dobre trzydzieści stóp, a potem sprawdził magazynek swojego Glocka. - Włóż nauszniaki. - Podniósł trzymaną oburącz broń, odetchnął i nacisnął spust. Rozległo się ogłuszające BLAM! Było znacznie głośniejsze, niż się spodziewałem i nie zdołałem powstrzymać okrzyku. Don naciskał spust kilka razy pod rząd. Z automatu posypały się rozgrzane łuski, które odbijając się od koszuli na jego piersi, opadały na beton, ale ich grzechot ginął w każdym nowym natychmiastowym huku wystrzału - a ja znow się znalazłem w piwnicy Hanlona, gdzie martwa dziewczyna chwyciła go za płaszcz, a kula uderzała w moją pierś. I wszędzie szalały płomienie.

Ocknąłem się w dzwoniącej ogłuszająco ciszy. Ostatnia łuska z pistoletu Dona, odbiwszy się od jego ramienia wirowała jeszcze na posadzce. W powietrzu wisiał gryzący zapach prochu i rozgrzanych łusek. Don wsunął pistolet do kabury i wcisnął przełącznik na ścianie. Sylwetka tarczy powoli ruszyła ku

nam. Mogłem naliczyć siedem dziur w twarzy celu - pozostałe pociski ugodziły w szyję i pierś. Zadałem sobie pytanie, co też takiego Josie zobaczyła w Donie, a czego nie miałem ja.

- Mam dla ciebie tę trzydziestkę ósemkę - Don podniósł broń ze stołu. - Czemu nie spróbujesz zrobić innym tego, co oni zrobili tobie? - Pokazał mi, jak wysunąć bębenek; wcisnąłem sześć naboju na miejsce. - Trzęsie ci się ręka - stwierdził Don.

- Prawe ramię mam jeszcze trochę sztywne. - Kołysałem się na piętach w tył i w przód. Rewolwer ciążył mi w ręce jak kowadło. - Temblak mnie cholernie drapał w ramię. - Kurwa, czy określenie „cholernie” zalicza się do przekleństw?

Nie spieprz tego.

- Na pewno chcesz to zrobić dzisiaj? - zapytał Don. - Myślę, że J.P. dobierze mi się do... do tyłka, jak spróbuję przyjść tu jeszcze raz. Nie, chłopie, to musi być teraz. - Wcisnąłem ostatni nabój na miejsce i przełożyłem rewolwer do lewej dłoni. O całe niebo lepiej.

- Poczujesz lekki odrzut. - Don zdjął z haka poszarpaną sylwetkę i zamienił ją na nową. - No, dobra. - Ustawił mnie obok stolika i kazał mi ująć kolbę rewolweru w obie dłonie. Jego wielkie paluchy zamknęły się na moich. Były zimne jak lód. Ręce trzęsły mi się z wysiłku, jakim stało się dla mnie uniesienie broni. W żaden sposób nie mogłem tego zrobić. Proch śmierdział jak benzyna. Powinienem być powiedzieć Donowi, że źle się czuję. To nic wielkiego. Na miłość boską, trzy tygodnie temu zostałem postrzelony! On nie dostał ani razu podczas tych czterech lat służby w woju. Don zatrzymał tarczę w odległości mniejszej niż dziesięć jardów. - No dobra. Oto twój kapitalistyczny ciemiężca. Rozwał go. - Uniosłem rewolwer oburącz jak gliniarz z serialu i nacisnąłem spust. Odrzut targnął moimi nadgarstkami i dźgnął boleśnie w mięśnie mojego prawego ramienia. Strzałowi towarzyszył ogłuszający huk i rozbłysk niebieskawego płomienia z lufy. Owionął mnie smród benzyny, przywołując w mojej pamięci obraz płonącego Hanlona, który gorzał jak obłany napalmem.

- Kiepski strzał - usłyszałem głos akwizytora.

Odwrociłem się na pięcie. Tuż za mną stał Hanlon, wciąż jeszcze odziany w ten swój płaszcz i czarne skórzane rękawiczki. Biło odeń gorąco. Widziałem, jak skóra na jego czole powoli czernieje, jak trzymana nad płomieniem gazeta.

ROZDZIAŁ VI

Koleś, w ogóle nie trafiłeś w tę cholerną tarczę. - Hanlon potrząsnął głową. - Kiepski byłby z ciebie agent specjalny. A ja zawsze chciałem nim zostać. Oczywiście, byłem tylko mułem. Ale jako muł byłem dobry. Gdybym został w Europie, daliby mi w końcu bardziej odpowiedzialne zadania. Eurasy zawsze mnie lubili. Możesz się sprawdzić w każdym fachu, jeżeli masz potrzebne umiejętności.

- Na co ty się gapisz? - zapytał mnie Don.

Hanlon stał dokładnie pomiędzy mną a Donem. Oparzelina, która spopieliła rzęsy i brwi, sięgała jego lewego oka. W powietrzu wisiał gęsty zapach spalenizny. - Ludzie myślą, że tajni agenci zabijają - powiedział. - To schematy działania tajnych służb operacyjnych. Wzięte z filmów o Bondzie. Psiakrew, jako szczeniak sam tak myślałem. Ale w realnym życiu decydującym czynnikiem są ludzie. A przy okazji, Will - widziałem dziś twoją córeczkę, Megan. - Spojrzał na mnie. - Jest bardzo ładną dziewczynką.

Trzęsącymi się dłońmi uniosłem trzydziestkę ósemkę i nacisnąłem spust. Don chwycił mnie za ramię i pchnął na ścianę. Rewolwer huknął ogłuszająco i ze ściany sypnęły się betonowe rozbryzgi, opadając na usłaną łuskami posadzkę.

- Ty skurwysynu! - wrzasnął Don. Osmalona skóra na czole Hanlona pękła, ukazując kość. Podmuch gorąca wyssał mi powietrze z płuc, gdy nieboszczyk pochylił się ku mnie. - Myślałeś sobie, że możesz mnie ot tak, zabić i odejść, Kennedy? Naprawdę tak myślałeś?

- Co ty, kurwa, wyprawiasz? - Don wykręcił mi rękę w tył i rzucił mnie na ziemię. Wrzasnąłem z bólu, który przeszył mi ramię i żebra. Puściłem rewolwer. W twarz wcisnęły mi się zimne metalowe łuski. - Niewiele brakło a byłbyś mnie zastrzelił, ty kutasie!

Hanlon klęczał obok mnie. - Facet jebie twoją żonę, a ty nawet go nie trafiłeś, kolego. Też mi zabójca! A ja myślałem, że ty ją kochasz! - Oddech Hanlona śmierdzał benzyną i spalonym mięsem. - Nie powinieneś być zabijać krewniaka, Will. Jak zaczniesz od rodziny, to gdzie się zatrzymasz?

- Błagam... - wyszeptalem.

- Zobaczmy się w piekle - powiedział Hanlon. Potem zniknął.

I nagle poczułem, że przestał mnie dręczyć ów duszny upał. Don nie pozwalał mi wstać z kolan, wykręciwszy mi za plecy lewe ramię. Co kilka słów naciskał na nie, uderzając moją głowę o posadzkę. - Czy mógłbyś mi powiedzieć, co ci kurwa, odbiło?

- Duch! - wrzasnąłem, wijąc się bezradnie na betonie. Puste łuski i odłamki betonu znów wcisnęły mi się w twarz, gdy Don rąbnął mną o ziemię.

- Jaki duch!

- Hanlona! Kurwa, przestań! Duch faceta, którego załatwiłem!

Don nieco poluzował zacisk na moim ramieniu. - Gdzie on jest?

- Zniknął. Odszedł.

- Akurat ci uwierzę! - Don ponownie wykręcił mój nadgarstek, aż jęknąłem z bólu. Pochylił się nad moim uchem. - Wiesz, co sobie pomyślałem, Will? Niewiele brakło, a zostałbym przypadkowo zastrzelony przez żalostnego fiuta, byłego męża mojej żony.

W czterdzieści minut później wóz Dona zatrzymał się przed budynkiem, gdzie mieszkałem. - Niech cię więcej nie zobaczę koło mojego domu - powiedział.

Kiedy odpinałem pas, moim ramieniem ponownie targnęła fala bólu. Żadnych przekleństw, żartów o narkotykach czy wygłupów. - Don, na Boga, spróbuj mi uwierzyć! - niezdarnie wylazłem z wozu. - To nie przez Josie...

- Will, powinieneś pójść do jakiegoś specjalisty. Musisz jakoś sobie zorganizować życie. Idziesz na dno, ale nie pozwolę, żebyś wciągnął za sobą moją żonę i córkę. - Don pochylił się i zatrzasnął drzwi z mojej strony, zostawiając mnie samego, żebym mógł zabrać moją smętną dupę do domu.

Na podwórku za budynkiem zapadał już zmierzch. Dzieciaki z sąsiedztwa rzucały piłkę do umocowanego na drzewie kosza. Mrok zredukował je do ruchliwych sylwetek - widziałem tylko białe tenisówki i migające ramiona na tle kuchennych okien. Śmiechy chłopaków brzmiały jak szczebiot sójek w liściach dębu. Poczłapałem w górę po żelaznych schodach - człap, człap, człap... aż wszedłem do mieszkania przez drzwi kuchenne. Bark i ramię przeszywały mi igły bólu.

Facet jebie twoją żonę, a ty nawet go nie trafiłeś, kolego.

- Wal się! - powiedziałem. - Jestem pierdolonym Zamaskowanym Krzyżowcem, Tom. - Puste słowa. Hanlon trafił za mną na strzelnicę i wmanewrował w coś, co można by uznać za próbę zabójstwa Dona. Co będzie jak Don spróbuje pozbawić mnie prawa do odwiedzin córki?

Cholerne gówno.

Zdjąłem spoconą podkoszulkę i odwróciłem na nice, badając, czy nie znajdę plam krwi. Oczywiście okazało się, że niektóre z blizn się otworzyły, zostawiając na tkaninie czerwone plamki. Spędziłem dziesięć minut przed zwierciadłem, usiłując bez większego powodzenia zalepić plastrem opatrunkowym tylną część mojego barku, aż w końcu zakląłem sążnięcie i cisnąłem cholerstwo do sedesu. Po chwili stwierdziłem, że opatrunek zatyka mi odpływ. Westchnąłem i opadłem na kolana przed muszlą. Sięgnąłem do wody lewą ręką, wyciągnąłem zakrwawiony bandaż, wrzuciłem do kuchennych śmieci i umyłem dłonie. Wyjąłem starą koszulkę Flaming Lips, która i tak była już w dość nędznym stanie.

Nigdy się nie dowiesz, ilu ruchów trzeba do włożenia koszulki, jeżeli nie zostaniesz postrzelony w ramię.

Zażyłem dwie ostatnie kodeiny, a potem zacząłem szukać w mieszkaniu zapalek. Wynik: jedno pudełko drewnianych, używanych na rozpalenie gazu, gdy wysiadała zapalarka i trzy listki tekturowych podebranych w rozmaitych barach. Wszystkie wywaliłem do śmieci.

Żadnych płomieni. Ogień był drogą kuzyna Toma. Mógł nim podążyć. Może mnie znaleźć.

Zaciskając zęby z bólu, odciągnąłem kuchenkę od ściany i kucnąłem za nią, szukając zaworu gazu. Zamknąłem go. Sprawdziłem dwie lampy w pokoju, upewniając się, że ich przewody nie są poprzepalane. Wyglądały na sprawne, ale i tak odłączyłem je od gniazdek. Wyłowiłem zapalki z kosza i zmoczyłem w zlewie, aż ociekały wodą - i dopiero wtedy ponownie wrzuciłem je do kosza.

Otworzywszy drzwi kuchenne powoli zlazłem po schodach na dół, niosąc wór na śmieci i jego ładunek mokrych zapalek do pojemnika. Koszykarze zniknęli już wewnątrz bloku, zostawiając podwórko mnie i moskitom. Noc była dość przyjemna; znad zatoki napływały fale ciepłego, wilgotnego powietrza. Gdy ruszyłem ku pojemnikom na śmieci, poczułem, że coś mi chlupie pod stopami. Rura kanalizacji znów zaczęła przeciekać. Kilka lat temu Parkwood Apartaments trafiły do „Tygodniowych Raportów Wypadków Śmiertelnych”, kiedy władze odkryły, że moskity w naszym sąsiedztwie roznoszą malarię i wirusowe zapalenie opon mózgowych. Mama tym się nie przejęła.

Jeżeli zechcecie zobaczyć coś zabawnego w stylu starych dobrych komedii slapstickowych, postrzelcie faceta w ramię i popatrzcie sobie, jak podnosi klapę pojemnika na śmieci.

Wróciwszy do mieszkania ponownie sprawdziłem zawór kuchenki gazowej, a potem wyjąłem z gniazdka kabel zasilający mojego odtwarzacza. Chciałem sprawdzić, czy działa detektor dymu, ale nie mogłem znaleźć niczego do zapalenia pod czujnikiem, więc dałem sobie spokój.

Wetknąłem do odtwarzacza „Murmur” REM-ów i skuliłem się na kanapce, żeby przeczekać noc z nastawionym na ciągłe odtwarzanie utworem „Perfect Circle”²³.

Nadal uważam, że ten utwór jest najpiękniejszą najbardziej wzruszającą i najdoskonalszą melodią, jaką kiedykolwiek skomponowali.

Nieco po trzeciej nad ranem ulicą przejechał ambulans. Po moich oknach przeleciały błyski świateł - czerwone, białe i niebieskie, czerwone, białe i niebieskie...

- Will?

Odpowiedziałem niewyraźnym stęknięciem. W mojej oszołomionej głowie wciąż słyszałem brzęk telefonu.

- Co się stało wczoraj wieczorem? - syknęła Megan. Słyszałem w tle odgłosy szkolnej wrzawy i odległy dzwonek.

- Dzwonisz ze szkoły?

- Tatko nie pozwoli mi już dzwonić do ciebie z domu. Mam już nawet z tobą nie rozmawiać. Słyszałam, jak się kłóca o to z mamą. Powiedział, że ci kompletnie odbiło. ...widziałem dziś twoją córeczkę, Megan. Jest bardzo ładną dziewczynką.

Jezusie.

²³ Czytelnik zechce łaskawie zauważyć, że „Perfect Circle”, Krąg Doskonały, jest tytułem całej powieści (przyp. tłum.).

- Wczoraj wieczorem... zobaczyłem coś dziwnego i zareagowałem przesadnie nerwowo. Można by powiedzieć, że był to wypadek z bronią.

Kiedyś byłem całkiem dobrym łgarzem, ale jak dorosłem, przestałem praktykować i straciłem wprawę.

- O Boże! - jęknęła Megan. - Strzeliłeś do niego?

- Nie! No... tak jakby. Znaczący, wymierzyłem w jego stronę...

- Will! - Śmiechy przechodzących dzieci w tle, gdy jylegan sypnęła przekleństwami. Po chwili się uspokoiła. - Pobił cię, prawda?

- Hej! Potrafię się bronić...

- To takie teksaskie, takie... macho! Choć gotowa jestem przyznać, że gdybyś go wziął na muszkę, byłaby to uczciwa walka.

- Nie wziąłem go na muszkę!

- Ale teraz przynajmniej wiem, co jest grane. Dobra, posłuchaj...- powiedziała Megan. - Na razie siedź cicho. Mama i ja jakoś sobie z tym poradzimy. Ale na miłość boską, nie dzwoń do domu, nie przychodź do nas i w ogóle nic nie rób. I lepiej będzie, jak sobie odpuścimy najbliższą niedzielę.

- Megan, nie powinnaś się wtrącać...

- Cholera, dzwonek! Muszę kończyć...

- Poczekaj - powiedziałem. - Meg, macie w domu detektor dymu?

- Tak. A czemu pytasz?

- Wiesz, którądy wydostać się z twojego pokoju w razie pożaru?

- A co, śwędzą cię palce, żeby podpalić jeszcze jeden domek?

- Nie, tylko...

- Żadnych wygłupów, będziesz pamiętał? - powiedziała Megan. - Naprawdę muszę kończyć. -
Ćwicz z tym ramieniem albo dostaniesz przykurczu. Hej!

Klik.

Cholerna smarkula!

Zwlokłem się z łóżka i wziąłem porządny prysznic jakby zmywając cały poprzedni wieczór: Dona, strzelnicę i śmierdzącego benzyną Hanlona. Skończywszy, ustawiłem kurek tak, żeby woda spływała cieniutkim strumyczkiem, na wypadek gdyby Hanlon nadal bał się wody albo tej martwej dziewczyny, która go ściagała. Stałem przed lustrem w łazience i przez długą chwilę przyglądałem się mojej ranie po kuli. Goiła się dość dobrze, ale blizna wciąż miała jasnoczerwony kolor. Można by pomyśleć, że Don ją podrażnił, pogarszając sprawę. Wciąż czułem ból w piersi i skurcz w mięśniach grzbietu.

Ogoliłem się, spryskałem dezodorantem i ubrałem. Zostawiłem też ciekący strumyk w zlewie. Wróciwszy do pokoju odkryłem, że na automatycznej sekretarce zapisano wiadomość od mamy- prosiła, żebym oddzwonił. Kiedy to zrobiłem, dowiedziałem się, że mój wujaszek Walt cudem uniknął śmierci.

- Co takiego?!

- W zakładach Crowna, wczoraj w nocy, był wybuch siarkowodoru. Facet, który pracował z Waltem, umarł, a Walt aż do dzisiejszego poranka był nieprzytomny.

- O Boże! Kiedy to się stało?

- Zaraz po dziewiątej.

Niecałe dwie godziny po tym, jak Hanlon przyszedł zadrwić ze mnie na strzelnicę. - Kurwa! - westchnąłem. - Tom, przestań.

Nie powinieneś być zabijać krewniaka...

- Will, uważaj, co mówisz. Posłuchaj, właśnie jadę do szpitala, żeby posiedzieć z Patty. Zadzwoń do ciebie później.

- To na razie... - powiedziałem. Mama zdążyła już odłożyć słuchawkę.

Jak zaczniesz od rodziny, to gdzie się zatrzymasz?

W trzy dni później wujowi Waltowi się polepszyło, a ja dostałem pierwszą zapłatę za widzenie nieboszczyka. Zaczęło się od tego, że przyjaciółka Lee, Vicky, zgadała się z jej kuzynem Johnsonem Del Grande (Bóg jeden wie, jak udało mu się przebrnąć z takim imieniem przez szkołę!). Del Grande zobaczył artykuł o mnie w „Chronicie”. Dostał mój numer telefonu od Vicky i zadzwonił z dość osobliwym problemem. Był pośrednikiem sprzedaży nieruchomości i dość wpływowym członkiem hiszpańskiej społeczności w Houston. Po okazyjnej cenie nabył posiadłość w Montrose, zamierzając ją odsprzedać z nielichem zyskiem; poniewczasie dowiedział się, że wśród jego hiszpańskojęzycznych klientów dom ma opinię nawiedzonego.

Z lewej strony sceny wchodzi Kapitan Podziemniak²⁴.

- Jak pana tam zabiorę - wyjaśnił mi przez telefon - to sam pan zobaczy, że dom jest ładny. Casa muy bonita²⁵, piękny mały domek w Montrose, niedaleko Rothko Chapel. Bajeczna lokalizacja. Bueno - pokażę moim klientom artykuł o panu w „Chronicie” oraz pańskie notarialnie potwierdzone zaświadczenie, że dom jest na 100% wolny od duchów - i bingo!

- Bingo! - powtórzyłem, zastanawiając się jednocześnie, jak też powinno wyglądać oficjalne zaświadczenie, wydane przez Willa „Truposza” Kennedyego.

Cały plan był dość idiotyczny, ale Del Grande gotów był zapłacić moją... mmm... standardową stawkę tysiąca baksów i gdy zajechał po mnie swoim brunatnym lincolnem, byłem cholernie podniecony. Jak to określił Lee, trafiło mi się spełnienie marzeń: facet mający dość pieniędzy do wydania, który chciał mi zapłacić całkiem przyzwoitą sumkę, żeby nie widzieć duchów!

Z tym, że duch tam był, a jakże!

Domek w Montrose był mi znany z czasów, gdy Josie i ja mieszkaliśmy w sąsiedztwie. Był to mały pawilon w stylu lat dwudziestych, wciąż jeszcze w dobrym stanie. Kiedy mieszkaliśmy w pobliżu,

²⁴ Kapitan Podziemniak [Captain Underground] - bohater komiksów Marvela (przyp. tłum.).

²⁵ Bardzo ładny dom.

należał do pewnego geja, rzeźbiarza o nazwisku Oskar, który wznosił z różowych bloków budyneczki greckiej świątyni wielkości ogrodowej komórki z pretensjami do przepychu, a potem rozrucił je starannie w ogrodzie przed frontem, żeby uzyskać efekt Bardzo Starych i Ekstremalnie Gejowskich Ruin. Nie byłem pewien swego, kiedy to robił, ale podczas minionych lat porozwalane kolumny zarosły glicyniami i trawą, różowa farba zbladła na słońcu, deszczu, w wyciekach spalin i te całe ruiny wyglądały coraz lepiej. Chciałbym przez to powiedzieć, że całość wyglądała tak, jak coś, co nigdy nie powinno się było znaleźć w Deer Park.

Ostatnim razem widziałem Oskara przed klubem punków, który później stał się Empire Cafe, jak wyjaśniał, czemu w Houston jest tylu gejów. - Napór drapieźników. Stary, jak dorastasz jako gej w pieprzonym Waco - powiedział, kreśląc linie w powietrzu aromatycznym papierosem - będziesz miał też piekło. Musisz przyłączyć się do stada. Bo zawsze znajdzie się kilku „porządnych” chłopaków gotowych... no, wiesz... - zaciągnął się - zając się luzakami.

Myślę, że już wtedy umierał, ale duch wewnątrz był duchem kobiety, chudej i pijanej w trzy dupy jazzowej pianistki, która w saloniku grała klasyczne przeboje Tin Pan Alley na starym czarnym pianinie. Skończyła „Funny Face”, wybuchając pijackim chichotem, a potem chwiejnie zlazła ze stołka. Kiedy przechodziła obok, cmoknęła mnie w policzek lodowatymi wargami, kiwnięciem dłoni pozdrowiła rozmaitych niewidzialnych gości, i polazła po krętych schodach na piętro. Przechyliła się przez poręcz, żeby pomachać wszystkim na pożegnanie i poleciała w dół, łamiąc sobie kark na płytkach przed wejściem.

A potem wszystko się powtórzyło, jak w odtwarzaczu nastawionym na powtarzanie jednej sekwencji czy melodii.

Można chyba znaleźć bardziej osobliwe sposoby na spędzanie popołudnia niż gapienie się na to, jak ktoś wielokrotnie łamie sobie kark, a potem uparte wyjaśnianie istoty sprawy zmartwionemu biznesmenowi, który za trzysta tysięcy kupił nawiedzony dom - ale na mojej liście Sytuacji Niesamowicie Gównianych trafiło to na pierwszą pozycję. Dla Johnsona Del Grande, który pocił się jak kupka nieszczęścia w swoim pięknym lnianym garniturze ważne było, żebym zrozumiał, jak bardzo psuje mu to plany na przyszłość i tłumaczył mi to dokładnie, podczas gdy dziewczyna po raz trzeci wykonywała „Hold That Tiger”. W końcu zaproponowałem mu, że zrezygnuję z połowy wynagrodzenia, byle tylko wyjść z domu, zanim ona znów da nura na tę posadzkę.

Del Grande wypisał mi czek z miną pełną smutnej godności.

- Nie mogłeś po prostu skłamać? - zapytała Vicky wieczorem, krzywiąc się nad krojoną cebulką do tamales.

Przypomniałem sobie obrzydliwy trzask, z jakim pękły kręgi szyjne spadającej na posadzkę dziewczyny. - Nie za bardzo - odpowiedziałem.

Jasną stroną całej sprawy było pięćset puszek Big Gulp i reszta w dostatecznej ilości, żeby zapłacić poczciwcom z Southwest Bell, zanim odetną mi telefon. Tej reszty wystarczyło też na spłatę

dostawców gazu, część czynszu i rewanżowy sześciopak piwa Dos Equitos dla Lee. Co prawda pozostała jeszcze część czynszu i pocziwcy z Visa Corporation, nie wspominając o wykształceniu Megan w college'u i mojej emeryturze gdzieś w domku na Karaibach, więc mężnie przyjąłem na pierś „pociski zawistnego losu” i postanowiłem odpowiedzieć na kilka wezwań dziwaków, którzy byli dość stuknięci, żeby mi zapłacić za pogadanie z ich umarłymi. Późno po południu byłem już dostatecznie nawalony, żeby zadzwonić do Normy Ferris, tej świeżo upieczonej rozwódki z domem, który być może był nawiedzony. Rozmawiała dość rozsądnie i zrozumiała, że nie mogę zagwarantować odprawienia ducha tam, gdzie powinien być trafić. Bardzo okreśną drogą zapytałem, czy ma broń palną. Odpowiedziała, że nie. Stwierdziła też bez ogródek, że dobrze jej się powodzi i zamierza zapłacić za moje usługi. Temu akurat nie zamierzałem się sprzeciwiać, zwłaszcza że zarząd Parkwood Apartament przysłał mi nagłące i nieprzyjemne pismo z przypomnieniem, iż zalegam z opłatami.

Wuj Walt wyszedł ze szpitala i mama wyraziła życzenie, żebym go odwiedził, więc wespół z panią Ferris uzgodniliśmy, że przyjdę następnego dnia po pracy. Odwiesiłem słuchawkę, czując się tak, jakbym miał za sobą wyjątkowo ostre przesłuchanie w sprawie kwalifikacji do pracy i musiałem walnąć sobie kolejne piwko, żeby uspokoić nerwy przed wyjazdem do domku cioci Patty.

Wszyscy z mojej generacji znali ojca AJ jako wuja Walta, ale starsi nazywali go Grzmot, jako że przyszedł na świat w dniu wybuchu w Texas City. - Pielęgniarka podniosła mnie - bardzo lubił o tym opowiadać - żeby mnie klepnąć po tyłeczku, jak to one zwykle robią, ale kiedy otworzyłem buźkę, rozpętało się istnie piekło. - Walt to najstarszy brat mojej mamy ze strony babci Dusty i dziadunia Jay Paula.

Texas City to małe miasteczko przy rafinerii i dokach zbudowane przy ujściu Kanału Houston, położone naprzeciwko wyspy Galveston. W 1947 roku zmierzający do Francji parowiec „Grandcamp”, załadowany wielką ilością azotanu amonu, zajął się ogniem w doku. Podczas pokoju azotan amonu to nawóz rolniczy, ale połączony z TNT tworzy doskonałe ładunki wybuchowe. Dokładnie tym samym słońcem posłużył się Timothy McVeigh, wysadzając wieżowiec Murrah w Oklahoma City.

16 kwietnia 1947 roku, gdy Grzmot wydostawał się z łona matki, jego tatko, Jay Paul Smithers wyskoczył z porodówki, żeby się wpisać na listę obecności w fabryce Montano, gdzie pracował. Zatrzymał się na chwilę przy oknie, żeby popatrzeć na płonący „Grandcamp”, kiedy ten eksplodował. Jay Paul zdążył tylko unieść prawe ramię, żeby osłonić oczy przed błyskiem, kiedy podmuch wgniół szybę do środka. J.P. uratował oczy, ale odłamki szkła zamieniły jego prawe przedramię w kotlet siekany i przecinały mu nerwy tak, że nigdy nie odzyskał pełni władzy w ręce. Zgorzkniał przez to i się rozpił. Moja rodzina ma o Grzmocie dość dobrą opinię Mając tak wrednego tatkę, mógł zostać prawdziwym skurwysynem. Ale choć był dość twardy, żeby zostać rozgrywającym w szkolnej drużynie, a potem odsłużyć swoje w dolinie Hiep Duc, nie miał w sobie ani grama nieuprzejmości i nigdy nie uderzył kobiety.

Spodziewałem się, że wpadnie po mnie tatko, ale gdy usłyszałem pukanie, okazało się, że to moja

siostrzyczka Fonteyne, wciąż w swoim służbowym uniformie kasjerki sieci Krogera z plakietażką zawierającą imię i nazwisko. Właśnie rozmawiałem z Megan. - Hej, siostrzyczko - powiedziałem nieco zaskoczony. - Poczekaj sekundkę.

- Zostawiłam Vi w samochodzie, więc lepiej się pospiesz - Fonteyne cofnęła się w głąb śmierdzącego skarpetami korytarza i zeszła schodami na dół.

Pożegnaliśmy się z Megan i odłożyłem słuchawkę. Dzwoniła do mnie ze szkolnego telefonu co kilka dni, żeby się upewnić, iż się nie strułem gotowanymi przez siebie potrawami, nie wpadłem do studni i nie zaraziłem się trądem, co łatwo mogłoby się stać, gdyby tylko na chwilę spuściła mnie z oka.

Początkowo te telefony wprawiały mnie w zakłopotanie, ale Lee powiedział, że są one częścią Podróży Megan ku Dojrzwaniu Płciowemu. - Jesteś stopniem przejściowym pomiędzy lalką a chłopakiem, z którym będzie chodziła - wyjaśnił. Po namyśle uznałem to za cholernie bystre. Doszedłem też do wniosku, że nie stanąłem na wysokości zadania, gdy idzie o inne Pożytki z Tatki, takie jak przekazywanie życiowych mądrości czy nauczanie jej, jak spinać kable w wozie, gdy się zgubi kluczyki, więc w zasadzie mogłem pozwolić Megan na to, żeby przez jakiś czas mi pomatkowała. Szczerze zaś mówiąc, dużo łatwiej mi było wytrzymać z Megan Pielęgniarką niż z Megan o Znudzonym Spojrzeniu.

Odłożyłem słuchawkę i poczłapałem po śmierdzących schodach za Fonteyne.

Gdyśmy dorastali, największą różnicą pomiędzy mną i moimi siostrami było to, jak traktowała nas babka. Babunia Dusty zamieszkała z nami, gdy Jay Paul trafił do domu opieki. Nosiła po domu frotowe pantofle i czerwony welurowy płaszcz kąpielowy z wielkimi obszarami wytartej powłoki na pośladkach. Nawet teraz w moich najwcześniejszych związanych z nią wspomnieniach widzę ją siedzącą w wielkim leniwcu z uniesionymi stopami w pokoju telewizyjnym i oglądającą popołudniowy program „Zadzwoń po Forse”.

Babunia traktowała mnie jak sprzęt gospodarstwa domowego; dawała mi klapsa lub dwa, gdy zasłaniałem jej ekran, a ignorowała, jak długo nie przeszkadzałem jej w oglądaniu programu. To było w porządku. Krążyła po domu w swoim szlafroku i pantoflach, zajmując się praniem albo paląc Virginia Slims przy rozwiązywaniu szarad przed telewizorem. Mogłem się bawić, jak chciałem, dopóki przestrzegałem kilku podstawowych reguł: Żadnych Głośnych Hałasów (na przykład takich, jakie powstają, gdy wrzucisz kulki do wirówki), żadnych Zabaw z Jedzeniem (na przykład takich, jak dodawanie różowego budyniu do zielonego groszku - wspaniały efekt kolorystyczny!) i żadnego Dręczenia Zwierząt (takiego jak owijanie kota taśmą samoprzylepną). Ku mojej irytacji, ostatnia zasada rozciągała się i na młodsze siostrzyczki.

W przypadku Paris i Fonteyne sprawy miały się inaczej. Babunia pałała do nich gorącą miłością i nie czyniła im zbyt wielu wymówek, za to nieustannie obdarzała uściskami, pocałunkami i cukiereczkami. Kiedy na świecie pojawiła się Fonteyne, babunia od dziesięciu lat nie musiała już znosić obecności Jay Paula i znacznie złagodniała.

Babunia doskonale wiedziała, że każdy mężczyzna gotów jest skrzywdzić każdą kobietę, o ile tylko da mu się czas i okazję. Żyła w tym drugim Teksasie, do którego żaden z chłopaków czy mężczyzn nigdy się nawet nie zbliżył: łagodnej, pełnej rezygnacji i cierpliwości atmosferze konspiracji przekazywanej córkom przez matki w dusznych pokojach pełnych rodzinnych zdjęć i sztucznych kwiatów. To Teksas kobiet, które płaczą, spiskują, współczują, ale nigdy głośno się nie skarżą i nigdy nie wybaczą. My, mężczyźni, wszyscy wyczuwamy jego obecność, jak drugą stronę tysięcy żartów o głupich żonach, ale nie mamy na to żadnych słów, poza - być może - uwagami w stylu: „Myślę, że Sue-Ann zamierza wrócić do swojej matki”.

Powodem było może to, jak traktował ją Jay Paul, ale babunia Dusty taka już była: zawsze pracowała nad moją matką, przepadała za moimi siostrami i lepiała się do nich jak miód. Cokolwiek zaś zrobił mój ojciec, w najlepszym wypadku mogło ją tylko rozczarować.

W roku, w którym się wyprowadziłem, żeby zamieszkać z Josie, u babuni odkryto raka krtani. Umieranie zajęło jej trzy lata i wyciekała jak syrop, słodsza i bardziej lepka z każdym tygodniem. Traktowała dziewczyny jak laleczki, mówiąc im, że to nic złego i błagała, żeby jeszcze posiedziały z nią w jej zapchanym bibelotami pokoju - o proszę, to drobiazg, który kupiła, gdy dostała czek z ubezpieczenia, mały szklany dzwoneczek z żółtą wymalowaną na nim różą albo chiński porcelanowy koteczek będący najmiłszym drobiazgiem jaki kiedykolwiek widzieliście.

A potem babunia umarła i nie zobaczyłem jej, dopóki nie skończyłem trzydziestu dwu lat.

Przyjechałem na rodzinny niedzielny obiad, pierwszy większy zlot krewniaków od dnia, w którym Fonteyne wróciła ze szpitala z dzieckiem. Umieściła Violetę w koszyku na bocznym stole w kuchni, zawiniętą w kocyki jak indiańska księżniczka. Vi obserwowała wszystkich z tamtego miejsca, wytrzeszczając oczka ze zdumieniem, które uznałem za właściwe. Fonteyne po raz już trzeci opowiadała, jak skłoniła przemądrzałego anestezjologa do zrobienia jej znieczulenia wewnątrzoponowego, kiedy się obejrzałem i zobaczyłem babunię pochylającą się nad dzieckiem i łaskoczącą je w policzek. Vi zamrugła oczkami.

- Hej! - powiedziałem.

Babunia, nie zwracając na mnie uwagi, pochylita się nad dzieckiem. Była czarno-biała. Zaciągnęła się papierosem i szepnęła coś dziecku do ucha. Wokół Vi zawirowały smużki dymu i dziewczynka kichnęła.

- Hej! - odepchnąłem krzesło. - Zostaw ją!

Babunia zmierzyła mnie wzrokiem i poczułem falę strachu, ścinającą mnie jak porcja strychniny. Oczy babuni były twarde i nieruchome jak czarne kamyki. Dotknęła dłonią policzka Vi.

Poderwałem się na nogi, a babunia zniknęła. Mama spojrzała na mnie z niepokojem. Fonteyne zapytała, co ja, kurwa, wyprawiam. Vi kichnęła po raz drugi.

Przez resztę obiadu się nie odzywałem. Potem odczekałem, aż goście zaczną się rozchodzić i na chwilę wzięłem Fonteyne na bok. Powiedziałem, że lepiej będzie, jak się wyniesie z domu rodziców, bo

babunia zajmie się jej córeczką jak zła wróżka z bajki.

Fonteyne powiedziała, że bym przestał pieprzyć. Powiedziała też, że jestem stuknięty i zapytała, jak niby miałyby zamieszkać gdzieś samotnie, gdzie musiałyby zajmować się dzieckiem i jednocześnie pracować na utrzymanie obojga. I wtedy popełniłem błąd, mówiąc, że ze względu na dziecko mogłaby rozważyć pomysł wzięcia się w garść i spróbowania awansu u Krogera, zamiast czekać, aż ją odkryje Hollywood. Niemal się pobiliśmy, co Vi absolutnie się nie spodobało.

Ale to właśnie był powód, dla którego Fonteyne nie odwiedziła mnie w szpitalu.

Dziś Fonteyne prowadziła buicka mamy. Odwróciłem się w tył, żeby powitać Vi. Wyglądała bardzo ładnie. Miała już pięć miesięcy i potrafiła unosić główkę. Poruszyłem palcami przed jej twarzyczką. Popatrzyła na nie, jakby były najbardziej zdumiewającą rzeczą, jaką widziała dotychczas. Potem ostrożnie wyciągnęła pulchną rączkę i zacisnęła małeńką, lepłą piąstkę wokół mojego małego palca. Spojrzała na mnie z niedowierzaniem w oczach i nagle jej twarzyczkę rozjaśnił uśmiech zaskoczenia, po czym głośno i radośnie pisnęła.

Rozsiadłem się na wygodnym głębokim przednim siedzeniu buicka i zapiąłem pasy. Gdy Megan była w wieku Vi, obliczyłem sobie, że każdej godzinie, jaką mogłem i nią spędzić, Don przeciwstawiał pięćdziesiąt trzy. Miałem tylko nadzieję, że jest dobrym ojcem.

- Dostałeś już jakąś inną pracę? - zapytała Fonteyne.

- Jakbym słyszał tatkę.

- Zakładam, że to odpowiedź przecząca.

Mógłbym jej odpowiedzieć, że następnego dnia mam umówione spotkanie z przeżywającą depresję panią w średnim wieku, żeby sprawdzić, czy dręczą ją duchy, czy jest tylko stuknięta, ale nie wydało mi się to czymś godnym przechwałek.

- Ponieważ... mmm... masz okres przejściowy pomiędzy jedną i drugą posadą, mógłbyś może pomyśleć o pomocy mamie w organizowaniu tego rodzinnego zjazdu? - powiedziała Fonteyne. - Ona chce wrócić na camping nad Little Blanco.

- O Boże! - w oka mgnieniu ujrzałem siebie pogrążonego w wielogodzinnych rozmowach telefonicznych z różnymi dostawcami osprzętu do pikników i przyjęć na świeżym powietrzu, a co gorsza, usiłującego przekonać najrozmaitsze frakcje skłóconych ze sobą Smithersów do zakopania wojennych toporów i zebrania wszystkich noży i gnatów w jednym miejscu na pełnym harmonii spotkaniu rodzinnym.

- Josie dopytywała się o ciebie - odezwała się Fonteyne. - Kilka razy dzwoniła do domu.

- Tak? - Po tej fatalnej wycieczce na strzelnicę z Donem Josie zostawiła mi dwie wiadomości na automatycznej sekretarce. Skasowałem je, nie odsłuchując, ponieważ bałem się, że wespół z Donem zechcą mnie pozbawić praw do widywania się z Megan. Teraz nie chciałbym tego usłyszeć. - Byłem zajęty - powiedziałem.

Przypomniałem sobie, że Hanlon powiedział, iż ma oko na Megan. *Ona jest taka słodka.*

Poczułem, iż moje szwy gorzej i ogień liznął mi bliznę w piersi. W samochodzie zapadła cisza. Po chwili podskórne gorąco zaczęło się rozplýwać i mogłem głębiej odetchnąć.

Fonteyne skręciła na wjazd 610. - Czy słyszałeś o kimś takim, jak Anioł Stróż?

- Jak?

- Anioł Stróż. Słyszałeś o kimś takim, panie Zagłado-Ponuracki? - Wdusiła gaz i skręciła na pas szybkiego ruchu. - Mogłeś mi powiedzieć, że babunia strzeże mojej Vi. Jak anioł stróż. Zamiast tego... Will, to było takie wredne! A teraz cały czas o tym myślę. To, co powiedziałaś, było obrzydliwe i głupie, babunia nie mogłaby zrobić Vi krzywdy, ale wbiłaś mi tę głupią myśl do głowy i nie umiem się jej pozbyć. Przez trzy dni płakałam, nie mogąc zasnąć!

- Fonteyne! Wiem bardzo dobrze, że nie...

Fonteyne spojrzała na mnie. Ze zdumieniem spostrzegłem, że jej oczy są pełne łez. Zniżyła głos do szeptu, jakby się bała, iż leżąca na tylnym siedzeniu córeczka może ją usłyszeć. - Myślisz, że chcę, żeby przez całe życie pakowała towary w torebki? Myślisz, że chcę, żeby była taka jak ja? - Jej dolna warga opadła, ukazując brzydkie krzywe zęby. Kiedy dentysta orzekł, że powinna nosić klamry na zębach, tatko akurat był w finansowym dołku. Zapytał ją jednak, czy chce mieć klamry i oczywiście odpowiedziała, że nie, bo obawiała się, iż inne dzieciaki będą sobie z niej drzeć łacha. Teraz zacząłem się zastanawiać, czy wiedziała, że akurat takiej odpowiedzi tatko od niej oczekiwał.

- Ona jest dobrą wróżką Vi - stwierdziła Fonteyne.

- Co takiego?

- Babunia. Rodziłam, a nie było przy mnie ojca dziecka. Bolało. Cholernie bolało, Will. - Fonteyne pociągnęła nosem. - Kiepsko mi szło, bałam się, że wszystko spieprzę, że zaszkożę dziecku albo sama umrę. Aż w końcu dali mi to znieczulenie, i właśnie wtedy, gdy Vi zaczęła wierzgać, poczułam ją i pojęłam, że babunia jest przy mnie. I powiedziałam jej, sercem jej powiedziałam, że jak z tego nie wyjdę, to ty masz się zająć dzieckiem. - Otarła nos rękawem koszuli. - Babunia też miała na imię Violet - powiedziała. - Dlatego widziałeś, jak pilnuje dziecka. Jest matką chrzestną mojej córeczki.

- Przepraszam... Nie chciałem... - Zająłem się szukaniem jakiejś muzyki w radio. Mama zostawiła je nastawione na jakiś program kościelny.

Widywałem Fonteyne i Paris, kiedy miały po sześć i cztery latka. Chciały się bawić w udawanie księżniczek i przychodziły do mnie, żebym im pomógł. Przy pomocy kilku spinaczy i upiętych zmyślnie ręczników robiłem im odpowiednie suknie. Obie były jeszcze wtedy ładniutkie i żadne z nas nie wiedziało, że Piękni Książęta, na których miały czekać, okażą się leniwymi i nic niewartymi chłopaczyskami z Deer Park, którzy złamią im serca i je porzucą. Ja też tego nie wiedziałem. Nawet zdolność widzenia nieboszczyków i umarłaków nie potrafi uchronić przed różnorodnością sposobów, w jakie może cię wyrolować życie.

- Pamiętasz, jak byłem w szóstej klasie - ciągnęła Fonteyne - i ten chłopak, Brett Mayne, zaglądał mi pod sukienkę i szarpał mój biustonosz, a ty któregoś dnia przyszedłeś do szkoły na lekcję wuefu?

Nauczycielka chciała cię wyrzucić, ale tyją olałeś i powiedziałeś do Bretta: „Wiem, gdzie mieszkasz, gnojku. Jak jeszcze raz zaczepisz moją siostrę, obleję twojego pierdolonego psa benzyną i go podpalę!”.

- Tak powiedziałem?

- Ja... poczułam się jak królowa, bo tak się o mnie troszczyłeś. Ale ty oczywiście tego nie pamiętasz. - Zaśmiała się niewesoło. - A czy pamiętasz, jak wszczyynałeś bójki z tamtymi żołnierzami?

- Taaa...

- Wiesz, że to przez Dona?

Nagły przebłysk wspomnienia: komiczny wyraz zaskoczenia na gębie jakiegoś trepa. Ma garść haczyków w jednej dłoni, krew mu cieknie ze złamanego nosa i mruga, widząc moje zbliżające się przedramię. Przedmioty odbijające się w pieprzonych oczach tego lachociąga rosna w zbliżeniu. Boże, ależ go wtedy walnąłem. Przepełniła mnie radość w stanie czystym.

Fonteyne ponownie otarła nos rękawem koszuli. - Babunia mówiła, że masz to po Jay Paulu.

- Po dziadku Smithersie?

- Rozmawialiśmy o tobie. Wszyscy się martwiliśmy, że kiedyś zostaniesz okropnie pobity albo pójdziesz siedzieć, a babunia powiedziała mi kiedyś: „Skarbie, tacy już oni są, ci mężczyźni. Jay Paul, o - ten to potrafił się wściekać... i nawet nie wiedział, że jest stuknięty”.

Na to nie znalazłem odpowiedzi.

Nie lubię rozmyślać o przeszłości. Co się stało, to się nie odstanie i nie ma sensu do tego wracać. Ale od kiedy Hanlon mnie postrzelił, niełatwo mi było skupiać się wyłącznie na przyszłości. Zalewała mnie lepka i wilgotna fala wspomnień. Jakby ta kula zrobiła we mnie dziurę, przez którą krwawiła moja przeszłość.

Razem z Fonteyne zatrzymaliśmy się obok „Gabby’s Barbecue”, żeby wziąć obiady dla wszystkich. Na słupie telefonicznym ktoś przybił drewniany krzyż. W ciągu ostatnich dziesięciu lat tego typu kapliczki zaczęły się pojawiać w całym Houston. Znaki po zmarłych stawały się sygnałem duchów, które mogli zobaczyć nawet zwykli ludzie. Jeżeli mijales taki przy szkolnym podwórku, wiedziałeś, że ktoś tu zginął w wypadku samochodowym albo ulicznej strzelaninie. Krzyż na dachu budynku oznaczał prawdopodobnie czyjś samobójczy skok. Krzyż przywiązany do płotka przy moście nad autostradą oznaczał z pewnością to samo.

Pod krzyżem do słupa przybito fotografię młodego jasnowłosego człowieka. Na pamiątkę po jakimś studencie prawdopodobnie zabitym w strzelaninie, która się tu wywiązała podczas ostatniego napadu rabunkowego. Nie wiadomo, czy był pracownikiem, czy przypadkowym gapiem. Tak czy owak zginął z powodu sumy z pewnością mniejszej niż pięćdziesiąt dolców.

Kiedy dotarliśmy do miejsca, gdzie mieszkali Walt i Patty, był już późny wieczór, ale powietrze wciąż zionęło gorącem i wilgocią; wyjście z buicka było jak wyskoczenie z lodówki do sauny. Betonowe patio na tyłach domku Walta wyglądało tak samo, jak każde inne; grill na gaz drążek do podciągania się i

rdzewiejący już zestaw ciężarów i sztang, z których korzystali bracia AJ, gdy byli członkami szkolnej drużyny. Leżały też tam porzucone wzdłuż tylnej ściany części rozebranej kosiarki do trawników, wędka z otwartym do naprawy bębenkiem na żyłkę oraz miski dla kotów z kilkoma kawałkami psiej karmy i martwym świerszczem w jednej z nich.

Wszędzie wyczuwało się smutek po utraconych dzieciakach, najbardziej bolesna była nieobecność najstarszej córki Walta i Patty, Julie-Anne, która żyła dostatecznie długo, żeby się poróżnić z rodzicami, ale zginęła, zanim zdołała się uporać z własną buntowniczą naturą i powrócić, żeby się pogodzić. - Walt jest twardzielem, a Patty to praktykująca katoliczka - powiedziała moja mama po tym, jak chłopak AJ ją zastrzelił. - Jeżeli ktokolwiek może się uporać z taką stratą, to właśnie oni. - Ale jak ktoś może żyć po utracie córki w taki sposób? Pewnie, zjawiali się na rodzinnych zlotach, nie rozwiedli się i nie rozpili. Ale po śmierci AJ każde straciło część samego siebie i tej straty nie dało się zaleczyć.

Pociągnąłem szklane drzwi patio, otwierając je z tym charakterystycznym przeciągłym poświstem ze „Star Treka”. Moja mama krzątała się przy talerzu z sałatką. - Patnr pokazuje Grzmotowi jakieś slajdy - powiedziała. - Pomnóż mi nakryć do stołu.

Wszedłem do środka. Tuż za mną szybko weszła Fonteyne, nie wypuszczając chłodnego powietrza na zewnątrz. Na prawo od nas, w zaciemnionym saloniku ciocia Patty, siedząc przy projektorze, rzucała obrazy na niewielki płócienny ekranik, ustawiony przed telewizorem. - To jest Brice - oznajmiła radośnie, gdy na płótnie pojawił się wizerunek ich najmłodszego chłopaka. - Dobrze sobie radzi na studiach. Jest miotaczem w drużynie bejsbolowej.

- Potrafi rzucać podkręcane? - zapytał wuj Walt, uśmiechając się lekko.

- Sam go tego nauczyłeś, gdy skończył dwanaście lat. - Na twarzy ciocia Patty były ślady łez i z jakiegoś powodu przypominałem sobie kapanie, kapanie z kranu w garażu Hanlona. Smutek jakoś zawsze kojarzy mi się z wilgocią. Deszcz i sącząca się woda.

- Aaaa... - Walt lekko się zgarbił. - Uważałem, że to nie wywoła bólu w ramionach, jeżeli właściwie podejść do treningu. - Wpatrywał się w fotografię przystojnego młodzieńca, jakby doszedł do wniosku, że przypomni sobie wszystko, jeśli dostatecznie długo będzie się gapił na fotografię syna.

- Grzmot nie potrafi sobie przypomnieć, gdzie przed chwilą postawił lewą stopę, nie mówiąc już o dzieciakach - mruknęła mama półgłosem. - W niektórych przypadkach takie są skutki zatrucia siarkowodorem. Lekarze mówią, że prawdopodobnie odzyska pamięć, ale pewni nie są. I nie może znieść światła. Nie jesteś głodny, Will? Martwi mnie, że się głodzisz.

Na stole ułożyła plastikowe sztuczki i stos papierowych talerzy, co robiła zawsze, gdy nie chciała sobie zawracać głowy myciem naczyń. Ze styropianowych pojemników dolatywały zapachy potraw z grilla: żeberka, karkówki i kiełbasek. Były także sałatka ziemniaczana, surówka z jarzyn i coś słodkiego z rodzynkami. Kukurydziany chleb robiła sama, bo uważała, że nawet u Gabby'ego zaczęto dodawać do niego za wiele cukru.

- Jedzenie jest na stole - stwierdziła mama. Tęgi tors wuja Walta sprężył się, gdy z trudem

wstawał z fotela. Paskudnie było patrzeć na niespożytego i niezniszczalnego wuja, tak teraz osłabionego, że nie mógł wydostać się z leniwca. W końcu tatko chwycił go za ramię i pomógł mu się podnieść.

- Dziękuję uprzejmie - skwitował wuj Walt. Poruszał się, ciągnąc stopy po ziemi niewielkimi krokami, jak staruszek. Przez cały czas wspierał się na ramieniu tatki. - Jestem pewien, że powinienem pana znać, ale po wyjściu ze szpitala miewam kłopoty z przypominaniem sobie imion i nazwisk różnych ludzi.

- Jestem Jimmy, stary Grzmocie. Poślubiłem twoją siostrę Sue.

- Twoje ciało wciąż nie może się otrząsnąć z szoku - wtrąciła mama z nieco sztucznym ożywieniem. - Nie masz dość sił na pamiętanie rozmaitych rzeczy. No i nieźle się walnąłeś w głowę, jak upadłeś. Ale już niedługo wszystko ci się przypomni.

Ciocia Patty podsunęła Waltowi jego krzesło. Mieli w jadalni jednakowe krzesła z osobliwie powyginanymi oparciami i pokrytymi czarnym winylem siedzeniami; które wyglądały niemal jak skórzane. Gdy Walt siadał a swoim zwykłym miejscu u szczytu stołu, naprzeciwko łukowych wykuszy okiennych, widać było, jak jego ciężka dłoń drży na oparciu krzesła. Zrobiło się już dość ciemno i przez okna niewiele było widać, poza naszymi własnymi odbiciami i niewyraźną gęstą masą drzew za podwórkiem.

Ciocia Patty nałożyła Waltowi na talerz kawał karkówki i pajdę kukurydzianego chleba. We frontowym pokoju ich domku był zegar po dziadku. Nagle przypomniało mi się niejasno, że mając lat cztery czy pięć chowałem się w jego szafce. Nie może być, żeby upłynęło już blisko trzydzieści lat. Gdyby AJ nie została zastrzelona, zbliżałaby się już do czterdziestki, a ja dociągałem już do połowy biblijnego wieku trzech dwudziestek i dziesiątki. Za kilka lat Megan pójdzie do college'u i, wychodząc, będzie zapominała o zadzwonieniu do Josie. A ja już nigdy od niej nie dostanę żadnej wiadomości. Nikt już nie będzie pamiętał o moich zespołach, muzyka, którą pokochaliśmy z Josie, będzie dla tamtych nastolatków brzmiała głupio i staromodnie. Moi rodzice umrą, a potem zaczną odchodzić moi przyjaciele, nie wypalając się w fajerwerkach prochów czy wyglupów, ale na raka flaków lub w wyniku ataku serca. Poczulem nagły ruch w piersiach, jakby spod mojego mostka naprawdę wypływał jakiś dren.

- Spadłem z rusztowania - oznajmił nagle wuj Walt. Wciąż badał tę koncepcję, jak zepsutą część silnika. - Jak do tego doszło?

- Poprosili cię, żebyś odkręcił kołnierz z sześciocalowej rury. - Ciocia Patty nałożyła mu kęs jarzynowej sałatki na płat kukurydzianego chleba.

- I co? Nie założyłem zaślepki? - zapytał wuj Walt

- Chyba tak. A w rurze był siarkowodór.

- Nie przedmuchali przedtem rury? - zapytał zaskoczony wuj Walt. - Nie polazłbym na górę, gdybym wiedział, że linia nie jest czysta!

Ciocia Patty naląła mu szklanekę dietetycznego napoju Doktora Peppera. - Brygadzysta Browna i Roota mówi że słyszał, jak facet od Crowna wołał, że oczyścili rurę.

- Brygadzysta Crowna chroni dupę, jak może - warknął Walt. Żadne uszkodzenie mózgu nie usunie z umysłu twardziela ze wschodniego Houston niechęci do pracowników Crown Petroleum. Żeby skłonić ciocię Patty do wypowiedzenia tych słów, prawnicy Crowna krążyli wokół Walta jak muchy nad krowim gównem, gdy leżał wciąż jeszcze oszołomiony i unieruchomiony na szpitalnym OIOM-ie.

Dłoń wuja zadrżała z wysiłku, gdy spróbował uciąć kęs karkówki.

Tuż przed dziewiątą, tej nocy, kiedy Hanlon ukazał mi się na strzelnicy w Pasadenie, Walt i jego pomocnik, George Nogales, dostali polecenie odkręcenia kołnierza z sześciocalowej rury i zamontowania zaślepki - metalowego zaworu, mogącego powstrzymać przepływ jakichkolwiek substancji toksycznych. Rura położona była dwadzieścia pięć stóp nad ziemią, więc miała to być robota na wysokim rusztowaniu, a Walt i George powinni byli założyć maski ochronne z dostarczonym węzami powietrzem, na wypadek, gdyby w powietrzu były jednak jakieś szkodliwe substancje. Ich działania miał na wszelki wypadek obserwować człowiek z dołu - pracownik kompanii Brown & Root o nazwisku Forrest Deese (mnóstwo informacji o przebiegu wypadku ciocia Patty dostała właśnie od niego). W zakładach Crowna kończył się właśnie dość długi proces remontu linii produkcyjnej i wszystkich ostro poganiano, ponieważ okres, w którym fabryka nie pracowała normalnie, powodował wielkie straty finansowe.

Zgodnie ze świadectwem Deesa, brygadzysta Crowna stwierdził, że linia została oczyszczona z siarkowodoru i ciśnienie w niej nie powinno być większe niż trzy do pięciu funtów na cal kwadratowy. Ale w szpitalu ciocia Patty widziała pisemną instrukcję pracy, podpisaną przez brygadzystę B&R i człowieka od Crowna. Stwierdzono tam wyraźnie: „W atmosferze mogą być obecne resztki siarkowodoru i pracownicy pracujący pod nadzorem powinni mieć zabezpieczenie w postaci zbiornika czystego powietrza”. Deese powiedział, że wspólnie z Waltem doszli do wniosku, iż oznacza to, że Walt i George powinni mieć na rusztowaniu maski z węzami, podczas gdy nadzorujący ich działania Deese powinien mieć zapasowy zbiornik powietrza. Ale prawnik Crowna upierał się przy stwierdzeniu, że ponieważ węże z tlenem nie sięgnęłyby z ziemi na rusztowanie i potem do najbliższego zejścia, Walt i George powinni byli mieć butle - na wypadek, gdyby musieli opuścić rusztowanie w pośpiechu.

Praca nie powinna była zająć wszystkim dłużej niż dwadzieścia pięć minut. Walt, który takie rzeczy robił nie po raz pierwszy, odkręcił kołnierza, a potem George podał mu zawór, który powinni byli tam założyć. Wszystko było zwyczajną, rutynową robotą, dopóki nie rozległ się dźwięk czujnika. Kiedy Walt i George kopnęli się do najbliższego zejścia, okazało się, że przewody powietrzne są za krótkie. Musieli pozdejmować maski, żeby móc oddychać.

W tejże samej chwili, w której zdjęli maski, musieli wyczuć siarkowodor w powietrzu i pojęli, że mają kłopoty, ale wtedy było już za późno. Siarkowodor zatrzymuje oddychanie - nie w płucach, ale na poziomie komórek. Jeden głęboki wdech w atmosferze o dostatecznym zagęszczeniu tego gazu wystarczy, żeby człowiek popadł w śpiączkę. Walt był na połowie ostatniego podestu schodów, kiedy gaz go powalił. George zobaczył to, będąc jeszcze dwadzieścia stóp nad ziemią. Skoczył przez poręcz na dół i

rozbił sobie czaszkę. Deese powiedział, że bał się go ruszyć, bo pomocnik Walta mógł mieć uszkodzony kręgosłup, więc najpierw odciągnął Walta, wołając o pomoc. Kiedy wrócił z innym pracownikiem Roota i Browna, odzianym już w pełen kombinezon, George Nogales był martwy. Koroner i prawnicy kompanii mogli już teraz wiedzieć, czy stracił życie w wyniku zatrucia gazem, czy upadku, ale nic nie powiedzieli.

W tej chwili plastikowy nóż i widelec ginęły niemal w wielkich łapach wuja Walta i jego grubych, pokrytych bliznami palcach. Brzuszyśko zwisało mu nad kolanami podtrzymywane solidnym paskiem z brązową sprzączką, ale on wciąż wyglądał jakoś tak mizernie, jakby się zagubił wewnątrz ciała, którego nie mógł już wypełnić. Zastanawiałem się, czy pamięta swoją nieżyjącą już córkę, czy po prostu czuje wewnątrz jakąś pustkę po niej.

Gdzieś z głębi mojej jaźni niczym z zimnego źródła wypłynęła i ogarnęła mnie fala smutku. Nie mogłem pojąć, dlaczego mroczny, ale przytulny domek Walta i Patty działa na mnie tak przygnębiająco. Odepchnąłem się od stołu. - Wybaczenie mi. - Zamrugałem powiekami; miałem tak wilgotne oczy, że twarze zebranych rozmazywały mi się w niewyraźne plamy. - Zaraz wracam.

Przeszedłszy do łazienki pochylałem głowę, patrząc w zlew. Ogarnęło mnie coraz silniejsze uczucie smutku i nagle kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. Podniosłem głowę.

W zwierciadle zobaczyłem patrzącą na mnie uważnie kuzynkę AJ.

ROZDZIAŁ VII

Niemal wszyscy martwi ludzie mają nieobecne spojrzenie i łypią wokół nic niewidzącymi oczami. AJ patrzyła inaczej. Obserwowała mnie z lekkim uśmiechem, jak starsza siostra rozbawiona moim zachowaniem. Miała oczywiście te swoje okrągłe okulary i białą koszulkę podtrzymywaną na dwu cienkich tasiemkach. Na koszuli niczym róże kwitły dwie plamy - jedna mniejsza nad biodrem i druga pomiędzy jej niewielkimi piersiami. Zamknąłem oczy, policzyłem do dziesięciu i otworzyłem je ponownie. Wciąż tam była.

Widzę cię, TK.

Widzę cię.

Widzę cię.

Widzę.

Nie mogłem oderwać od niej spojrzenia. Pomyślałem o Hanlonie leżącym pośrodku nocy z otwartymi oczami, suchymi ustami i z walącym dziko sercem. Ludzie myślą, że duchy są jak iluzje albo jak rysunkowe filmiki. Nie są. Kiedy się zjawia przy tobie, okazują się równie realne jak ty sam. Wyraz mojej twarzy musiał być dość komiczny. AJ uśmiechnęła się nieco kpiąco i uniosła jedną brew w górę. Potem jakby cofnęła się w głąb lustra. Zrobiła jeden wolny krok, cały czas patrząc mi w oczy.

- AJ? - wykrztusiłem. - O kurwa! Czego chcesz?

Patrząc na mnie przez ramię, cofnęła się ku drzwiom łazienki. Ruszyłem za nią. Wciąż patrząc mi w oczy AJ przeszła przez krawędź lustra i zniknęła.

Mogłem teraz zaczerpnąć tchu. Zabolało. Stęskniłem się za nią.

Pojawiła się ponownie. Stała rozmyślnie przy krawędzi lustra i popatrzyła na mnie przez ramię. Tym razem wolniej zrobiła krok poza krawędź i zniknęła. Poszedłem za nią do pokoiku na bieliznę i zatrzymałem się. Żadnego znaku. Gdy wróciłem do łazienki, w lustrze nie było nikogo poza mną.

Wyszedłem na korytarz. Na jego drugim końcu ciocia Patty ustawiła szafkę na bibelociki z marmurowym blatem i wysokim lustrem nad jego płaszczyzną. Zobaczyłem w nim AJ, ale jej sylwetka się zmniejszała, jakby szła do saloniku.

Pospieszyłem za nią.

I wyszedłem na frontowy przedsionek wyłożony płytkami imitującymi marmur i frontowymi wyciętymi z matowego szkła drzwiami. Rozejrzawszy się dookoła zobaczyłem niewyraźny cień AJ, przechodzącej po imitacji kryształu. Mignęły mi czarne włosy i zakrwawiona koszulka. Zmierzała do jadalni.

- Will? - zawołała mama od stołu. - Jakie było zapamiętane przez ciebie najmilsze wydarzenie z rodzinnych zjazdów?

Prawda: oglądanie „My Name is Trinity”²⁶, w stanie absolutnego rozluźnienia podwójną dawką

²⁶ Spaghetti western z 1971 r. (przyp. red.).

LSD Orange Sunshine, w ostatnim roku, kiedy z resztą kuzynostwa zamknięto mnie w pokoju dla dzieciaków. Oczarowałem drani i draniówy, terkocząc jak najęty o biblijnym symbolizmie Naprawdę Wielkiego Gnata pana Eastwooda²⁷.

- Zawody w pluciu pestkami melonów na odległość - odpowiedziałem.

- Mnie też się to spodobało - stwierdziła Fonteyne, usiłując jednocześnie przełknąć kęs kukurydzianego chleba.

Teraz pełne odbicie AJ przesunęło się przez okna werandy jadalni. Uśmiechała się do mnie.

- Te ostatnie kilka zjazdów, które zorganizowała Mabel Rae, były naprawdę miłe, ale oczywiście wygląda na to, że tylko niektórzy przyjeżdżają co roku. Powinniśmy dotrzeć do wszystkich. Ściągnąć Chase'ów z Brownsville. Powiadomić Billie Maca, Arlene i cioteczną babcie Normę. Will? Nie jesteś głodny? - zapytała mama. - Spróbuj trochę tej sałatki jarzynowej.

AJ otworzyła usta w śmiechu, którego nie mogłem usłyszeć.

Nie ośmielę się twierdzić, że już jako nastolatek nauczyłem się wielu mądrych rzeczy, ale przynajmniej potrafię zachować się stanowczo wobec rodziców, choć mogłoby się to wydać niekiedy dziwne albo niegrzeczne. - Opchałem się już sałatką ziemniaczaną - stwierdziłem. - I żeberkami. - AJ szybko przechodziła przez okna werandy. Kiedy przechodziła przez kolejne szyby, jej ciało na chwilę jakby się rozdzielało, a potem ponownie scalało. Kiedy dotarła do ostatniego okna, dała nura do kuchni i znikła.

Stwierdziłem nagle, że mama uważnie mnie obserwuje. - Przyniosę trochę lodu - powiedziałem. Otwierając zamrażarkę, dostrzegłem jakiś ruch nad kuchennym zlewem. Cofnąłem się i zobaczyłem, że w kuchennym oknie czeka na mnie AJ. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Poczułem pręt zimna przenikającego moją pierś. AJ spojrzała na zlew, a potem znów na mnie - i jeszcze raz na zlew. Podążyłem wzrokiem za jej spojrzeniem. Z kranu zwisała para zwykłych gumowych rękawic do zmywania talerzy. AJ spojrzała znacząco na rękawice, czekając aż mnie olśni zrozumienie. Nie olśniło.

- Kochany, w lodówce jest mrożona herbata, gdybyś miał na nią ochotę - powiedziała ciocia Patty.

Dotknąłem rękawic i spojrzałem w okno. AJ zniknęła.

I zobaczyłem, że wuj Walt patrzy na mnie - a raczej obok mnie na okno, w którym przed chwilą objawił się duch jego córki.

Ciocia Patty położyła mu dłoń na ramieniu. - Kochanie, czyżbyś o czymś zapomniał?

- Taaa... - odpowiedział.

Wyszliśmy z domku Walta i Patty około dziewiątej. Fonteyne i Vi pojechały buickiem z mamą do domu. Ja zamierzałem pojechać autobusem, ale tato nie chciał o tym słyszeć i wsadził mnie do swojego caprice 93, wycofanego z użytku wozu policyjnego nabytego przezeń na aukcji. Jak dobrze mu się przyjrzałeś, mogłeś zobaczyć godło Wydziału Policji w Pasadenie, pokryte cienką warstwą lakieru. Tatce

²⁷ Błąd autora: Clint Eastwood nie grał w „My Name is Trinity” (przyp. red.).

podobało się krążenie po okolicy w policyjnym wozie. Ile razy z nim jechałem, w głowie dźwięczał mi motyw z Batmana.

Przelecieliśmy przez Refinery Row - długi na kilka mil szereg zbiorników na benzynę, kolumn krakingowych i reaktorów polietylenu stojących po obu stronach autostrady 225 łączącej Deer Park i właściwe Houston. Instalacje ciśnieniowe nie mogą mieć zbyt wielu ostrych kątów, w rezultacie czego wielkie rafinerie łączy ta baniasta architektura przypominająca filmy fantastyczno-naukowe - myślę o tych wszystkich zbiornikach, kulach, rurach i wspornikach. Budowle oplecione są pajęczą siecią metalowych drabinek iluminowanych czerwonymi i niebieskimi światełkami, co nadaje całości atmosferę na poły bożonarodzeniową i piekielną. Wszystkie budowle w Refinery Row - wyjąwszy te, które niedawno spłonęły albo wyleciały w powietrze - pomalowane są na biało i cały kompleks wygląda trochę nierealnie, jakby ktoś wybudował przy drodze ogromny park rozrywki „Battlestar of Galactica”, opustoszały teraz po zamknięciu.

- Więc - zagadnął mnie tatko jak zawsze obojętnie - jak ci idzie szukanie pracy?

- Wspaniale. - *Tutum-tutum, tutum-tutum, tutum-tutum...* - Jutro zaczynam. Zamierzam zostać Zamaskowanym Krzyżowcem. - *Batman!*

- Słyszałem, że można na tym nieźle zarobić - stwierdził tatko oschłym tonem.

- Tysiąc dolarów dziennie. Jutro mam pierwszą robotę.

- Zabierzesz ze sobą broń?

- To raczej zwykła kobieta. Nie spodziewam się z jej strony żadnych brudnych sztuczek. - Tatko nie wyglądał na przekonanego. - No, przynajmniej nie należy do Smithersów - dodałem.

Uśmiechnął się. - Dziękujemy Bogu choć za to. Więc jutro zamierzasz...

- Sprawdzić jej dom. Zobaczę, czy jest nawiedzony. Zrobiłem już raz coś takiego, dla pośrednika w handlu nieruchomościami.

Tatko spojrzał na mnie z ukosa. - Wypisałeś mu rachunek?

- Nie sądziłem, że to jest potrzebne.

- Idź do niego i weź pokwitowanie. Skarbowka musi mieć dowód.

- To tylko kilkaset dolców...

- Tysiąc dziennie? Niezła sumka.

- Od pierwszego klienta wziąłem właściwie tylko pięćset. - przyznałem się.

- Zostawiłeś coś na podatki?

- W zasadzie musiałem spłacić dług za mieszkanie.

- A ubezpieczenie? Wyrejestrowałeś się z pośredniaka? Czy zdajesz sobie sprawę, że musisz się tym zająć, skoro wszedłeś do klasy prywatnych przedsiębiorców?

- Czekaj chwilę! - poczułem napływ paniki. - Ile mi zostanie z moich pięciuset dolarów?

Tatko wzruszył ramionami.

- Może trzysta...

- Trzysta dolarów z pięciuset?!

Spojrzał na mnie z szerokim uśmiechem na ustach. - Witaj w świecie drobnej przedsiębiorczości!

Czterdzieści minut później wciąż jeszcze wyjaśniał mi tajniki biznesu w małej kafejce przy Greenbriar. - W zasadzie jesteś niby konsultantem i w normalnych warunkach oznaczałoby to, że prowadzisz firmę jednoosobową. - Napisał na papierowej chusteczce „Firma Jednoosobowa”, czyli spółka z o.o. i podkreślił „jednoosobowa”.

- W normalnych warunkach, ale nie tym razem? - Wycisnąłem połowę czwartego naparstka śmietany do trzeciego kubka kawy. Josie maczała pojemniczek w kawie, aż papier robił się mokry i mogła wycisnąć całą zawartość, nie oddzierając nawet folii z wierzchu. Ja nigdy nie miałem do tego cierpliwości.

- Wiesz, problem leży w odpowiedzialności. - Tatko wyjął z kieszeni koszuli okulary do czytania i patrzył teraz na mnie ponad nimi, stukając w chusteczkę długopisem. - Powiedzmy, że babunia Burak poprosi cię, żebyś pogadał z duchem dziadzia Buraka. Dziadunio wraca z za grobu i powiada: „Masz chude dupsko, starucho, a ja zawsze bardziej lubiłem twoją siostrę Mabel!”. Ponieważ, co tu ukrywać, nie jesteś najbardziej ostrym narzędziem w komórce, przekazujesz babuni tę wiadomość i starą trafia szlag na miejscu. - Popatrzył na mnie znacząco.

Odpowiedziałem mu szczerym, prostym i świadczącym, że niczego nie kumam spojrzeniem. - I co?

- I mieszkające w sąsiednim hrabstwie dzieci Buraków składają przeciwko tobie pozew do sądu.
- Pozywają mnie? - zachnąłem się i rozlałem kawę na powierzchni stolika.
- Karygodna niedbałość. Wywołanie stresu emocjonalnego. Poniesione straty finansowe.

Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że zamierzam wytrzeć rozlaną kawę chusteczką Ubezpieczenie i Nadzór Wetknąłem chusteczkę do kieszeni, gdzie tkwiły już podobne z napisami: „Biznesplany”, „Podatki miejskie i okręgowe” i „Licencja założenia firmy”.

- Babunia Burak poniosła jakieś straty finansowe?

- Robiła pikowane kołdry, które w każdą Wielkanoc sprzedawała na przykościelnym jarmarku, a dochody przeznacziała na wykształcenie wnuków w college'u.

- Musiały być zajebiste, te kołdry.

- Najlepsze z najlepszych. - Tatko łyknął swoją bezkofeinową.

- Więc myślisz, że powinienem się zarejestrować? - Biuro Dochodzeniowe Truposza Kennedy'ego. Kapitan Podziemniak z Osobowością Prawną. Jezusie!

- Nie sędzę. Powinieneś raczej tylko zadbać o bardzo specyficzne ubezpieczenie. Ale trzeba się nad tym dobrze zastanowić.

- Tato...

- Tak?

Chwyliłem chusteczki „Jak znaleźć dobrego księgowego” i „Odpisy od podatków na prowadzenie biura w domu”. - Ja nikogo nie naciągam.

- Nigdy tego nie powiedziałem.

- Tak, wiem. Ja... czy ty w ogóle mi wierzysz? W to, że widuję duchy? Myślisz pewnie, że jestem stuknięty.

Tatko zdjął z nosa okulary do czytania, złożył je i wetknął w kieszeń. Podczas kilku minionych lat jego włosy upodobniły się barwą do soli zmieszanej z pieprzem, ramiona jakby się zaokrągliły. - Twoja matka zawsze mówi, że wyczuwa w swoim życiu obecność miłującego ją Jezusa. Ja chyba wierzę w Boga, ale nigdy nie doznałem czegoś takiego. Ale czy mam zarzucać twojej matce kłamstwo, tylko dlatego, że sam nie mam Jezusa w sercu? - Wypił kolejny łyk kawy. - Nie jest istotnie, co myślę albo w co wierzę. Ja chcę tylko pomóc ci na tyle, na ile mi pozwolisz.

- Och... - powiedziałem. Byłem wzruszony i zawstydzony. Miałem za sobą speprzone małżeństwo i mnóstwo gównianych zajęć, a on cały czas się o mnie martwił. - Dobra. Dziękuję.

Było już po północy, kiedy ojciec wysadził mnie przed moim domem. Wspiąłem się na górę, pokonując otepiający żar na korytarzu i wlałem do mieszkania tylko po to, żeby odkryć, iż nie działa klimatyzacja.

W Houston nie da się zasnąć bez klimatyzacji w pokoju. Wilgotne powietrze przez całą noc pozostaje gorące - w parę godzin po północy termostat w moim pokoju wciąż wskazywał osiemdziesiąt

osiem stopni²⁸. Zmoczyłem łeb w wodzie, próbując go ochłodzić. Poszedłem do supermarketu Krogera, żeby sprawdzić, czy mają jakiś kwitariusz w dziale papierniczym, ale nie mieli. Rozłożyłem chusteczki taty na blacie w kuchni i spróbowałem wyobrazić sobie siebie samego w roli prywatnego przedsiębiorcy. Nie bardzo mi to wyszło.

Noc ciągnęła się w nieskończoność. Puściłem kilka krążków CD i leżąc na materacu, przesłuchałem płyty starych zespołów, „Stranglersów”, „Shriekbaksów” i „Excene Cervenka”. Pociłem się w ciemności, rozmyślając o swojej rodzinie i umarłych.

Duchy są jak bezdomni. Uczymy się je ignorować, bo inaczej się nie da. Nie potrafimy się uporać ze wszystkimi ich potrzebami i z całym tym żalem. Nawet ja staram się w nic nie mieszać. Jak zaczniesz je zauważać, na czym to się może skończyć? W nich są całe rzeki żalu, które mogą cię zalać niczym powódź. Utoniesz. Każdy byłby utonął.

Sądzę jednak, że jeśli pierwszy duch cię dopadnie, pozostałe mogą to wyczuć. Mogą cię odnaleźć. Jesteśmy żywi i płoniemy w ich mroku jak świece. Nawet ślepe przychodzą, kierując się naszym ciepłem. Leżąc tam po ciemku, pomyślałem sobie, że moją pierwszą pomyłką był chyba wuj Billy. Gdybym wtedy na niego się nie natknął, gdyby nie przemówił do mnie nad mrocznymi i mętnymi wodami bayou, może inne duchy też nie byłyby mnie znalazły.

Ale nie tak to się odbywało. Billy mnie widział i wiedział, kim jestem. Może - dotarło do mnie nagle - to nie moja mama czytała mi wersety z Biblii w szpitalu? Może przy moim łóżku siedział wtedy w nocy wuj Billy? *Ja was chrzczę wodą ku pamiętaniu, ale ten, który po mnie idzie, jest mocniejszy niż ja; jemu nie jestem godzien i sandałów nosić; On was chrzcić będzie Duchem Świętym i ogniem.*

Billy odnalazł mnie pierwszy, ale teraz pozostałe gromadziły się wokół mnie jak ćmy przy płomieniu świecy: Tom, babunia, AJ... - właściwie cały zlot rodzinnych duszyczek.

Wstałem w końcu i wyszedłem na spacer. Wędrując o trzeciej nad ranem po okolicznych uliczkach, rozmyślałem o tatusiu, babuni i AJ widzianej przeze mnie w lustrze łazienki jej ojca.

Tuż za podstawówką im. Roberta część ulicy Addisona zamieniła się w widmową drogę. Stojący przed narożnym domem lincoln był czarno-biały, a róże przed frontowym gankiem były wyblakłe i zetlałe jak stare gazety.

Pod znakiem stopu na rogu była maleńka kapliczka. Postawiono ją niedawno - mały, już nieco sfatygowany krzyż wzbity w ziemię z białymi kwiatami i świeczkami na każdym z ramion. O kwiaty oparte było zdjęcie małego chłopczyka. Wyglądał jak jeden z tych sztywno uśmiechniętych portrecików malców wykonywanych u Searsa. Mógłbym się założyć, że do zdjęcia włożył niewygodne nowe ubranko. Była to normalna miła ulica ze zwykłymi domkami dla średnio zamożnych ludzi, jakich oglądamy w serialach TV. Trudno uwierzyć, że czyjś dzieciak mógł tu umrzeć. Kwiaty były świeże i w mroku migotały dwa języki płomieni zapalonych świeczek. Droga za nią była czarno-biała, a kapliczka ku czci nieżyjącego chłopca była niby otwarte drzwi.

²⁸ Cały czas mowa o skali Fahrenheita (przyp. tłum.).

Dobrze byłoby się przejść tą spokojną szarą uliczką. Byłem chłodny i opanowany. Wypełniała mnie mglista obietnica uwolnienia. Moje ciało wiedziało, że spacer wzdłuż tej widmowej ulicy będzie jak sen; jak pełne słodyczy i rezygnacji położenie głowy na poduszce i zamknięcie oczu; jak pozwolenie ciemnościom, żeby wpłynęły w ciebie jak deszcz.

I nagle, zupełnie niespodziewanie, przypomniałem sobie, że kiedyś przedtem poszedłem już widmową ulicą.

Byłem wtedy mały i bawiłem się pistoletem na wodę w patio za naszym domkiem. Gdy po raz trzeci poszedłem napełnić pistolet w łazience, babunia Dusty skrzyczała mnie za rozlewanie wody po domu, więc przecisnąłem się przez drapiące gałązki żywopłotu i podreptałem ku basenowi. Było sennie, gorące i ciche popołudnie. Wszyscy dorośli pracowali, a starsze dzieciaki siedziały w szkole. Zostali tylko starzy ludzie i małe dzieci, wszyscy wewnątrz domów, gdzie w klimatyzowanych pokojach oglądali TV. Pamiętam, że blok klimatyzatora przylegał do tylnej ściany naszego domku. Spływająca zeń woda moczyła cegły niczym plama potu. Przykucnąłem na betonie i wyciągnąwszy plastikowy kołeczek z mojego pistoleciku wcisnąłem broń do wody. W powietrzu wisiał zapach chlorku, jakim oczyszczano wodę.

Wokół mnie nagle zamknęła się klatka milczącego słonecznego blasku i z trudem mogłem oddychać. Poczujęm się jak w te popołudnia, kiedy babunia zmuszała mnie do udawania drzemki i ciasno owijałem się prześcieradłem jak mumia, aż stawało się mokre od potu. Czas otwarcia, godziny rozciągały się na całe lata nudy. Czas mierzony wolno spalany przez babunię papierosami.

Obok przebiegła mała Meksykaneczka w jednoczęściowym kostiumie kąpielowym, podskakując na piętach, jakby parzył ją gorący beton. Jej mokre włosy poskręcały się w pasma, a wydęty brzusek lekko podskakiwał. Była czarno-biała, jak ktoś ze starego filmu. Wiedziałem, że to oznacza, iż patrzę na ducha. Jej oczy prześlizgnęły się po mnie niewidzącym spojrzeniem. Patrzyłem jak biegła jednym z chodników i znikła zewnątrz kompleksu zabudowań. Od basenu rozchodziło się osiem betonowych ścieżek, ale ta była czarno-biała, wzdłuż niej ciągnął się szary żywopłot i rósł nad nią sękaty cedr. W miejscu, gdzie dziewczynka otarła się o pień, spadł deszcz szarych igieł.

Poderwałem się na nogi i pobiegłem za nią, choć nie był to w pełni bieg - nie chciałem wylać wody z mojego pistoletu. Wciąż jeszcze mozoliłem się z zatyczką, kiedy wpadłem na widmową ścieżkę. Światło dnia jakby zagięło się tuż przede mną, potem pękło, jakbym wdarł się do ogromnej mydlanej bańki - i nagle cały świat stał się czarno-biały. Biegająca przede mną meksykańska dziewczynka skręciła za róg przy opuszczonym lombardzie Big Wheel i gdzieś przepadła. Bliźniaki wokół mnie były szare i zniszczone. Ale czułem się tu dość przyjemnie, cement nie parzył mnie już w stopy. Coś mi się popieprzyło z oczami. W którąkolwiek stronę spojrzełem, widok jakby się rozmazywał i odzyskiwał ostrość dopiero, gdy zwracałem wzrok gdzie indziej. W domku za mną zaterkotała i ucichła maszyna do szycia. Spojrzałem w jego szklane wychodzące na patio drzwi, ale wewnątrz było ciemno i niczego nie

zobaczyłem. Maszyna znów zaterkotała i ucichła. I jeszcze raz. Wentylatory klimatyzacji pracowały ciężko, jak zmęczone serca.

Dotarłem do rogu, za którym znikła dziewczynka. Tłukła w drzwi mieszkania i wołała coś wysokim głosem po hiszpańsku. Otworzył jej jakiś Meksykanin. Miał tęgie brązowe ramiona, a na głowie czapkę kibola Astros. Był wyraźnie przestraszony. Wyciągnął rękę, macając przed sobą jak ślepiec, ale grubaska obiegła jego nogę i znikła w mroku wewnątrz domku.

Zapadła głęboka cisza.

- Weszła do środka - powiedziałem. Meksykanin w czapce Astro nie mógł mnie zobaczyć ani usłyszeć. - Hej!

Zamknął drzwi.

Nikt nie mógł mnie zobaczyć. Na widmowej drodze byłem niewidzialny. Mógłbym zakradać się do ich domów, a oni niczego by nie zobaczyli. Mógłbym podpatrzeć, jakie programy TV oglądali, gdy wyprawili już dzieciaki do łóżek, mógłbym wyciągnąć co bym zechciał z ich lodówek albo podwędzić ciasteczka z ich talerzyków ze słodyczami. Byłbym superszpiegiem. Zawsze lubiłem się ukrywać, zakopywałem się w koszu na bieliznę, a potem, gdy babcia mnie znajdowała, wyskakiwałem z głośnym: Buuu! Raz wlałem do suszarki i siedziałem tam przez godzinę, podczas gdy ona szukała mnie po całym domu. Ale tu, na tej widmowej drodze, nikt nie byłby mnie znalazł.

- Will!

Babunia. Słyszałem ją słabo i niewyraźnie, jakby wołała z głębi odbiornika TV, ale słyszałem. – Williamie Kennedy! Wrócisz natychmiast w tej sekundzie albo spiorę cię tak, że popamiętasz na całe życie! - Jej gniewny głos był słaby i bezradny.

Przekradłem się z powrotem za róg domu Meksykanina i obejrzałem się na widmową drogę. Cała była szara, z wyjątkiem okolicy basenu, gdzie widziałem zwykłe kolory normalnego życia: cienkie pasmo zamglonego błękitu nieba, błyski światła odbitych od powierzchni basenu i prześwitujące przez igły cedru czerwone szorty babuni.

- W porządku - stwierdziła babunia. - Zaraz zadzwonię do twojej matki.

To mnie zmroziło. Wyobraziłem sobie mamę sięgającą po telefon i odbywającą krótką rozmowę z sympatycznym doktorem Jeffersem, który miał w nosie siwe pokręcone kłaki. Potem musiałyby zadzwonić i przeprosić doktora Bosmanna, młodego, chudego i wrednego.

- Wracam do domu - oznajmiła babunia. Odwróciła się i ciężkim krokiem, trzęsąc udami, ruszyła do naszego domku.

Wrócić widmową ścieżką było o wiele trudniej niż pójść nią w tamtą stronę. Było to męczące, jakby się szło pod górę. Kiedy dotarłem do cedru, powietrze zgęstniało, jakby chciało mnie zatrzymać i przeszkodzić w powrocie. Maszyny do szycia gniewnie terkotały, a urządzenie klimatyzacyjne stękało jak wściekłe, buchając niemal żarem. Ciężko było wracać w tym nieznośnym upale. O wiele łatwiej byłoby tam zostać, w chłodzie, czerni i bieli. Już niemal się poddawałem, kiedy pomyślałem o mamie i tym jak

bardzo się zmartwi - i podjąłem dalszy marsz.

I nagle powietrze pękło i ponownie oblały mnie promienie teksańskiego słońca, a beton sparzył mi stopy. Zmrużyłem oczy, żeby uchronić je od blasku, zaatakował mnie też natychmiast uliczny hałas i zapach chloru.

Otworzyłem ciężkie szklane drzwi patio i wszedłem do pokoju, kiedy babunia właśnie podnosiła słuchawkę telefonu. - Aaaa... jesteś wreszcie, Williamie Kennedy - wysunęła w moją stronę papieros, jakby chciała mnie nim pchnąć niczym sztyletem. - Ile razy mam ci mówić żebyś tak nie znikał na zewnątrz? Ile razy ci mówiłam żebyś przestał się ze mną bawić w chowanego?

- Siedemnaście?

- Nie waż mi się pyskować! Myślisz, że możesz przede mną uciec, Williamie? - Zatrzymała dłoń ze słuchawką w połowie drogi, a potem jakby się rozmyśliła. - Wiesz chyba jednak zadzwonię do twojej mamy. Powiem jej, że się zgubiłeś, a ja nie mogę cię znaleźć. A potem możesz poczekać i zobaczyć, co ona zrobi!

- Hej! - zawołałem przestraszony nie na żarty. - Przecież wróciłem!

Babunia zaciągnęła się papierosem. - Wiesz, co by zrobiła twoja mama, gdybyś naprawdę zaginął? Wiesz czy nie? - wychyliła się zza chmury szarego dymu, aż jej mięsista twarz zawisła tuż nade mną. - Powiem ci, panie Willu, co by zrobiła. Wzięłaby jeden z pistoletów wuja Walta - oto, co by zrobiła! - Nie mogłem oderwać wzroku od jej twarzy, otyłej i porytej głębokimi cieniami. - Gdybyś zaginął, Willu, jej jedyna słodziutka dziecino, wzięłaby ten pistolet i wsadziłaby go sobie do ust, ot tak. - Ułożyła palce w kształt pistoletu. - A potem by strzeliła, rozwalając sobie głowę.

- Wcale nie!

- Mogę sobie wyobrazić, że po czymś takim twój tatko przyjdzie do domu i jak ją znajdzie, robi to samo. - Babunia kiwnęła głową, gdy puściły mi nerwy i zacząłem płakać. - A jak myślisz, dla kogo oni żyli, smarkaczu.

Znam twoją mamę od urodzenia i mogę cię zapewnić, że tak właśnie by postąpiła. Ona jest bardzo wrażliwa.

Zobaczyłem moją mamę, jak chodzi tam i z powrotem, cała w czerni i bieli, jak ta kobieta w jednym z epizodów serialu o Ellery Quinnie.

- A płacz sobie, płacz - dobiła mnie babunia z satysfakcją w głosie. - Najwyższy już czas, żebyś nauczył się myśleć o innych, a nie tylko bez przerwy: ja, ja i ja! Bez przerwy się ukrywasz. Myślisz, że takie krycie się przed nami, to dobry żart, co? - Cofnęła się i zaciągnęła dymem z papierosa.

- Nienawidzę cię! Nienawidzę! - krzyknąłem, tracąc panowanie nad swoimi emocjami. Podniosłem mój pistolet, opryskałem ją wodą i pochyliłem głowę, czekając, aż przełoży mnie przez kolano i wrzepi mi kilka soczystych klapsów.

Nie zrobiła nic, tylko nadal patrzyła na mnie, paląc tego swojego papierosa.

- Cóż, mały - odezwała się wreszcie. - A ja cię kocham. Wszyscy cię kochamy i w tym sęk. -

Umilkła na chwilę i odkaszlnęła. - Lepiej, żebyś o tym pamiętał.

- Nienawidzę cię! Nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę...

Babunia znów zrobiła z palców niewielki pistolet, wetknęła palce w usta i wrzasnęła: BUM!!!

Pobiegłem do pokoju, wskoczyłem pod koce i owinąłem się nimi tak ciasno, jak tylko mogłem. Gdy mama wróciła do domu, wciąż jeszcze zachłystywałem się płaczem. Okropnie się na mnie rozgniewała, bo nie zastosowałem się do zasad i zmusiłem ją do przyjścia z pracy do domu. Nigdy jej nie opowiedziałem o babuni i jej pistolecie.

A potem zapomniałem o całej sprawie na blisko trzydzieści lat. Zapomniałem o szarym drzewie cedrowym o terkocie maszyn do szycia i małej dziewczynce znikającej za nogą jej ojca. I o zapachu chloru.

Być może od tamtego dnia jakaś część mnie samego została na tamtej widmowej drodze. Może to właśnie był powód, dla którego babunia bardziej wołała Fonteyne i Paris, niż mnie; może dlatego tatko nigdy się nie przestał niepokoić, a mama cały czas się o mnie martwiła. Bo pewnie się domyślali - o to gotów jestem się założyć - że po części już mnie stracili. I zawsze podświadomie czekali na moment, w którym opuszczę ich na dobre.

ROZDZIAŁ VIII

Następnego dnia zobaczyłem AJ w moim miejscowym supersamie sieci Krogera. Była czwarta po południu kolejnego morderczo upalnego sierpniowego dnia, a przespanie kilku zaledwie godzin sprawiło, iż miękka łapa żaru jeszcze bardziej niż zwykle dawała mi się we znaki. Polazłem do „samca”, żeby kupić puszkę kawy. Potrzebowałem czegoś, żeby się rozruszać, za mniej niż dwie godziny miałem pojechać do domu Normy Ferris na pierwszy bojowy występ Zamaskowanego Krzyżowca i nie chciałem ziewać przez całą drogę.

Zobaczyłem AJ na parkingu; przemykała przez szyby stojących tam wozów. Serce wywinęło mi kozła w obolałej piersi. Spojrzałem na nią, a ona mrugnęła znacząco. Podbiegłem do drzwi wejściowych i zobaczyłem, że już tam na mnie czeka. Stałem na macie z czujnikiem nacisku - drzwi się rozsunęły i AJ znikła wewnątrz.

W ciągu następnych dziesięciu minut nie mogłem jej znaleźć. Szukałem jej wzrokiem w wielkich szklanych płytach pojemników z mrożonym żarłem, spodziewając się, że lada moment przepłynie nad mrożonymi pizzami lub mieszankami jarzyn po meksykańsku. Nie było jej tam, daremnie też gapiłem się na lodówki z mrożonymi kurczakami w dziale drobiowym czy szyby, za którymi stały sześciopaki chłodnych napojów.

Zatrzymałem się, przestając biegać na chybił trafił i już zamierzałem zabrać się do systematycznych poszukiwań, kiedy zobaczyłem w dziale naczyń kuchennych błysk niebieskich dzinsów AJ odbitych w szafce z nierdzewnymi sztucami. Myszkując po tej sekcji, złapałem mignięcie zakrwawionej koszulki w krzywiźnie żaroodpornego pojemnika Pyreksu do mierzenia objętości płynów czy towarów sypkich, a odbicie części jej karku ujrzałem w dnie lśniącej aluminiowej patelni do smażenia naleśników.

Na wysokości dziur po kulach w koszulce AJ wisiał zestaw rozmaitych gumowych rękawic do mycia naczyń.

Wschodni Teksas ma cztery wielkie naturalne bogactwa: upał, naftę, moskity oraz rozmaitych bliższych i dalszych krewnych określanych ogólnie mianem kuzynostwa. Każde z nich ma swoje złe strony, ale można je też odpowiednio wykorzystywać. Gdy tylko wróciłem do mieszkania, zadzwoniłem do kuzyna Andy'ego. Kiedy byliśmy dziećmi, Andy był chudym jak patyk i żyłastym berbeciem, młodszym ode mnie o kilka lat, a jego przeznaczeniem miała być praca w jednej z rafinerii Refinery Row. A potem matka wysłała go na obóz skautów, gdzie miłosierny Bóg objawił mu komputer Tandy 2000. Jego Sprawność Programisty przekształciła się w obsesję, obsesja dała mu chałturę w miejscowej firmie zajmującej się programowaniem, potem załapał się na awans i przeniósł do Austin, gdzie został czymś w rodzaju wicepapieża dostępu do lokalnych serwerów i ożenił się z jakąś jankeską dziewczyną, która nie za bardzo ceniła sobie jego buraczanych krewniaków. Jak to stwierdził raz dość kąśliwie wujo Walt:

„Sonia założyła mu ciasny kaganiec i wzięła na krótką smycz”.

- Cześć, Andy! Jak leci? Dawnośmy ze sobą nie gadali! - powiedziałem radosnym tonem, łykając jednocześnie solidny haust Golden Key. - Posłuchaj, tu twój kuzyn Will. Tak, właśnie ten. Posłuchaj, chciałbym, żebyś pogrzebał w sieci i znalazł jakiegokolwiek powiązania pomiędzy wypadkami spowodowanymi przez siarkowodór i gumowymi rękawicami. Albo lateksowymi rękawicami. Nie mam pojęcia, czy to może być ważne, ale sprawdź.

- Kurczę, naprawdę chciałbym ci pomóc - odpowiedział głosem tak pełnym entuzjazmu, jakby mu właśnie przejechano po jajach kosiarką do trawy. - Ale akurat teraz mamy tu urwanie głowy.

- No problemo. Posłuchaj, wiesz, że w tym roku organizacją rodzinnego zjazdu zajmuje się moja mama?

- Wiesz, nam tu w pracy naprawdę nie wolno się zajmować problemami osobistymi. O, idzie mój szef...

- Więc postanowiliśmy, że w tym roku ty i Sonia staniecie na czele Komitetu do spraw Rozrywki.

Nagle milczenie, które zapadło po drugiej stronie słuchawki, było miodem na moją duszę. Komitet do spraw Rozrywki oznaczał zorganizowanie turnieju gry w domino. Podczas ubiegłorocznego zjazdu wuj Chase i ciocia Betty zostali przyłapani na dawaniu sobie sygnałów pod stołem, co zaowocowało skandalem i wszczęciem kolejnej rodzinnej krwawej wojny podjazdowej.

- Nie zrobicie mi tego! - syknął Andy.

- To się jeszcze zobaczy!

- Will!!!

- No dobra, masz przecież kupę zajęć. Przecież nie chciałbyś podpaść szefowi, prawda? No, to na razie!

- WILL!!! - kwiknął Andy.

- Taaa?

- Powiedz mi, o co ci, kurrrrwa, chodzi, a ja zobaczę co mógłbym znaleźć.

- No, to już brzmi znacznie lepiej.

- Tere-ferre! - warknął z goryczą w głosie. - Jak to zrobię, wycofasz mnie z listy organizatorów?

- Masz to jak w banku!

- A jak coś znajdę, zawieruszysz gdzieś moje zaproszenie?

- Chłopie, tego zrobić nie mogę. Nie mogę okłamywać mojej rodzonej mateńki.

- Ostatniego roku Sonia postanowiła, że wykaże pionierskiego ducha - stęknął Andy przez zęby. -

Połknęła kubek Marchewkowego Musu Cioci Mabel.

- Tego na rozgotowanym prawoślazie, tak?

- Pomyślała, że to jogurt.

- O kurwa!

- A potem odważyła się usiąść przy innym stole niż ja. Obok Jerome'a.

- Joj!

Jerome jest młodszym bratem wuja Billyego. Do zachodu słońca nie pije nic oprócz piętnastu porcji kawy z pięcioma torebkami cukru w każdej, co sprawia, że staje się nieco... podminowany. Jest szczerze i głęboko pobożny i większość przepustek z więzienia poświęca na głoszenie Słowa Bożego. - Jerome i Tommy Rae zaczęli omawiać zalety posługiwania się starą bronią nabijaną przez lufę - ciągnął Andy ponurym głosem. - Skończyli na wymienianiu największych zwierząt, jakie zabili bez użycia broni.

- I kto wygrał?

- Tommy Rae powiedział, że kiedyś zeskoczył z drzewa i poderżnął gardło wielkiemu jak mały Cygan dzikiemu odyńcowi swoim scyzorykiem Bucka - stwierdził Andy. - Sęk w tym, że Sonia jest z Connecticut.

- Rozumiem.

- W Connecticut nie ma dzikich odyńców.

- Chyba nie.

- I nie dodają do wszystkiego żelatyny. Więc żadnych zaproszeń, dobra? Chcę z tego wyjść z honorem, bez żadnych wymówek od mamy. - Ciozia Naylene gdzie tylko może skarży się na brak serdeczności ze strony synowej i demonstruje wobec niej podszytą niewiarygodnym fałszem życzliwość, a podczas spotkań z psiapsiółeczkami nie zostawia na niej suchej nitki.

Naprawdę nie miałem zamiaru tłumaczyć się mamie, dlaczego Andy i Sonia „przypadkowo” spadli z listy zaproszonych, ale... z drugiej strony, nie mogłem się obejść bez pomocy Andy’ego. - Umowa stoi - westchnąłem. A potem wyjaśniłem kuzynowi okoliczności wypadku wuja Walta.

- Siarkowódór i gumowe rękawice. Will, czy to jakaś kolejna afera z umarlakiem?

- Coś jakby.

- Moja mama przysłała mi link do artykułu w „Chronicie” o tym facecie, którego podpaliłeś.

- Nie mów mi, że w Connecticut nie mają umarlaków.

- Nic nie szkodzi. Sonia powiedziała, że to nawet jest cool. Jak w Objazdowym Salonie Grozy.

- Sonia może mnie pocałować w moją buntowniczą dupę.

Andy zachichotał. - Przy okazji, googluję te gumowe rękawice.

- Myślałem, że musisz ciężko tyrać.

- Nie aż tak bardzo, żeby nie mógł się wykręcić od rodzinnego zjazdu. Hej... poczekaj.

W słuchawce usłyszałem jakąś muzyczkę. Ze zdumieniem skojarzyłem, że byli to Velvet Underground i „Waiting for the Man”. Nadciąga apokalipsa, ja wam to mówię. Potem usłyszałem kliknięcie i na linię wrócił Andy.

- Szukaj się do zagubienia tych zaproszeń - odezwał się głosem pełnym radosnej satysfakcji. - Przejrzałem kilka relacji z wybuchów gazu. Posłuchaj tego: „Oskarża się firmę McCoys o odłączanie czujników siarkowodoru - w niektórych przypadkach mówi się wręcz o zamykaniu ich w gumowych rękawicach - żeby nie uruchamiały alarmu i nie powodowały wstrzymania robót”.

- Jasny gwint!

- Jest tego więcej - stwierdził chełpliwie Andy. - Mówi się, że na dzień przed wypadkiem wskazówka poziomu siarkowodoru w pobliżu wadliwie działającego kompresora zablokowała wskaźnik obliczony na 1600 ppm²⁹ - co trzykrotnie przekracza śmiertelną dawkę.

- Mój Boże!

- Wynika z tego, że oni wiedzieli, ktoś od Crowna musiał wiedzieć, że w linii jest siarkowodor. Ale nie chcieli zamykać zakładów, więc zamiast tego powyłączali czujniki, owijając je gumowymi rękawicami.

- Jasna cholera - mruknąłem. - Wolałbym, żeby postarali się nieco lepiej.

- Co takiego?

- Gdyby byli większymi cwaniakami, nie odezwałby się żaden alarm. Wuj Walt i jego pomocnik nie próbowaliby zejść na dół, nie zdjęliby masek i nikt nie byłby zginął.

Andy świsnął. - Ale tak czy inaczej, to karygodne niedbalstwo, prawda?

- Jasne, że tak. Mama powiada, że Patty i Walt są krewni szpitalowi ponad czterdzieści tysięcy za leczenie. Teraz będzie musiała to pokryć kompania.

- Crown? Brown & Root? Ani jedni, ani drudzy do niczego się nie przyznają.

Prawda jak cholera. - A możesz poszukać nazwisk jakichś prawników specjalizujących się w odszkodowaniach za poważne wypadki przy pracy? Wątpię, czy Crown zechce porozmawiać z cicią Patty, ale z pewnością ich prawnicy przyjdą na spotkanie z Johnnym Cochranem³⁰, sam wiesz, jak to jest. - Tu, na południu, adwokaci zajmujący się prawem pracy są tym, co zastępuje nam związki zawodowe. Mówiąc językiem prawniczym, wolimy krótkotrwałe strzelaniny niż długie niasiadowy.

- Taaaest, sir! Natychmiast zaczynam poszukiwania Kapitanie Podziemniak!

- Pierdol się - mruknąłem. - I dziękuję.

- Hej! - powiedział Andy. - Rodzina to rodzina prawda?

Była piąta po południu i do wyznaczonego mi przez panią Ferris spotkania została mi jeszcze godzina. Miałem nadzieję, że moja przyszła klientka nie jest wariatką, nie przejawia skłonności samobójczych, nie ma broni ani nie jest stuknięta na jakikolwiek inny sposób. Zapukałem do drzwi Lee, po prostu z nudów, ale on już wyszedł. W tej chwili był pewnie w restauracyjce, gdzie Vicky pracowała jako kelnerka, on zaś zajmował się barem.

Zadzwoił mój telefon, podniosłem więc słuchawkę. - Andy?

- To ty, Will? Mówi Josie.

Szlag by to trafił. Powinienem był sprawdzić na wyświetlaczu połączeń, kto dzwoni.

Właśnie chyba wróciła z pracy; Megan rozsiadła się pewnie w salonie i gapiła w ekran TV. - Hej,

²⁹ Ppm - parts per milion, ilość cząsteczek związku chemicznego na milion cząsteczek roztworu czy powietrza. Przyjęty na świecie sposób oznaczania stężenia rzadkich substancji (przyp. tłum.).

³⁰ J. Cochrane - adwokat, który w głośnej sprawie o zabójstwo bronił O. J. Simpсона (przyp. tłum.).

Jo - powiedziałem. Pomyślałem, że za dwadzieścia lub trzydzieści minut - w zależności od gęstości ulicznych korków - powinien wrócić Don ze swej urzędniczej chałturki.

- Martwiłam się o ciebie - powiedziała Josie. - Nie odebrałeś wiadomości ode mnie?

- Po kłapie tego pomysłu ze strzelnicą, pomyślałem sobie...

- Jasne. Ty nigdy nie lubisz słuchać, jak ktoś usiłuje ci coś wyjaśnić. - Chwila milczenia. - Pamiętasz, jak wyszliśmy razem na lunch? - zapytała Josie. - Ty, ja i Megan do tej restauracyjki z pokoikiem dla maluchów?

- Taaa... - Megan miała wtedy czternaście miesięcy. Poszliśmy do taniej chińskiej restauracyjki na Alabama Street i popijaliśmy piwo imbirowe. Usiłowałem ukryć fakt, że mam złamane żebro, co było skutkiem wcześniejszej o tydzień bójkę w barze. Często się śmiałem, ale to cholernie bolało.

- Tamtego dnia zrozumiałam, że nie powinniśmy się byli rozchodzić. - powiedziała Josie.

Czas mijał powolnymi uderzeniami serca.

- Ale byłam już z Donem i pojawiła się Megan... i było już za późno - stwierdziła Josie smutnym głosem. - Wiesz? Wciąż popełniam te same błędy.

- Josie! Na Jezusa! Megan jest w domu! Nie powinnaś...

- Dlaczego to zawsze mnie przypadają te trudne rzeczy? - zapytała Josie. - Chwyciłeś mnie za rękę i to ja musiałam cofnąć swoją dłoń. I Bóg mi świadkiem, że to zrobiłam. Jak dobra żona - powiedziała z goryczą w głosie.

- Wiem.

- Don wylatuje z pracy.

- Co takiego? Wydawało mi się, że mówiono o jego awansie.

- Bo mówiono. Ale w końcu kierownictwo podjęło decyzję o awansowaniu innego faceta i zlikwidowaniu stanowiska Dona. 31 sierpnia będzie jego ostatnim dniem w pracy.

Usiłowałem sobie wyobrazić, jak Dona wzywa do siebie jakiś tłustawy i łysiejący szef, który zamierza go wylać. I jak Don musi wysłuchać pierdoł w stylu: „Nasza firma musi się zrestrukturyzować...”, albo „Szczerze mówiąc martwiły mnie twoje ostatnie wyniki w pracy...”. Albo tej gadki, którą lubiłem najbardziej: „Wiesz, stary, stoję przed jedną z najbardziej niemiłych decyzji, jaką muszę kiedykolwiek podjąć...”, a ty słuchając tego pieprzenia myślisz sobie: „Skoro jest to dla ciebie takie trudne i nieprzyjemne, zamieńmy się miejscami, a ja cię wypieprze z największą przyjemnością, ty skurwysynu...”.

- Niech to szlag, Josie... - Nie wiedziałem, co powiedzieć. Najchętniej byłbym jeszcze pospał. - A co w waszym hipotecznym długiem?

- Nie wiem. Chyba sobie jakoś poradzimy. Mam nadzieję, że Don znajdzie jakąś pracę. Musi znaleźć. Sama tego nie spłacę.

- Posłuchaj, gdybyście potrzebowali kilku chwil dla siebie, żeby się naradzić, Megan mogłaby spędzić parę dni u mnie. - Rozejrzałem się patrząc na moje brudne ściany i stojące na środku pokoju

niepościelone łóżko. Od razu zacząłem kombinować, co trzeba by wyrzucić, a co spalić.

- Don sobie nie życzy, żebyś się z nią widywał. Chciał nawet, żebym zdobyła sądowy zakaz odwiedzin dla ciebie. I naprawdę... stracił głowę, kiedy mu powiedziałam, że tego nie zrobię.

- Co to znaczy, że stracił głowę? - Kilka kolejnych uderzeń serca. - Wydarł się na ciebie przy Megan? - Milczenie. - Uderzył cię? - tak właśnie zginęła AJ. Nadmiernie agresywny kochanek. Pomyślałem o tym bojowym nożu, który Don trzyma w swoim nocnym stoliku. *Jak zaczniesz od rodziny, to gdzie się zatrzymasz?*

- Dzwoniłam do ciebie, TK, ale się nie odzywałeś.

- Przykro mi, Jo. Powinienem być zadzwonić.

- To nie jest tak, że straciliśmy już dom - powiedziała Josie. A potem dodała: - Will, mamy wspólną przeszłość. Ty zawsze myślałeś o przyszłości, o tym, że nic nie jest trwałe. Ale przeszłość została już zapisana. Na zawsze. Nie możesz zmienić tego, że byłeś częścią mojego życia.

- Hej, to ty mnie porzuciłaś, pamiętasz?

- Mogłeś z tym walczyć, Will! Jak chciałeś wsadzić w Dona kilka kul, trzeba to było zrobić dziesięć lat temu! Na co aż tak długo czekałeś? - zapytała śmiertelnie poważnie. - Co ma sobie dziewczyna pomyśleć, jak się o czymś takim dowie?

- Nie strzelałem do...

- Will, czekałam, aż mi powiesz, że nasze małżeństwo jest czymś, o co warto powalczyć. Ale ty niczego takiego nie powiedziałeś - stwierdziła Josie z goryczą w głosie. - Miałeś taką minę, jakbyś nareszcie poczuł ulgę. Zawsze masz taką minę, kiedy topór opada ci na łeb. Boże, gdybyś w ostatnim tygodniu był w moim domu, czułbyś się jak świnia w błocie!

- Jeżeli mogę coś...

- Powinnam kończyć - powiedziała Josie. - Don zaraz wraca. - Głos jej się załamał. Płakała.

- Jo...

Przerwała połączenie.

Lecz mam ci za złe, że porzuciłaś pierwszą twoją miłość.

Mam dwadzieścia jeden lat i dręczy mnie duch Josie. Wszędzie ją widzę. Wygięte biodro w kolejce do kasy w banku, widziane z tyłu pasmo ciemnoblonde włosów i to chyba ona wysiada z wozu albo wybiera pomidory na targu w Shepherd, albo wychodzi z kina wieczorem. Kiedy jest gorąco, przypominam sobie plamy potu na jej koszulce. Kiedy pada - a często pada - szmer kropel wody przypomina mi tylne siedzenie skylarka jej mamy zaparkowanego przy kinie „Cactus” na Alabama Street, gdzie się pieprzyliśmy, korzystając z osłony deszczu. Josie dosiadała mnie okrakiem, zagryzając wargi, żeby nie krzyknąć; wspólnemu orgazmowi towarzyszyły nagły błysk i uderzenie gromu tak głośne, że wszędzie wokół nas rozległo się wycie samochodowych alarmów. Parsknęliśmy oboje śmiechem i nie mogliśmy przestać.

Jak kogoś pokochasz, to siedzi w tobie niczym haczyk na ryby. Nie da się go wyjąć.

Długie bezsenne noce, które spędzałem, łażąc po ulicach. Shepherd, Greenbriar, Alabama, Holcombe. Było tak późno, że odgłos moich kroków zagłuszał inne uliczne hałasy. Blask księżycy przesączaający się przez liście hiszpańskich dębów, ciemne wody bulgoczące coś po swojemu w bayou. I być może był już tam bosonogi i stojący w mętnej wodzie wuj Billy, ale przechodziłem tamtędy o niewłaściwej porze.

Josie była moim życiem. W rok po tym, jak mnie porzuciła, miejskie okna były jej oczami, a

rynnami spływały jej łzy, kiedy płakała, myśląc, że ja śpię. Myślała, że śpię, ale ja słyszałem, jak cichutko chlipie. Leciutkie drżenia materaca.

Przez kilka miesięcy byłem kompletnie rozbity. Nie mogłem znaleźć drogi powrotnej z dnia wczorajszego, od nocy, podczas których słuchałem najrozmaitszych zespołów, kiedy powinienem był siedzieć w domu, od dzikiej sprzeczki o koszt lampy w sypialni. Dopuszczałem do tego, że wkurwiła mnie tak, iż chwyciłem ją za ramiona i potrząsałem nią mocno - i wtedy w głębi jej oczu coś się zatrzasnęło jak stalowe klapy. Usiłowałem się pozbierać do kupy, ale każda droga stawała się widmową, jeden niewłaściwy zakręt i wracałem do chwil, w których się kochaliśmy tak, że płakała w moich ramionach. Trudno o gorsze wspomnienia, chyba że: *Will, chcę się rozwieść...*

Czas jest mrokiem, przez który możesz przelecieć. To właśnie są prawdziwe udręki nawiedzenia. Upadek. Więc nie strasz mnie, do kurwy nędzy, Tom. Bywałem już straszony.

Norma Ferris wynajmowała domek w miłej willowej dzielnicy Shephard. Przywitała mnie w drzwiach, mając na sobie zakieciak i klapki. Niedawno chyba przekroczyła czterdziestkę, miała dość pełne, choć nie tłuste biodra i ładne jasne włosy - prawdopodobnie nie była to ich naturalna barwa. Zachowywała się dość powściągliwie w sposób charakterystyczny dla kobiet, które od dawna muszą radzić sobie same. - Dom nie jest jeszcze urządzony do końca - stwierdziła, otwierając rozsuwane drzwi, żeby mnie wpuścić. - Molly i ja wprowadziłyśmy się w zeszłym miesiącu. - Salon miał drewniany parkiet, był ładnie umeblowany i stało w nim wielkie akwarium pełne ponuro wyglądających skalarów. - Kawa czy herbata?

- Nie, dziękuję. - W moim ciele wciąż buzowały wypite wcześniej kawy Golden Key i dźwięk głosu Josie, która mówiła, że nie powinniśmy byli się rozwodzić. Poszedłem za Normą do kuchni. - Kim pani chciała zostać, gdy była pani dzieckiem?

- Nie chciałam być sama. - Norma sięgnęła do szafki i wyjęła puszkę herbaty Rumianek przed Snem. Gdy mówiła, jej głos brzmiał równo i spokojnie, ale stała do mnie tyłem, więc nie widziałem jej twarzy. - W dzieciństwie miałam starszą siostrę, Caroline. Jej włosy były kędzierzawe, podczas gdy moje były proste. Jeździłyśmy razem na kucykach i zaplatała mi włosy w warkocz. Uwielbiałam ją. - Sięgnęła po puszkę z niskokalorycznym słodzikiem i sypnęła do kubka łyżeczkę białego proszku. - Umarła w dzień po Bożym Narodzeniu 1968 roku. Miała wtedy osiem lat, a ja pięć.

Na razie nie zobaczyłem żadnego ducha: nie poczułem powiewu zimna ani powietrze nie zadrzało, jakbym patrzył przez źle odlaną szybę. Żadnych jęków ani szeptów. Nic w czerni i bieli.

Podobnie jak salon, mała kuchnia była dość pusta i niezbyt przytulna. Norma wyjęła z chłodziarki karton mleka. Wewnątrz chłodziarki też nie było niczego poza jajami, margaryną i kilkoma łydkami więdnących selerów w pojemniku na warzywa. Widok tej pustki w lodówce, bez pojemników z sosami do potraw z grilla, dżemem albo marynowanymi ogórkami podkreślał jeszcze panującą w małym domku atmosferę samotności i tymczasowości, czyniąc ją niemal przygniatającą.

Zabawne, że czasami czujesz, iż ból innych ludzi jest większy niż twój. Nawet w rok po tym, jak Josie mnie porzuciła, nie było mi żal samego siebie tak bardzo, jak teraz Normy Ferris, którą okoliczności zmusiły do otworzenia nowej, zimnej karty w jej życiu. Podejrzewam, że mamy jakiś wewnętrzny pancerz chroniący nas przed uzalaniem się nad sobą. Ten pancerz nie pozwala nam się poddawać rozpacz. A potem widzisz, jak ktoś inny idzie na dno i to ci łamie twoje pieprzone serce.

- Wprowadziłyśmy się tu przed dwoma tygodniami - stwierdziła Norma. - Mój mąż nie... ale to nie ma znaczenia. Molly - to moja córka - bardzo źle spała podczas pierwszej nocy. Rodzinny lekarz powiedział nam, że to się czasami zdarza. Następnego dnia jak zwykle przeszłam do leżącego naprzeciwko mojego biura centrum handlowego, żeby coś przekąsić, a po drugiej stronie restauracyjki był ten sklep z zabawkami... To brzmi idiotycznie. W ogóle muszę chyba wydawać się panu idiotką.

- Uważam, że jest pani bardzo dzielna - powiedziałem. Jednocześnie myślałem, jak musiała się czuć Josie po tym, jak mnie porzuciła, sama w nowym mieszkaniu, świadoma tego, że jest w ciąży. I wiedząca o tym, że bycie samotną jest lepsze od bycia ze mną.

Rozległ się syk czajniczka. Norma naląła wrzątku do swojej filiżanki. - Kupiłam Molly lalkę. Przypomniała mi moją siostrę - miała takie same kędzierzawe włosy. I niebieskie oczy, jak Caroline. Molly nawet się spodobała, choć nie za bardzo - uważa, że jest już za duża na zabawy z lalkami.

Dmuchnęła na herbatę i upiła łyk. - Niech pan pójdzie za mną. - Przeszliśmy korytarzem, a potem gospodyni otworzyła drzwi do jedyne go pokoju w domu, który naprawdę wyglądał przytulnie. Był to pokój dziewczęcy: dwie szafki z książkami z całą stajnią zabawkowych koników na wierzchu i małym akwariem z parą ruchliwych złotych rybek. Z szafki Molly wypadło kilka rakiet do badmintona i para butów z rolkami. Na stoliku obok łóżka stał tani srebrzysty odtwarzacz taśm.

- Tej nocy obudziło mnie dziwne uczucie w piersi jakby Molly miało się przydarzyć coś strasznego. Coś niewypowiedziane złego. Wstałam i przeszłam do jej pokoju. - Norma otworzyła drzwi szafki i drżącymi dłońmi wyjęła pudełko na buty z półki nad ubraniami. - Lalka leżała w łóżku obok Molly. Ale jej oczy otwierały się i zamykały tak energicznie, że słyszałam, jak grzechocą powieki. To była Caroline. Wyczułam, że mnie nienawidzi. - Twarz Normy była blada jak kreda. Podała mi pudełko po butach. - Nie wiem, czemu ona mnie tak bardzo nienawidzi. Jaja kochałam.

Podniosłem pokrywę pudełka. Lalka leżała wewnątrz. Mała dziewczynka długości mojego przedramienia, o kędzierzawych włosach i niebieskich otwieranych oczkach. Dotknąłem jej gumowego policzka. Poruszyłem rączkami, nóżkami, a potem odsunąłem kędzierzawy loczek z jej twarzy. Lalka odpowiedziała mi pustym spojrzeniem

- Nic? - zapytała wreszcie Norma.

- Przykro mi - odpowiedziałem.

- A czy jest możliwe, że teraz jej tu nie ma?

- Podejrzewam, że tak, to jest możliwe.

- Ale pan tak nie myśli - Norma kiwnęła głową, jakby rozmawiała sama ze sobą. - Więc nie ma

Caroline. To może tylko moje pragnienie? Boję się, ale chcę, żeby wróciła, bo jestem samotna. Ale nie rozumiem, czemu ona mnie tak bardzo nienawidzi. Dlaczego czuję, że ona darzy mnie nienawiścią.

- Martwi zawsze nienawidzą żywych – powiedziałem - Nie wiem nawet, co chciałem przez to powiedzieć, ale Norma Ferris kiwnęła głową, jakbym wygłosił jakąś głęboką prawdę życiową.

Usiadła ciężko na krawędzi łóżka córki. - Więc to oznacza terapię. Wie pan, podczas minionego roku byłam u psychiatry. Powiedział mi, że całkiem dobrze sobie radzę. To wszystko, co mi powiedział. Wiem, że dałby mi receptę, gdybym go poprosiła ze łzami w oczach, ale nie mogłam się zmusić do takiego poniżenia. - Spojrzała na mnie. - Nigdy nie chciałam stać się jedną z tych dziewcząt, które z byle powodu wybuchają płaczem.

Podniosłem pokrywkę pudełka na buty i przykryłem lalkę. - Taniej będzie pozbyć się tej zabawki.

Norma potrząsnęła głową. - Molly chce, żebym ją zatrzymała. Jeżeli to oznacza psychiatrę, to nic na to nie poradzę. Nie mogę sobie pozwolić na dumę.

- Myślę, że jest pani bardzo dzielna - powtórzyłem.

Norma odetchnęła głęboko i przez chwilę przyglądała się złotym rybkom w akwarium córki. - Powinam prawdopodobnie poczekać do następnej oceny mojej pracy. W tej chwili nie radzę sobie najlepiej, a rynek jest niepewny. Jeżeli odstawią mnie na boczny tor i będę musiała zmienić zajęcie, nie chcę, żeby w mojej opinii zawodowej jako powód wpisano depresję. Więc będę musiała to załatwić po najbliższym przeglądzie kadrowym. We wrześniu. - Zerknęła na zegarek. - Zaraz wypiszę panu czek.

- Pieprzyć to. Niech pani zatrzyma pieniądze.

Wyciągnęła z torebki książeczkę czekową i przez chwilę szukała w niej czegoś do pisania. - Jak do pana dzwoniłam, wiedziałam, na co się decyduję.

Przed dziesięcioma laty, żeby zagadać niezręczna chwilę milczenia, gdy wypisywała czek, powiedziałbym pewnie coś miłego o jej domku lub ubraniu, które miała na sobie. Teraz jednak przynajmniej wiedziałem, co byłoby najlepsze. - Molly ma dobrą matkę.

Gdy odprowadzała mnie do drzwi, oboje udawaliśmy że nie widzimy, iż ona płacze. Zapomniałem dać jej pokwitowanie.

Na autobus musiałem czekać dość długo. Kiedy się wreszcie pojawił, był zatłoczony, ale przynajmniej bardzo wyraźnie oświetlony absolutnie realnym i pozbawionym wszelkiej niesamowitości światłem. Obok mnie na siedzenie opadła jakaś tęga baba pachnąca talkiem i medycyną; przygniotła mnie do ściany wozu. Jechałem spokojnie, usiłując popaść w ten stan oziępszej obojętności, jaki cechuje większość ludzi jadących autobusami, ale zamiast tego stwierdziłem po pewnym czasie, że próbuję sobie przypomnieć wszystkie songi albumu „Marmur” i się zaciąłem, ponieważ zwykle odtwarzałem sobie tylko dwie lub trzy te same ścieżki. Potem pomyślałem o AJ, która była pierwszą osobą, jaka odkryła mi REM-ów. Nie żyła dostatecznie długo, żeby usłyszeć „Monster”. Pewnie byłby jej się ten album spodobał.

Autobus powoli wypełniał się coraz bardziej. Na zewnątrz, w zanikającym świetle dnia, młode łobuziaki zaczynały już buszować po ulicach w swoich podrasowanych firebirdach i camaro. Pomyślałem o tym, jak zwalniają przy Megan wracającej z treningu piłkarskiego. - *Hej, mała, podzucić cię gdzieś?*

Podzucić?!

W autobusie robiło się coraz bardziej tłoczno i gorąco. Kiedy podjechaliśmy do przystanku, spróbowałem otworzyć moje okno, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Były na nim jakieś instrukcje po angielsku, hiszpańsku i wietnamsku, ale zasuwą miała urwany uchwyt i nie dało się jej ruszyć. Siedząca obok mnie kobieta wstała i zaczęła się przepychać ku wyjściu. Ktoś usiadł na jej miejscu. Ogarnęła mnie nagła fala gorąca buchająca spod fałd przeciwdeszczowego płaszcza jak z piekarnika.

- Cześć, stary - odezwał się Hanlon. - Dawno się nie widzieliśmy.

Kiedy zmarli cię raz odnajdą, trudno się ich pozbyć. Twój strach ciągnie się za tobą jak smuga dymu. Oni potrafią ją zwęszyć.

- Ona miała na imię Julie - stwierdził akwizytor. Wokół jego bladych oczu widać było czarne kręgi. - Poznałem ją w pewnym barze w Dusseldorfie. Zbierali się tam Amerykanie, żeby popatrzeć na Super Bowl. - Mój kuzyn się uśmiechnął. - Hej, Will, jak ci leci? Co u twojej byłej, Josie? - Wyszczrzył zęby. - Dziwi cię, że pamiętam jej imię? Zawodowa sztuczka, stary, nic więcej. Jak się zajmujesz handlem, musisz zapamiętywać imiona klientów. Szczególnie dzieci - ludziom się to podoba. Chcesz sobie zjednać klienta, powiedz coś miłego o jego berbeciu. A ta twoja kuzyneczka, Violetta? Ładne imię. Chyba włoskie, co?

Stawiany upirowi opór wyczerpywał mnie jak powolny nieubłagany upływ krwi.

- Sęk w tym, że musisz się przypodobać, musisz sprawić, żeby ludziska cię lubili. Jak przestaną, jesteś skończony. - Przyjazny uśmiech znikł nagle z jego twarzy. - Jesteś skończony.

Oczywiście cały był czarno-biały. Na jego czole pojawiło się pasmo czarnej oparzeliny, jakbym oglądał film wyświetlany z płonącej taśmy. Autobus ruszył, wtapiając się w ruch uliczny.

- O czym to ja mówiłem?

- O Dusseldorfie - podsunąłem mu.

- O właśnie! Julie. Poznałem ją w tamtym barze. Zaczęliśmy rozmowę. Opowiedziałem jej o tym, co robię. Zapytała, czy mam gdzieś na mieście mieszkanie. Powiedziałem, że w zasadzie operuję z Brukseli. Na to ona, że akurat tam się wybiera następnego dnia. Miała zamiar skorzystać z autostopu. Autostop! Wyobrażasz sobie? Powiedziałem jej, że musi być chyba stuknięta! Te Szwaby, znaczy, są bardzo uprzejme, bo skopaliśmy im dupską w 45., nie będę się spierał, ale nie dajmy się oszukać. Oni są niesamowici. Żadnego rozróżnienia pomiędzy dobrem a złem. Ja nie jestem zagorzałym chrześcijaninem, ale w tej Europie... - Hanlon podrapał się po szyi; musiała mu dokuczać oparzelina pod uchem. - Oni tam w nic nie wierzą.

Spróbowałem zacisnąć powieki i zagryzłem wargi. Nie zniknął.

- Podwoziłem ją. A ona powiedziała, że zgubiła adres miejsca, gdzie się miała zatrzymać. No to jej powiedziałem, że może zostać u mnie w mieszkaniu. - Chwycił mnie za rękę. - Will, to nie ja zacząłem! Przysięgam. Nie byłbym jej tknął, gdyby nie zechciała. - Jego zaciśnięte wokół mojego nadgarstka palce były jak rozżarzone cęgi.

- Wierzę ci - syknąłem cicho. Inni pasażerowie oczywiście go nie widzieli.

Hanlon niechętnie puścił mi rękę. Na moim nadgarstku, w miejscu, gdzie go dotknął, pojawiły się brzydkie czerwone plamy. - Przyszła do mnie w środku nocy. Powiedziała, że miała zły sen i zapytała, czy nie może przez chwilę poleżeć ze mną. Will, miałem trzydzieści osiem lat. A ona dwadzieścia. Wyobraź sobie... dwudziestoletnia dziewczyna stojąca obok twojego łóżka tylko w koszulce i majteczkach. Co byś zrobił na moim miejscu?

- Zatrąkłbym ją na śmierć?

- To... - Hanlon przez chwilę walczył z wybuchem gniewu. - Nic o tym nie wiesz!

Przypomniałem sobie tę martwą dziewczynę wyczołgującą się spod zlewu w jego garażu. Jej bladą i poranioną twarz. Jedwabny krawat krępujący jej nadgarstki.

Twarz Hanlona złagodniała.

- Następne dwa miesiące były najlepszym okresem mojego życia. Każdego ranka wychodziliśmy do takiej małej kafejki i jedliśmy placek z jabłkami, popijając go kawą. Will, była taka młoda. Jej ojciec pracował jako księgowy w Wheaton, to w Illinois. Ona była po prostu zagubioną dziewczyną. O wszystkim miała swoje zdanie, ale gównie wiedziała o życiu. Tatko fundnął jej podróż do Europy jako nagrodę za zdanie matury. A ona jeszcze na lotnisku we Frankfurcie wyrzuciła bilet powrotny do kosza na śmieci. I tylko co kilka miesięcy dzwoniła do swoich starych, żeby ich powiadomić, że żyje i nic jej nie jest.

Wyobraziłem sobie jej rodziców czekających przy telefonie, który nie dzwoni, nie dzwoni, nie dzwoni...

- A potem któregoś dnia wróciłem wcześniej z wyprawy do Kolonii. Oczywiście, ona mnie wykorzystywała. Brała sobie młodziaków, żeby się z nimi pieprzyć w moim łóżku, kiedy ja byłem w podróży. No i dzwoniła z mojego telefonu, a rachunki przychodziły takie, że nie ma zmiłuj... Historia stara jak świat. Niełatwo mi uwierzyć, że mogłem być aż takim frajerem. Ale tak to już jest, jak pracujesz w handlu. Musisz lubić wszystkich.

Rzęsy nad lewym okiem Hanlona opaliły się jak skrzydła ćmy, zostawiając po sobie tylko cienkie pasmo dymku. Musiałem walczyć o każdy oddech. Dyszałem ciężko i z trudem łapałem powietrze. Ludzie wokół zaczęli odwracać ku mnie głowy i nagle zdałem sobie sprawę z faktu, że dwie z nich są czarno-białe. Ogarnięty paniką zacząłem się rozpaczliwie rozglądać dookoła. Połowa pasażerów była martwa.

- Cóż, Kennedy, to się przydarza najlepszym z nas. Kobiety trzymają nas za jaja i to jest fakt. - Autobus przystanął, żeby wypuścić kilku pasażerów pod jasno oświetlonymi markizami Coney Island. Hanlon potrząsnął głową, jakby się dziwił podłości tego świata. - A ty podejrzewałeś, że Don ci pieprzył żonę, zanim się rozwiedliście?

Autobus ponownie włączył się do ruchu.

- Z twojej miny wnoszę, że odpowiedź brzmiałaby: Nie. I właśnie o tym mówię, Will. Myślisz, że masz dostatecznie twarde jaja, żeby stawić czoła paskudnej prawdzie, ale to tylko poza. W ciągu

minionych dwunastu lat nigdy do ciebie nie dotarło, że jak ty sobie bujałeś do trzeciej w nocy po rozmaitych klubach, to Josie musiała jakoś zaspokajać swoje potrzeby?

- Łżesz.

- Will, on pracował w dzień. I potrafił zadbać o swoje.

Pomyślałem o Josie siedzącej naprzeciwko mnie na plaży Galveston Island. Nie ma mowy, żeby wtedy pieprzyła się już z Donem. Z pewnością nie.

- Chryste! Kennedy, oni się pobrali w niecały rok po tym, jak się z nią rozszedłeś! Chłopie, wasze dokumenty rozwodowe jeszcze nie ostygły po kserokopiarce! - Pochylił się ku mnie, zionąc zapachem benzyny. - Szkoda, że chybiłeś, gdy do niego strzeliłeś, Will. Na dłuższą metę oszczędziłoby ci to wielu kłopotów. Zazdrość to paskudna rzecz. Boli, prawda? Sama myśl o tym, że ktoś pierdoli twoją kobietę... To może człowieka wpędzić w szaleństwo.

Usiłowałem odwrócić wzrok, ale nie mogłem.

- Wyobraźmy sobie rozczarowanego życiem mężczyznę - ciągnął Hanlon. - Właśnie stracił pracę, bo wylał go z niej jakiś pieprzony, głupkowaty cywil. I wyobraźmy sobie, że takiemu facetowi przychodzi na myśl, iż jego żona go zdradza...

Nagle zaschło mi w ustach. - Josie była dobrą żoną dla Dona. Na miłość boską, podała jego nazwisko na świadectwie urodzenia Megan! On nie ma powodów, żeby myśleć... - No, chyba żeby się dowiedział, że ona mnie odwiedziła w szpitalu. I może mu wspomniała, że wziąłem ją za rękę. A potem niech on sobie przypomni, że Hanlon mnie podpuścił, żebym do niego strzelił. I że Josie nie zgodziła się na to, żeby oprotestować moje widzenia się z Megan... Jak to może wyglądać w oczach człowieka takiego jak Don?

- I jeszcze - podsunął cicho Hanlon - wyobraź sobie że ten mężczyzna ma broń i umie się nią posługiwać.

- Przestań. Proszę.

- Jak miała na imię twoja kuzynka? - zapytał Hanlon. - Ta, co ją zastrzelił jej chłopak?

- Zostaw Josie w spokoju i wyłącz z tego Dona. To nie ma z nimi nic wspólnego - powiedziałem błagalnie.

- Ależ Will, chłopie, to właśnie jest pieprzona kara. To cena, jaką zapłacisz za to, że mnie zabiłeś.

- Uśmiechnął się szeroko. - Tu wysiadam.

Wstał i zaczął się przeciskać do tylnego wyjścia, gdy autobus zbliżył się do przystanku. Drzwi rozwarły się z chrzęstem. Hanlon zatrzymał się w wyjściu i spojrzał na mnie przez ramię. - Zabiję ich wszystkich, Will... Za to, że cię kochają.

ROZDZIAŁ IX

1 sierpnia 1966 roku - Don był wtedy raczkującym berbeciem - inny jasnowłosy były żołnierz piechoty morskiej nazwiskiem Charlie Whitman, zatrzymał się przed mieszkaniem swojej matki w Austin. Zadzwoił, korzystając z domofonu, matka go wpuściła, on zaś wszedł schodami na górę. Po krótkiej rozmowie udusił ją gumową rurką. Potem pchnął ją w pierś dużym myśliwskim nożem. Następnie napisał przyznanie się do winy i podrobił jej list powiadamiający administrację budynku, że ona czuje się nie najlepiej i prosi, żeby jej nie przeszkadzać. Zamknął mieszkanie i wyszedł, tylko po to, żeby pół godziny później wrócić po butelkę dexedryny, której swego czasu używał, żeby nie zasypiać przez kilka kolejnych dni podczas ciężkich uniwersyteckich sesji egzaminacyjnych. Wrócił do swojego domu, gdzie ściągnął koc ze swojej śpiącej żony, Kathy, i pięciokrotnie pchnął ją nożem. „Mogłoby się wydawać, że brutalnie zabiłem obie osoby, które kochałem - napisał. - Ale ja tylko chciałem jak najszybciej się z tym uporać”. Potem kilka godzin przesiedział nad swoimi pamiętnikami, podkreślając wszystko dobre, co kiedykolwiek napisał o swojej żonie.

Następnego ranka ubrany w niebieski kombinezon pracownika obsługi wynajął turystyczny campobus i pojechał na przedmieścia Austin. Przejechał przez bramę wejściową na tereny Texas University podjechał do podstawy uniwersyteckiego wieżowca, gdzie wyjął z wozu wózek i załadował nań swój wojskowy pojemnik na rzeczy osobiste. W pojemniku znajdowały się: karabin M-1, obrzyn dwunastka, dwa karabinki Remingtona (kaliber 35 z celownikiem optycznym o czterokrotnym zbliżeniu), rewolwer Magnum 35 Smith & Wesson, pistolet Luger kalibru 9 mm i pistolet Galesi-Brescia. Wjechał windą na 27. piętro, a potem przeciągnął wózek po schodach piętro wyżej na taras obserwacyjny. Tam uderzeniem w kark kolbą obrzyna ogłuszył recepcjonistkę, Ednę Townsley. Ukrył jej ciało za kanapą, gdzie skołała po kilku godzinach. Następnie Charlie Whitman zajął stanowisko na tarasie widokowym. Na pierwszy ogień wybrał Remingtona z optycznym celownikiem.

Był ranek 1 sierpnia, godzina 11.30. Temperatura dochodziła już do 95°.

Pierwszą ofiarą Whitmana była Claire Wilson, osiemnastoletnia dziewczyna w zaawansowanej ciąży. Kula trafiła ją w brzuch, roztrzaskując czaszkę płodu. Idący z nią kolega, Thomas Eckman, odwrócił ku niej głowę, żeby zapytać, co się stało, kiedy następna kula Whitmana trafiła go w pierś, powodując natychmiastową śmierć. Padł na swoją towarzyszkę. W ciągu następnych pięćdziesięciu minut Charlie Whitman zabił czternastu ludzi, raniąc jeszcze dwunastu innych.

*Semper Fi.*³¹

Don też potrafiłby urządzić podobną rzeź. Halon mógłby go podpuścić.

Podczas gdy ja rozmawiałem z Hanlonem, autobus minął Astrodrome i przejechał pod przejazdem

³¹ Semper Fi - skrót od Semper Fidelis - Zawsze Wierni [Ojczyźnie], zawołanie żołnierzy piechoty morskiej USA (przyp. tłum.).

610, zawożąc mnie poza moje osiedle - Pętlę. Czekać aż Hanlon się odczepi, przeoczyłem trzy przystanki, a potem wyskoczyłem z wozu i ruszyłem do domu pieszo, wciąż prześladowany zapachem benzyny. Byłem teraz czujny, rozbudzony i szedłem szybkim krokiem.

Wokół mnie rozciągała się dzielnica robotnicza: stacje benzynowe, małe sklepiki, wysokie budynki bez wind, przed którymi wystawiali starzy czarnoskórzy ludzie i młodzi Latynosi. Byli też biali z koszulkami wytapetowanymi logo Związku Wędkarskiego Zatoki. Wewnętrzne płoty pobudowane z pustaków, trawniki przed domkami ze śladami opon na trawie albo tuningowanymi wozami o niskim zawieszeniu przez blokami. Nie znajdziesz nikogo, kto byłby się przyznał, że pochodzi z takiej dzielnicy, ale wielu w takich właśnie ląduje po rozmaitych życiowych niepowodzeniach.

Za rok i Megan mogłaby tu wylądować.

To właśnie Hanlon szeptałby Donowi w nocy do ucha. *Wylali cię z pracy, masz na karku kredyt hipoteczny i dzieciaka do wychowania. To nawet nie jest twój dzieciak; twoja żona mogła podłapać coś takiego, siadając na sedesie w publicznej toalecie. Jak zdołasz ją przepchnąć przez szkołę? Pół roku bez pracy i wylądujesz w takiej dzielnicy, po kilku latach służby, żołnierzyku... Jak zajmą samochód za długi, nie zostanie ci nic oprócz twoich spluw, i co wtedy zrobisz, Don? Co wtedy zrobisz?*

Duchy nic ci nie mogą zrobić. Ale mogą sprawić, że sam sobie zrobisz coś niewypowiedzianie okropnego.

Zmierzając do domu, trzymałem się największych ulic, jakie mogłem znaleźć. Na drogach było więcej duchów niż zwykle. Mijałem je pospiesznie, zmierzając do celu. Tej nocy Houston pełne było martwiaków, pijaków sterczących w drzwiach lub zgromadzonych na rogach uliczek, zobaczyłem też jedną szprychę z typu Cobainów poprawiającą makijaż i gapiącą się w okna mieszkania na drugim piętrze. Domyślałem się, że popełniła samobójstwo, licząc na to, że jej ciało zostanie znalezione przed drzwiami jakiegoś faceta, który ją puścił kantem, zdradził lub po prostu nie zwrócił na nią uwagi. Popatrz na mnie! Popatrz! Będziesz żałował! Czemu mnie nie spostrzegłeś? Tym razem mnie zobaczysz i zrobi ci się głupio!

Kiedy dotarłem do zachodniej części Astrodrome, dzień miał się już ku końcowi i zmierzchało. Po drodze, mijając bary, sklepy z różnymi trunkami i supermarkety, widziałem, jak korki na ulicach powoli się rozplývają. Przez głowę przemknęło mi wspomnienie o wuju Billym, który stał w mroku nad Bras Bayou, czekając na mnie nad jego czarnymi wodami.

Myślałem też o kolekcji gnatów Dona, rozłożonych na ladzie strzelnicy w Pasadena: Magnum 357, rewolwer kalibru 44 o krótkiej lufie, sportowy celny pistolet kalibru 22, specjalny 39 i dziewięciomilimetrowy Glock „najlepszy pistolet sprzedawany w Stanach”. ...*Wyobraź sobie, że ten mężczyzna ma broń i umie się nią posługiwać.*

Przeszedłem kilka ostatnich bloków, mijając koszary piechoty morskiej, w których Don przed laty prawdopodobnie odbywał służbę. Minąłem sklep Krogera, gdzie razem kupiliśmy kawę i smażonego kurczaka. Skręciłem w Cambridge. Zapadł już zmierzch rozjaśniany blaskiem ulicznych lamp. Ich światło

miało żółtawą barwę i, przesączaając się przez gęstwą liści dębów, nie za bardzo rozpraszało ciemności, zabarwiając tylko wieczorną wilgoć żółtawą poświatą. Wspomniałem wizytę Josie w szpitalu i jej dłoń pod moją. *Don byłby zły, gdyby się dowiedział, że tu byłem.* Wstrząs, jaki przeżyłem, zobaczywszy jej martwą twarz koloru mokrego cementu.

Ależ Will, chłopie, to właśnie jest pieprzona kara. Zabiję ich wszystkich, Will, za to, że cię kochają.

Pognałem schodami na górę, żeby wdziać marynarkę podszytą haczykami, a potem złapałem autobus do Woodland.

Kiedy dotarłem do domku Josie, zrobiło się już całkiem ciemno. Przez chwilę stałem na chodniku, zastanawiając się, co robić. Nie miałem żadnego planu. Chciałem po prostu zerknąć przez okno i upewnić się, że wszystko jest w porządku. Prawdopodobnie akurat teraz wewnątrz nie działo się nic złego. Mdlące uczucie strachu w brzuchu pewnie by się wyciszyło i następnym autobusem wróciłbym do domu. Czujący się głupio, ale uspokojony.

Ulicą przejechał samochód jednego z sąsiadów Dona. Jego reflektory wyłowiły mnie z mroku i wóz zaczął zwalniać. Jak szpieg na wrogim terytorium ruszyłem szybko chodnikiem, wiedząc, że nie powinienem dać się przyłapać na wałęsaniu przed domem Dona. Kierowca jakby się zawahał... i przyspieszył. Gdy tylko zniknął za rogiem, zawróciłem i... przekradłem się na podwórko za domem Dona i Josie. Było ciemno. Z jakiegoś powodu uruchomili zraszac trawy. Zostałem spryskany wodą ale noc była ciepła i nie miałem nic przeciwko odrobinie wilgoci na ubraniu. Przemknąłem do okna kuchni i zajrzałem do środka.

Dawno temu, kiedy ja i Josie mieliśmy przed sobą przyszłość, moglibyśmy w nim zamieszkać, ale teraz ona mieszkała z Donem w podmiejskim Domku z Piernika: białe stoły wykładane imitującym marmur linoleum i magnetyczny kalendarz na lodówce z wydrukowanymi wielkimi literami nazwiskiem ich agenta ubezpieczeniowego. Ta Josie, którą nauczyłem kochać Bauhausów i Toma Waitsa, jakoś spowszedniała, a ja byłem czymś jeszcze bardziej mało znaczącym. Byłem duchem. Wszystko, co mogłem zrobić, to gapić się na nią zza okna.

Don i Josie się kłócili. Megan odepchnęła krzesło, wstała i dyskretnie zniknęła, zostawiając na stole niedojedzoną kolację. Don prawie krzyczał, wygłaszając długie, potoczyste zdania. Jego twarz raz po raz rozjaśniały przebłyśki gniewu. Josie patrzyła nań ponuro i prawie się nie odzywała. Ze mną sprzeczała się dokładnie w taki sam sposób - to ja zawsze miałem najwięcej do powiedzenia. W pewnej chwili Don wstał i rzucił na stół swoją serwetkę. Nagle wyobraziłem sobie, jak idzie do garażu i wraca z glockiem w dłoni, po czym na koszulce Josie rozkwitają krwawe kwiaty. Jeden... drugi...

Bardzo powoli Josie płowiała do czerni i bieli. Najpierw zmartwiała jej skóra; kolor spłynął z niej niczym krew z jakiejś okropnej rany. Potem jej oczy zamigotały jak świece i zgasły. Moja pierwsza miłość. Gdy Don wyszedł, a Josie opadła na podłogę z dwiema mokrymi różami na piersi, zrozumiałem, że poszedł do Megan, po tego właśnie chciał go skłonić Hanlon. *Wyobraź sobie, że ten mężczyzna ma*

broń...

Wszyscy nagle znieruchomieli. Don zobaczył mnie za swoim oknem na ganku z tyłu. Zrozumiał, że słyszałem ich spór. Zrozumiał, że ich podpatrywałem. Szarpnął drzwi, otwierając je nagle i bluznął przekleństwami. Josie spojrzała na mnie kompletnie zaskoczona, a ja zwęszyłem zapach jej zapiekanki z tuńczyka. Kiedy mieliśmy po dziewiętnaście lat, nieustannie jedliśmy tę pieprzoną zapiekankę. Pięć dolarów dziennie, tyle przeznaczaliśmy najedzenie. Jedliśmy błyskawiczne chińskie zupki, rozmaite owsianki, soczewicę na ostro z przyprawami, masło orzechowe i zapiekanki z tuńczyka: pozawymiarowe tuńczyki kupowane skrzynkami w pobliskim sklepie, makaron jajeczny i standardowy sos grzybowy. Wtedy prawdopodobnie używała sosów Campbella, pomyślałem teraz. Zapach tej zapiekanki był intymny, niczym wymuszone patrzenie, jak się pieprzą.

- Zapiekanka z tuńczyka - stwierdziłem. - Kurczę, nie jadłem tego od lat.

- Jezus, Maria! - westchnęła Josie. - Will, to nie jest dobry moment.

- Josie, zabierz Megan na górę. - Don zaczął podwijać rękawy. Jego przedramiona były masywne, jak moje uda. - Will i ja powinniśmy porozmawiać.

Cóż, byłby to jakiś sposób na przerwanie domowej sprzeczki. Gdyby miało dojść do bójki, to Don był wyższy ode mnie o sześć cali i ważył z siedemdziesiąt funtów więcej, ale ja z kolei byłem w lepszej formie niż kiedykolwiek przedtem. W głowie błyskawicznie mi się rozjaśniło. W perspektywie natychmiastowego skopania ci dupy jest coś cudownie zmuszającego do skupienia. Przynajmniej tym razem nie miałem rozmawiać z duchem, gdy Don będzie wybijał mi dwunastnicę przez ucho.

- Chcesz zatańczyć? - zapytałem.

- Jasne - odpowiedział Don. - Jestem niezłym tancerzem.

- Josie i Meg? Nic wam nie zrobił? - Wpatrywałem się w górny guzik koszuli Dona. Kiedy zaczynasz bójkę, najczęściej patrzysz na ręce przeciwnika. Ale to jego pierś zdradza ci moment, kiedy zamierza się na ciebie rzucić. Pomyślałem, że z Dona naprawdę jest kawał chłopca. Odpowiedzialny zawodowy gracz oceniłby szanse i postawił na niego jako na faworyta. Musiałem tę walkę wygrać dzięki jakiejś brudnej sztuczce w ciągu pierwszych piętnastu sekund albo przeciwnik skopie mi uszy z głowy.

- A niech was obu szlag trafi! - warknęła Josie.

- Poczekaj, kochanie - zapewnił ją Don. - To mi zajmie tylko...

Kopnąłem drzwi tak mocno, jak tylko mogłem, rzucając go na stół. I natychmiast potem skoczyłem na niego. Ze stołu sfrunął talerz gniecionych ziemniaków, rozbijając się na podłodze, a za nim poleciała sałatka w metalowej misce. Małe przerażone ziemniaczki rozbiegły się po całej kuchni.

- Łeb ci urwę i nasram w dziurę, ty skur... OUUUĆ! Don skulił się na stole i rąbnął mnie stopą jakimś wymyślnym kopniakiem karate, którego pewnie nauczyli go w woju. Jakbym dostał cegłą w pierś. Poleciałem wstecz przez rozsuwane drzwi, spadłem tyłem ze schodów i potoczyłem po trawie. Była cholernie mokra przez ten pieprzony zraszacz. Był to jeden z tych zraszaczy, które łączą się z domem za pośrednictwem gumowego węża i powoli rozbryzgują wodę wahadłowym ruchem nad trawnikiem. W

moich dłoniach pełno było kłaków mokrej trawy.

Don zatrzymał się, żeby zbadać wgniecenie na zewnątrz w rozsuwanych drzwiach. - Will, właśnie je niedawno naprawiłem. Po tym, jak skopię twoje dupsko tak, iż powypadają ci włosy, zadzwonię do prawnika i załatwię ci taki zakaz, że jak się zbliżysz na milę do mojego domu, żony albo córki to wylądujesz w pierdlu.

- Zadzwonisz do prawnika? - zapytałem z przekąsem. - I czym mu zapłacisz? Zrobisz mu loda, jak cię nauczono w woju? A może zapomniałeś, że cię wylali z pracy?

Twarz Dona skrzywił brzydki grymas. - Kto ci o tym powiedział? - podniósł głos drżący z gniewu. - Kto ci, kurwa, o tym powiedział?

Josie chwyciła go za ramię. - Don, daj spokój.

- Nie mam zamiaru dać sobie spokoju. Will, masz zamiar dać sobie spokój?

- Takiego wała. - Przeleciała po mnie struga kropel zraszacza, mocząc mi skórzaną marynarkę. Woda zlała mi twarz i nie bez zdziwienia stwierdziłem, że się uśmiecham. - *Semper Fi*, spaślaku.

- Sama widzisz - Don cofnął ramię, którym obejmował Josie. - Dlaczego, do kurwy nędzy, nie wejdiesz do domu i nie pozwolisz mi omówić tego z Willem?

Serce waliło mi jak dzwon. Dążyć do zwarcia, dążyć do zwarcia...

Jak będziemy walczyć na dystans, zabije mnie prostymi. Don zeskoczył na dół i zaczęliśmy zataczać kręgi na ciemnym trawniku za domem. Myśląc o tym, że muszę go jakoś podpuścić, żeby mnie chwycił za klapy i wbił sobie kilka haczyków w te mięsiste łapska, potknąłem się o gumowego węża. Poślizgnąłem się, obróciłem i silnie uderzyłem szczęką w pięść Dona. Nogi ugięły się pode mną i byłbym upadł, gdyby mnie nie wyprostował hakiem w brzuch. Następny prawy prosty był jak uderzenie cegłą. Uderzyłem twarzą w mokrą murawę, ale zaraz się podniosłem, plując trawą, śliną i krwią z nosa. - No chodź, koteczku - charknąłem. Chwyć mnie za klapy, skurwielu. Don się pochylił. Tak właśnie, całą dłonią...

- Uważaj! - wrzasnęła Josie. - Nie łap go za klapy!

Don się cofnął.

Krople wody smagnęły mnie po zakrwawionej gębie.

- Josie, zmiłuj się! - krzyknąłem. - Po czyjej ty stronie stoisz, do kurwy nędzy!

- A tak, haczyki! - sapnął Don. - Prawie o nich zapomniałem!

I kopnął mnie w głowę.

Chwyciłem go za stopę, on jednak stanął mi na dłoniach, więc nie mogłem się osłonić, gdy się pochylił, żeby przylać mi w łeb. Przewinałem się, padając na twarz i odchyliłem w bok. Kopnął mnie z całej siły w udo tym swoim lśniącym butem zastępcy szefa. Zakląłem paskudnie, usiłując odczołgać się nieco dalej, a on kopnął mnie znowu, wykorzystując przewagę... i wtedy moja dłoń trafiła na gumę węża. Zrobiłem zwodniczy ruch, jakbym znów spróbował wstać, Don pochylił się ku mnie, a ja z całej siły walnąłem go w pysk metalową końcówką węża.

Przez chwilę stał oszołomiony i ocierał krew zalewającą mu oczy.

- O kurwa! - stęknął.

Ponownie splunąłem krwią.

- Żadnego przeklinania, kutasie!

- Don! O mój Boże! Nie zrobił ci krzywdy? - zapytała Josie z tak oczywistą troską w głosie, że jeszcze raz przyłożyłem mu tą końcówką węża. Tym razem padł.

Legliśmy obok siebie na trawie, obaj zwijając się z bólu. Ten pieprzony zraszacz, nie mając nic lepszego do roboty, co chwila zlewał nas obu wodą, jakbyśmy byli dwoma wielkimi niekształtnymi krzakami. Słysząc było okropny gulgoczący i chrapliwy dźwięk, jakby Don usiłował oddychać ustami pełnymi krwi i powybijanych zębów, ale po chwili zrozumiałem, że ten dźwięk wydaje ja sam.

Na trawnik weszła Megan, trzymając bezprzewodowy telefon w dłoni.

- Zadzwońię po policję - powiedziała.

- Nie! - stęknęliśmy jednocześnie obaj z Donem.

Dźwignąłem się na nogi. Prawa ugięła się pode mną, ale zdołałem ustać. W jakiś osobliwy sposób rozjaśniło mi się w głowie, jakby Hanlon tkwił we mnie niczym narkotyk, a Don mnie otrzeźwił, trzasnąwszy kilka razy w pysk. Splunąłem ponownie krwią. Josie zbiegła na trawnik i uklękła obok męża. Wciąż była czarno-biała.

- Wszystko w porządku? - zapytałem. Coraz trudniej było mi mówić opuchniętymi wargami. Josie nie odpowiedziała.

- Nie, wszystko skończy się jak najlepiej - stwierdziła Megan sarkastycznie.

Don usiłował usiąść. - Chyba lepiej będzie, jak sobie pójdiesz.

Po dwudziestu minutach stałem, chwiejąc się na nogach, w budce telefonicznej przed Biblioteką Publiczną Woodland i szukałem drobnych. Wyciągnąwszy z kieszeni garść monet gapiłem się na nie, usiłując wybrać właściwe, co nie było łatwym zadaniem z powodu krwi zalepiającej mi niemal oczy. Para dwudziestopięciocentówek, dziesięciocentówka i kilka monet jednocentowych. Zamrugąłem oczami. Na dziesięciocentówkę spadła ciężka kropla krwi, rozbryzgując się na obliczu Franklina D. Roosevelta. Oparłem na chwilę porozbijaną i poobijaną twarz o pleksiglasową płytę, a potem wrzuciłem kilka monet na chybił trafił w szczelinę aparatu i zadzwoniłem do Lee. Podniósł słuchawkę po dwu dzwonekach. - Agencja Kaucji Gulf Coast. Po co pan traci pieniądze na telefon, skoro może pan przyjść osobiście?

- Dobry wieczór, panie Kaucja. Dzwonię w imieniu Zrzeszenia Żalonych Skurwysynów. Czy możemy liczyć - przerwałem, żeby przełknąć krew - na pański zwykły datek?

- Will?

- Chwilami tak.

- Masz zmieniony głos. Znów się z kimś pobiłeś, co? Jesteś trzeźwy?

- Jak pastor na porannym nabożeństwie. Mam tylko spuchniętą mordę i chyba złamany nos.

Chwila milczenia. - Znaczy, chcesz się upić?

- To na początek.

Usłyszałem w tle głos kobiety. - Złamał nos - stwierdził Lee. - Vicky chce wiedzieć, jak to się stało.

- Upadłem.

- Czy przypadkiem nie na czyjąś pięść?

- Mmm... - Klasyczny Zamaskowany Krzyżowiec nie karmi swoich przyjaciół żadnymi informacjami, które mogłyby im zaszkodzić. To sprawia, że podstępnie knujące przeciwko ludzkości Czarne Charaktery nie mają na niego haka, bo nie mogą ich użyć jako Dźwigni Bezwzględnego Nacisku. Zauważyłem, że miejsce, gdzie oparłem twarz o pleksiglas, jest poplamione krwią. Plama była paskudna.

- Może byś mnie podwiózł? - powiedziałem.

- A może byś skorzystał z pogotowia?

- Pewnie. Jakbym miał do wydania kilka tysięcy luźnych dolców. - Nie jestem jeszcze psychicznie gotów na ponowny pobyt w szpitalu. Ludzie zaczynają cię lekceważyć, jak cię widują zbyt często. Mam ograniczony limit i muszę dbać o swój wizerunek publiczny. Trzeba trzymać fason, chłopie. Popatrz na Supermana.

- Superman chyba udziela wywiadów.

- Kto jest bardziej cool, Superman czy Spider?

- Trafne pytanie. Gdzie jesteś?

- W budce telefonicznej naprzeciwko Biblioteki Publicznej Woodland.

- W Woodland?

- To nie to, o czym myślisz - powiedziałem.

- Will!

Jasne, było to dokładnie tym, o czym pomyślał.

- Będziemy za pół godziny - stwierdził Lee. - Za trzy kwadransy, jak ugrzęźniemy w wieczornych korkach.

- To, co ci płacę, pomnóż przez dwa.

- No, no... - Lee odłożył słuchawkę.

Wezwawszy z powodzeniem oddział kawalerii na pomoc, osunąłem się na dno budki, żeby się zdrzemnąć. Moje zmysły Spidermana bolały, jak cholera.

Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. W szkle zobaczyłem odbicie patrzącej na mnie AJ. Ukryła twarz za dłońmi, a potem powoli rozsunała palce, krytycznie patrząc na moje opuchnięte knykcie i zakrwawioną twarz.

- Upadłem - stwierdziłem.

Uniosła oczy ku górze.

- I mocno się potłukłem.

AJ się roześmiała. Wyciągnęła jedną rękę i przycisnęła dłoń płasko do szkła budki. Wyprostowałem moje obolałe palce i zrobiłem to samo. Szkle dzielące nasze dłonie było bardzo zimne. Czułem, że moim ramieniem spływa kojąco zimna woda, która wsącza się w bolącą dziurę na mojej piersi. AJ spojrzała na mnie z miłością w oczach. Po raz pierwszy od wielu lat poczułem, że mi wybaczone.

Pierwszy raz zasmakowałem seksu po pogrzebie AJ. Josie i ja zasiedzieliśmy się u Denny'ego i po północy jeszcze rozmawialiśmy nad mlecznymi koktajlami. To było po pożegnaniu z kuzynką w otwartej trumnie, AJ zupełnie nie przypominała samej siebie w sukience z balu maturalnego i ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Drżałem cały jak struna i Josie podcięła mi nogi. O drugiej nad ranem znaleźliśmy się razem w jej łóżku, kotłując się jak szaleni i jednocześnie usiłując zachować ciszę. Tatko Josie siedział wtedy w ciupie, a matka jak zwykle się wyłączyła, wypaliwszy solidnego skręta z marychy.

Szesnaście lat temu. Połowa mojego życia.

Po dziesięciu minutach zjawił się Lee, prowadząc klasyczny teksański wóz, Merkury Marquis, który kupił od matki, gdy ta się nim znudziła. Ludzie drą sobie łacha z Teksaszczyków rozbijających się wielkimi samochodami, ale to prawda, że lubimy dobre resory i wykładziny bardziej miękkie niż tłusty kobiecy tyłeczek. W stanie, w którym babcia musi zrobić sześćset mil, żeby wpaść do wnucząt na weekend, kanapa na kołach jest jedynym sensownym pojazdem. Wnętrze Marquisa było wyłożone bordowym pluszem - z podkreśleniem tego pluszu. Ułożyłem swe obolałe ciało na tylnym siedzeniu, usiłując nie zakrwawić wszystkiego, podczas gdy Vicky zajęła się mną jak matka. Przyjechali z Lee, zaopatrzwszy się najpierw w tylenol³², pojemnik od Krogera pełen kostek lodu i pudełko bandaży Kubusia Puchatka z mojej łazienki. Wzięli też ze sobą dwie małe piersiówki z tequilą. Przełknąłem bez popijania trzy tabletki tylenolu o wzmocnionym działaniu i spróbowałem usiąść, podczas gdy Vicky krzątała się koło mnie.

- Podoba mi się ta Meksykaneczka - powiedziała AJ widoczna w bocznym oknie samochodu.

³² środek przeciwbólowy - handlowa nazwa paracetamolu (przyp. red.).

Kiedy się śmiała, robiły jej się zmarszczki w kącikach oczu. Była czarno-biała i widziałem każdy pieg na jej bladej twarzy, maleńkie jedwabiste włoski na jej karku i fałdy jej koszulki.

- Teraz uważaj! - Vicky zmarszczyła brwi i pochyliła się nad siedzeniem, żeby obmyć moje zadrapania i ranki wacikiem zmoczonym teąulą, co zabolalo i sprawilo ze buchnął ode mnie zapach, jakiego nie powstydzilby się najgorszy męt. Ranki na czole zalepila dworna plastrami z Prosiaczkiem. Kiedy skonczyla, opadłem na tylne siedzenie, przylozywszy do mojej potluczonej gęby woreczek z kostkami lodu.

Lee wciąż miał ochotę podrzucić mnie na pogotowie do metodystów, ale zdołałem go przekonać, że nie mam poważniejszych obrażeń.

- Nie miałbyś ochoty znaleźć się w szpitalu - powiedziała ponuro Vicky. - Jest pełen chorych, popapranych ludzi. To ostatnie miejsce, w którym należałoby szukać pomocy. Wszędzie śmierdzi środkami dezynfekcyjnymi. Stary, naprawdę nie chciałbyś na mnie wpaść w szpitalu.

- Vicky ma za sobą półtora roku w szkole pielęgniarstwa - wyjaśnił Lee. - Jesteś głodny? - zapytał. - Bo ja tak. Chłopie, masz szczęście, że trafiłeś na moją wolną noc.

- Szpital, to ostatnie miejsce, do jakiego chciałbyś trafić, szczególnie jak jesteś chory. Chciałbyś się raczej znaleźć w domu, gdzie byłaby się tobą zajęła jakaś milutka dziewczyna.

AJ w oknie uśmiechnęła się do mnie. Była tak blisko, że mogliśmy się pocałować. - Bądź wierny aż do śmierci - powiedziała - a dam ci koronę żywota.

Zabrali mnie do tajskiej restauracji Nit Noi w Rice Village, ulubionej knajpy Lee. Z trudem przebrnąłem przez parking, zastanawiając się, czy jednak nie mam jakiegoś złamania. AJ czekała na mnie w przyciemnionych szklanych drzwiach. Wiek przed pięknoscia, powiedziala, przenikajac przez szklo, gdy ja pchnalem drzwi, zeby je otworzyc. I perly przed wieprze. Rozesmiala sie i znikla wewnatrz, jej zakrwawiona koszulka mignela, odbijajac sie w stali nakryc i wygietych szklach karafek z zimna woda.

Nasze zamówienie przyjął wysoki Taj o kwaśnej minie. Był jednym z tych ludzi, którym życie się nie ułożyło. Można się było założyć, że wbrew swojej woli pracował w restauracji bogatego kuzyna i nienawidził każdej chwili tej pracy. Jego wysokie czoło pokrywały plamy wątrobowe, a cienką skórę miał tak naciągniętą, że widać było kości czaszki. - Czego państwo chcecie? - zapytał z miną człowieka, który i tak wie, że dozna rozczarowania. Z tak potluczonymi zębami nie chciałem ryzykować przeżuwania czegokolwiek, więc zamówiłem Ostrą Zupę na Gorąco i napój doktora Peppera. Kelner zwrócił się ku Lee i Vicky, a ja sprawdziłem przewidująco w portfelu, czy stać mnie na opłacenie zamówienia.

- Stary! - zachnął się Lee. - Tu nikogo nie ma!

Przyjrzałem się kelnerowi. No tak, był czarno-biały i w oczywisty sposób martwy, ale jakoś mnie to nie zastanowiło. - Przepraszam - powiedziałem.

Larry skwitował mnie machnięciem ręki. - Nie ma sprawy, każdemu może się przydarzyć.

Martwy kelner prychnął pogardliwie. - Jak państwo chcecie poczekać, to mnie to urządzi -

stwierdził nonszalancko. - Trin powinna być już za chwilę.

Nasza kelnerka - żywa - pojawiła się w istocie po chwili, wychodząc z kuchni i przechodząc przez swojego martwego wuja, żeby przyjąć nasze zamówienie. Spojrzał wściekle na jej tyłeczek, zajmujący miejsce, w którym powinno było się znajdować jego biodro, a potem z irytacją odsunął się na bok. Dziewczyna była gorącą laseczką miała może dwadzieścia dwa lata, pucułowate policzki i uśmiech w oczach. Jej koszulka kończyła się tuż nad paskiem czarnych roboczych spodni, więc gdy pochyliła się nad stołem, żeby ponownie napełnić karafkę Lee mogłem zobaczyć zaokrąglenie biodra. Każda z jej piersi mogła się doskonale zmieścić w kielichu dłoni. Oddałbym wszystko za jeden jej pocałunek.

- Czy nie jest piękna? - zapytała mnie szeptem AJ.

- Mam na imię Trin i dziś będę państwa obsługiwała. - Dziewczyna miała klasyczny akcent wybrzeża Zatoki.

Powtórzyłem zamówienie. Lee wybrał kurczaka z cytrynowym ziołem i bazylią.

- Jak wygląda wasze masnam curry? – zapytała Vicky.

Stary nieboszczyk skrzywił się okropnie.

- Wspaniale! - stwierdziła Trin. - To moja ulubiona potrawa.

Wuj wybałuszył oczy, jakby się dławiał.

- Bueno! - powiedziała Vicky. - Wezmę to i mrożoną tajską herbatę.

Trin odplynęła z naszym zamówieniem. Nieboszczyk patrzył, jak odchodzi.

- Mam nadzieję, że wam się nie spieszy - powiedział.

Obok nas przebiegł posługacz, przenosząc przez głowę starego stos brudnych naczyń. Nieboszczyk westchnął, zacisnął usta i poszedł za Trin do kuchni.

Wokół nas rozmawiali i jedli swoje posiłki rozmaici ludzie - najczęściej żywi, ale było i kilku martwiaków. Vicky zmusiła mnie do wypicia mnóstwa wody, pouczając jednocześnie o tym, jak niedobrze jest wdawać się w bójki i skarżąc się na zadziornego chłopaka, z jakim chodziła, zanim poznała Lee. Łykałem zupkę, krzywiąc się, gdy kwas lizał moje skaleczenia wewnątrz gęby i na wargach. Popychałem rozchwiane zęby językiem. Z moich dotychczasowych doświadczeń wynikało, że poluzowane zęby odzyskują stabilność, ale przez kilka dni trzeba je traktować ulgowo i pozwalać, żeby dziąsła wokół nich ponownie się wzmocniły.

- Uważam, że zasłużyliśmy przynajmniej na wyjaśnienie, w jaki sposób dałeś sobie skopać dupę – stwierdził Lee, nawijając kilka nitek makaronu na widelec. Podałem im okrojona o obecność duchów wersję historii, zakończonej kopaniną na trawniku za domem Dona.

Lee zmarszczył brwi. - Chłopie, musisz uważać na tych geniuszy zła. Czemu nie załatwiłeś go starą sztuczką z haczykami?

- Josie go ostrzegła.

- A to dobre! I podobno cię lubiła.

Vicky potrząsnęła głową, kiedy zakończyłem opowieść relacją moich wyczynów z metalową

końcówką zraszacza. Lee wydał okrzyk radości i wymieniliśmy uściski dłoni góra-dół, co podwoiło ból mojego ramienia, ale było tego warte. Łyknąłem kolejną porcję zupki, pozwalając się otulić nocnym hałasom i odgłosom rozmów w barze. - Wiecie, zdarzało mi się już przedtem, że skopano mi dupę...

- A to ci nowina! - stwierdziła Vicky z przekąsem.

- ...ale muszę wam powiedzieć, że tym razem sprawiło mi to większą frajdę niż kiedykolwiek przedtem.

Lee wlał mi do szklany kolejną porcję piwa Sapporo. - Bo ja stawiam kolację?

- Bo zwykle nie miałem nikogo, kto by mnie potem pozbiarał do kupy. Więc... tego... dziękuję.

Vicky parsknęła śmiechem.

- Następnym razem licz tylko na piwo.

Przerwała, żeby zlizać kęs curry z kącika ust swoim różowym języczkiem. Ogarnęła mnie nagła fala beznadziejnej rozpaczliwej zazdrości. Tak bardzo zapragnąłem mieć własną ładniutką Meksykaneczkę, że zaparło mi dech w piersiach. Poczułem, że jeśli nigdy już w życiu nie będę mógł podnieść wąskiego końskiego kucyka czarnych włosów i pocałować dziewczyny w kark, to moje dalsze życie nie będzie warte wysiłku towarzyszącego przerabianiu chleba na gówno.

Te kule samotności godziły we mnie cały czas, po raz pierwszy pojawiły się w sześć miesięcy po tym, jak Josie puściła mnie kantem. Przyzwyczajasz się do tego, że uczucie przetacza się nad tobą, jakbyś stał na plaży w zatoce, fale przypływu przewalają się nad twoją głową, a ty czekasz, czekasz i czekasz, aż znów będziesz mógł odetchnąć powietrzem.

Siedziałem tam jak jakiś cholerny dupek, gapiąc się na kącik ust Vicky, podczas gdy wokół nas jedzący kolację klienci szumieli i brzęczeli naczyniami.

- Hej, TK! - AJ patrzyła na mnie z wypukłego boku stojącej na naszym stoliku karafki na wodę. Krzywizna dość paskudnie zniekształcała jej twarz. - Zawsze tu jestem - mówiła.

- Co jest, Will? - zapytał Lee.

Zacisnąłem powieki. - Przepraszam. Coś mnie łupnęło w głowie. - Bolały mnie także zęby, nogi, gęba i serce.

Wziąłem się w garść. Nie można robić rewolucji w jedwabnych rękawiczkach. Nie możesz płakać, że nie kolniesz sobie dziewczyny kumpla.

Dotrzymując słowa, martwy kelner zawsze zjawiał się przy naszym stole przed Trin. Kiedy zapomniła o specjalnym deserze wieczoru, podał go z kwaśną miną, unosząc oczy ku niebu: mango i krem ryżowy w cukrem i jajkami.

Potem kolacja dobiegła końca i trzeba było wyjść. Lee i Vicky musieli skorzystać z łazienki. Martwy kelner uwijał się wśród stolików z ponurym wyrazem twarzy, usiłując nie wpadać na ludzi, którym to wcale nie przeszkadzało. Wziąłem od hostessy paczkę papierowych zapalek z logo restauracji na zewnętrznej stronie. Wyciągnąłem z kieszeni banknot jednodolarowy i zwinąłem go w rulonik. Kiedy martwiak podszedł do naszego stolika, podpaliłem banknot pośrodku mojego talerza.

- Prawidłowo - powiedziała AJ.

Banknot zajął się szybko, rozwinął się i spłonął czystym jasnym płomieniem. Miał nieco inny zapach niż zwykle palące się papiery - biurowy odcień chemikaliów, jakby rozpuszczalnika. Nie skruszył się w normalny popiół; zszarzał tylko, zostawiając jakby cień banknotu. Nad piramidą wciąż jeszcze mogłem przeczytać „...n God we tr...”. Na osmalonych krawędziach lśniły srebrzyste niteczki. Pieniądze palą się z charakterystycznym miarowym trzaskiem i szelestem.

Spojrzałem na martwego tajskiego kelnera.

- Napiwek - powiedziałem.

Uśmiechnął się półgębkiem. Wyciągnął rękę i przez chwilę potrzymał dłoń nad płonącym banknotem. Wokół jego palców owinęły się szare pasma dymu.

Od sąsiedniego stolika pochyliła się ku mnie jakaś czarnoskóra kobieta w średnim wieku.

- Przepraszam, młody człowieku - powiedziała z dezaprobatą w głosie. - To sala dla niepalących.

Lee i Vicky odwieźli mnie do domu.

Zaraz po moich szesnastych urodzinach podprowadziłem ojcu dość forsy z portfela, żeby kupić dwa bilety na występ Gun Club. Drugi bilet był dla Anity, urodzonej w Teksasie Meksykaneczki, z którą chodziłem, zanim poznałem Josie. Gdy teraz to wspominam, rozumiem, że Anita spotykała się ze mną z nudów, czekając aż jej się trafi ktoś lepszy ode mnie, ale wtedy załamałem się niemal, gdy mnie spławiła dla szkolnego dilerka, który rozprawdzał w budzie amfę. Tak czy owak poszedłem na imprezę, opyliwszy drugi bilet od ręki za cenę o pięć dolców wyższą niż ta, którą zań zapłaciłem, i przepchawszy się przez tłum, który okazał się największym zgromadzeniem fanów Gun Club, jaki się kiedykolwiek zebrał z lewymi biletami.

Po występie zgubiłem drogę, usiłując wydostać się na zewnątrz i trafiłem na lidera zespołu, co skończyło się wspólnym rejssem po okolicznych barach. W kilka lat później Jeffrey Lee Pierce miał umrzeć na wylew krwi do mózgu, po unicestwieniu samego siebie w sposób typowy dla gwiazdy rocka, wtedy jednak okazał się najlepszym kompanem do wypitki, miłym, czarującym i tak zainteresowanym tym, co mówiłem o grze zespołu, że postawił mi kolejkę. Nikt mnie nawet nie zapytał o dowód. O czwartej nad ranem znalazłem się w jakimś hotelowym pokoju z przewrotną blondyneczką w obcisłych szortach ze skóry lamparta, która dyskretnie i zręcznie zajęła się moim Jasiem, śmiejąc się i paląc jednocześnie skręta z marychy. Miała aksamitny, łagodny głos i miękkie, delikatne palce.

W trzy godziny później wracałem do domu, idąc wzdłuż kanału i patrzyłem na wschód słońca. Ogarnęło mnie poczucie niewiarygodnego spokoju - ja byłem mały, świat był wielki i czułem w głębi serca, że wszystko i wszędzie można wszystkim wybaczyć.

Po drodze do domu Lee i Vicky zatrzymali się, żeby mi kupić sporą fiolkę ibuprofenu. Kiedy siedzieliśmy w restauracji, ciało zaczęło mi sztywnieć, a wielkie zadrapania na nogach zasklepiły się i

bolały jak cholera. Gębę miałem spuchniętą, obolałą i rozpaloną. Oczywiście w Parkwood nikt jeszcze się nie zdecydował na naprawienie klimatyzacji, wyglądało więc na to, że czeka mnie kolejna nieprzespana noc. Vicky i Lee pomogli mi dobrnąć do drzwi i poszli. Poczłapałem do łazienki, gdzie przez długą chwilę walczyłem z dziecioodporną zakrętką fiołki środków przeciwbólowych. Niewiele brakło, a byłbym się poddał, ale nie chciałem zakończyć nocy wynikiem 0:2 dla „pocisków przeciwnego losu”, więc w końcu zmusiłem pieprzoną fiołkę do uległości.

AJ czekała na mnie w lustrze nad toaletą.

- Cześć, TK - powiedziała.

- Jesteś tu z powodu wuja Bill'ego? - zapytałem. - Czy to on pomógł ci mnie znaleźć?

- Nie, nie, nie, panie Wilku. - Uśmiechała się do mnie ponad tymi swoimi okularami kpiącym nieco uśmiechkiem, jaki pamiętałem z czasów, kiedy nosiła koszulki bez ramiączek, paliła trawkę i gardziła Reaganem.

- Billy cię nie lubi - powiedziałem.

- Połapcie nam lisy, małe liski, które psują nasze winnice - powiedziała AJ, zwilżając językiem wargi - a nasze winnice niech zakwitają.

Ten fragment z „Pieśni nad Pieśniami” był jej ulubionym cytatem biblijnym, który często przytaczała, gdy była wstawiona, zaczynała się podniecać, albo miała zamiar zrobić coś, co mogłoby zostać potępione przez miłujących prawdę mieszkańców Deer Park.

Krwawe plamy na jej koszulce wciąż wyglądały tak, jakby były jeszcze wilgotne. Jej uśmiech zgasł nagle.

- Nie gap się - powiedziała.

- Przepraszam.

- Zagrajmy, TK.

- Niby jak?

- Sam wybierz. Wybierz coś, w co już grywaliśmy.

W mieszkaniu było cholernie gorąco i duszno. Napuściłem nieco wody do umywalki i spryskałem twarz, żeby ją ochłodzić. Być może zwracanie uwagi na AJ to nie był najlepszy pomysł. Może powinienem po prostu udawać, że jej tu nie ma. Ale wszystko mnie bolało i w mieszkaniu było gorąco jak w piekle. Wiele wskazywało na to, że nie zmruję oka i czeka mnie druga gówniana noc pod rząd, a nie chciałem do rana zostawać sam.

- Trafiony, zatopiony - powiedziałem.

AJ znów się roześmiała.

Poczłapałem do lodówki i wyjąłem butelkę browca Dos Equis. Włączyłem oświetlenie w pokoju, tak że cały odbijał się w szybie okiennej. AJ natychmiast się w nim pojawiła.

- W chowanego?

- Dobra - odpowiedziałem.

- Ty kryjesz.

I natychmiast znikła. Zacząłem przesuwać przedmioty - krzesła, materace, kolumny głośnikowe - obserwując ich odbicie w szybie i patrząc, czy nie ukryła się za którymś z nich. Napuściłem wody do umywalki, żeby zobaczyć jej twarz.

- Ciepłej - powiedziała.

Klnąc w duchu, bo wszystko mnie bolało, klęknąłem na podłodze w kuchni i zobaczyłem ją patrzącą na mnie z uśmiechem ze szklanego okna kuchenki.

- Dlaczego widzę tylko twoje odbicie?

Uśmiechnęła się tylko.

- Chcesz jeszcze raz?

- Jasne! - Przyjemnie było czuć, że człek nie jest sam.

Za drugim razem znalazłem ją patrzącą na mnie ze lśniącej powierzchni kompaktu w moim odtwarzaczu. Za trzecim razem niewiele brakło, a byłbym się poddał - szukanie zajęło mi mnóstwo czasu, ale w końcu znalazłem ją na powierzchni małego lusterka do golenia, o którym zupełnie zapomniałem i wetknąłem je do szuflady pod umywalką. Poczłapałem, kulejąc, do pokoju, włączyłem jej najbardziej ulubioną płytę ze starego albumu Roxy Music i powiedziałem, że jestem zbyt zmęczony i obolały na zabawę w chowanego.

Przez chwilę nuciła bezgłośnie razem z Brianem Ferry.

- Zagrajmy w prawdę lub wyzwanie - powiedziała.

- Dobra, ale ja pytam pierwszy.

- W porządku.

- Czy to ty powiedziałaś o mnie Hanlonowi?

Odpowiedziała mi dość niechętnym spojrzeniem.

- Nie umiałaś dochować sekretu, prawda?

Dotknęła palcami krwawych plam na koszulce.

- Teraz potrafię - powiedziała.

Łyknąłem piwa, licząc na to, że w końcu mnie uśpi. Owszem, byłem zmęczony, wyczerpany, spocony i obolały. Ale nie miałem ochoty na sen. Znów pomyślałem o Hanlonie i o tym, jak noc po nocy przewraca się na łóżku, nie mogąc zasnąć i wsłuchując się w głos dziewczyny, którą zabił. Spojrzałem na odbicie mojego pokoju w oknie. Widmowy ja ugniatał na poły realny materac rozciągnięty na podłodze. AJ przykucnęła obok mnie i przeglądała moje płyty CD. W tle słyszałem cichą muzykę. Avalon.

- Twoja kolej - powiedziałem.

Zostawiła płyty, na czworakach przeszła do materaca i opadła obok mnie. W oknie zobaczyłem, że materac ugiął się pod jej ciężarem. Usiadła tak blisko, że dzinsami niemal muskała moje biodro, ale powietrze obok mnie było zimne i puste.

- Prawda lub wyzwanie, TK. Co chciałeś zrobić, gdy dorośniesz?

Pytanie mocno mnie zaskoczyło. Jako brzdąc chciałem robić kilka rzeczy jednocześnie - myślałem o tym, żeby być tekściarzem piszącym przeboje, paleontologiem, didżejem w jakimś nocnym programie radiowym, ale tak naprawdę nigdy o tym poważnie nie myślałem. Właściwie nie umiałem sobie wyobrazić samego siebie jako dorosłego. Świat i tak był już pełen dorosłych, żywych i umarłych. - Nie wiem - odpowiedziałem.

- To oznacza wyzwanie. Musisz zrobić, co ci każe.

- Nie, naprawdę, nic mi nie przychodzi do głowy.

AJ skrzywiła się pogardliwie.

- Postaw inne pytanie.

Uniosła oczy w górę. Żeby lepiej myśleć, skuliła się, obejmując nogi rękami i przyciskając kolana do piersi. Miło było mieć towarzystwo, choćby tylko widoczne w obiciu na okiennej szybie.

- Will, prawda lub wyzwanie.

- Wal.

- Kto był twoją pierwszą miłością?

Podciągnęła kolana do brody i uśmiechnęła się do mnie, patrząc spod równo przyciętej grzywki. W czerni i bieli jej młode ramionka miały gołębią szarość, podobnie jak kostki pod dzinsami. Nosiła białe płócienne tenisówki bez skarpetek. Nigdy nie chodziła bosą, żeby nie pokazywać stóp i tych zrosniętych palców. Nawet na basenie zawsze chodziła w płetwach, wyjąwszy ten dzień, kiedy jeden z kuzynów - czy to nie byłem ja? - ściągnął z niej te płetwy; to był ostatni dzień, kiedy widziałem, jak pływała.

- Kto był twoją pierwszą miłością?

Oderwałem spojrzenie od okna.

- Wyzwanie - powiedziałem.

- Coś wymyślę - odparła.

Po mizernych trzech godzinach snu obudziła mnie para głupich drozdów, które chyba nigdy wcześniej nie oglądały świtu i strasznie je musiał podniecić ten widok. Czułem się, jakby mnie ktoś pobił łyżką do opon. Łeb mi pękał, bolała mnie cała gęba, a powieki miałem tak sklezione, że musiałem je przetrzeć i niemal rozlepić palcami. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, były moje nogi pokancerowane jak dwa stare banany. Całe doświadczenie przypominało mi wybudzanie się z gigantycznego kaca, tylko że bez przyjemności upijania się.

AJ stała w oknie zwrócona do mnie tyłem i podziwiała wstający dzień.

- Moje kobiety zwykle zmywały się, zanim wstałem.

Obejrzała się na mnie wyraźnie rozbawiona.

- Ja nie - odpowiedziała.

Dotrzymała obietnicy. Kiedy wstawałem, czekała w oknie. Kiedy wyszedłem, widziałem jak, dotrzymując mi kroku, przemyka przez szyby zaparkowanych na chodniku samochodów. Raz zajrzałem

do Krogera, a ona szła obok mnie w szybach wystawowych. Pokpiwała ze mnie i to mnie bawiło, bo taką ją pamiętałem, bywała też poważna, co mi przypominało o jej śmierci - i była piękna. Trochę mi to przypominało bycie z Josie. Miło było budzić się rano i znajdować kogoś przy sobie. Samotność dobrze mi już dojadła.

Minęła doba. Wciąż byłem obolały. Czekałem na telefon od Josie, Dona albo od ich prawnika; telefon, który miał mi zakazać widzeń z Megan, ale czas jakby się zawiesił i telefon zadzwonił dopiero po dwu dniach.

- Powinieneś go odebrać - stwierdziła AJ.

- A bo co?

Uśmiechnęła się.

- Dobra wiadomość.

Podniosłem słuchawkę, z której trysnął potok radosnej hiszpangielszczyzny. Był to kuzyn Vicky, ten pośrednik w handlu nieruchomościami, Johnson Del Grande. - Oto potęga pozytywnego myślenia, todos! Godzina po naszej ostatniej rozmowie była najgorszą w moim życiu! Byłem załamany! I nagle... wie pan, co mi przyszło do głowy? Wie pan, co zrobiłem?

Zaskoczony potrząsnąłem głową, co nie jest przyjętym wyrazem przeczenia podczas rozmów telefonicznych, ale Del Grande nie dał mi długo czekać na rozwiązanie zagadki. - Zadzwoniłem do „Houston Press” i dałem ogłoszenie: „Autentyczny Nawiedzony Dom - NA SPRZEDAŻ! Na żądanie dodajemy zaświadczenie wystawione przez miejscowego eksperta Williama Kennedy’ego, którego sławę ustalił artykuł w »Houston Chronicle«!” Oto, co zrobiłem!

- O mój Boże!

- „Press” wychodzi co czwartek rano, prawda? Wie pan, ile miałem zgłoszeń do południa? Jedenaście. Pokazałem dom JEDENASTU klientom. Mas gente³³ dzwonią cały czas. Nie tacy, co są moimi stałymi klientami. Todos nuevos!³⁴ Sami nowi klienci!

- Żartuje pan - powiedziałem.

AJ szczyrzyła się do mnie z okna.

- Ale do rzeczy. Przedstawię panu mój pomysł. Wie pan, w handlu nieruchomościami słyszy się o takich rzeczach. Casas frecuentadas. Casas malecidas³⁵. Duchy w ścianach czy fundamentach. Zawsze są z tym kłopoty. Pero ahora³⁶, od teraz, gdy się o czymś takim dowiem wkraczamy razem z panem. Si es verdad³⁷, jak pan mi powie, że taki dom jest naprawdę nawiedzony, ja się zajmę jego sprzedażą.

³³ Liczni ludzie.

³⁴ Wszyscy nowi.

³⁵ Domy nawiedzone. Domy zaczarowane.

³⁶ Lecz teraz.

³⁷ Jeśli to prawda.

- W jaki sposób?

Roześmiał się.

- O to już niech pana głowa nie boli! Widzi pan, każdy z tych domów będzie domem z gwarancją Willa Kennedy'ego!

- Chwila, moment...

- Oczywiście, za to dodatkowe zaświadczenie dam panu pół punktu ceny wywoławczej.

- Ależ ja...

- No dobrze, ceny sprzedaży!

Przez chwilę się zastanawiałem, co też znaczy te pół punktu. - Nie wiem...

- Niech będzie cały punkt! Madre de Dios, chce mnie pan zrujnować? Na tym miejscu, gdzie byliśmy ostatnio, trafia pan cztery tysiące dolarów za dwadzieścia minut pracy! Mało panu? - jęknął błagalnie.

Podczas długiej chwili milczenia, która po tym zapadła, wykombinowałem, że czymkolwiek nie byłby ten punkt, mogę kupić za niego cały wagon pieprzonych błyskawicznych zupek.

- Zgoda... - steknąłem słabym głosem.

- Bueno! Do wieczora przyślę panu czek na cztery tysiące dolarów ze sprzedaży ostatniego domu. Ale to za wyłączenie, rozumie pan? Tylko my dwaj.

- Wyłączenie - stwierdziłem posłusznie.

Gdy Del Grande się żegnał, głos łamał mu się z radości i chciwości.

Zadzwoiła Megan.

- Hej! - powiedziała.

- Ty sama hej! - Słyszałem wokół niej szkolną wrzawę i głosy innych dzieciaków. Znowu dzwoniła ze szkoły. - Nic ci nie jest?

- Mnie ostatnio nikt nie stukał.

- Trafna uwaga. - Nabrałem tchu w płuca. Zabolało. - Posłuchaj, czy oni nie mówią o tym, żeby mi zabronić spotykać się z tobą?

- Mówią.

O kurwa!

- Ale na razie niczego jeszcze nie ustalili – ciągnęła Megan. - Tato uważa, że powinno się ciebie zamknąć. Mama mówi, że równie łatwo ty mógłbyś oskarżyć jego o napaść.

- Kłóć się?

Cisza.

- Przepraszam. To nie moja sprawa - powiedziałem. Zełgałem, bo kiedyś kochałem Josie, Tom Hanlon urabiał Dona, a ja wiedziałem, że to przeze mnie; ale oczywiście nie mogłem o tym powiedzieć Meg.

- Więc ja, Trish i Fonda pomyślałyśmy, żeby w sobotę skoczyć do Six Flags - powiedziała Megan tonem niewiniątka. - Ja to już załatwiłam z mamą i z tatuśkiem. Oni wykorzystają ten czas, żeby się sprzeczać o pieniądze i o to, czy cię wpakować do ciupy. Masz ochotę pójść z nami?

- Nie uważasz, że z kumpelami będziesz miała lepszą zabawę?

- Nie widziałam cię od kilku tygodni. A Trish... - bardzo starannie dobierała słowa. - Wiesz... niekiedy nie można na nich polegać. Powiedzmy, że nie przychodzą, kiedy myślisz, że przyjdą.

- Nic nie rozumiesz - powiedziała AJ, patrząca na mnie z okna.

Aaaa. Rozjaśniło mi się w głowie.

- Te twoje koleżanki... Czy one przypadkiem nie należą do dziewcząt, które, powiedzmy, okłamują rodziców, nie mówiąc im naprawdę dokąd idą? Kryjecie się wzajemnie? Taka mała konspiracja?

- Ta dzisiejsza młodzież... - odparła Megan. - To przerażające!

Trish i Fonda znikły już w czeluściach Six Flags, zanim tam dotarłem. Megan poinformowała mnie, że obie zostały dokładnie poinstruowane, co mają zeznawać w razie telefonu rodziców. Tymczasem my, to znaczy Megan, ja i AJ, daliśmy czadu wszystkim Sześciu Flagom, korzystając z tysiąca dolców od pani Ferris. Zamierzałem nimi spłacić mój szpitalny rachunek, ale... raz się żyje, do kurwy nędzy!

Był to cudowny dzień. Powietrze się nieco ochłodziło, jego wilgotność też trochę spadła. Don był w pracy i nie trzeba było się nim przejmować. Hanlon od kilku dni nie dawał znaku nieżycia. Najlepsze zaś było to, że moja córka nie przestała mnie lubić.

Zaczęliśmy od wielkiej kolejki na rolkach, Serial Thriller™. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy dotarliśmy na szczyt pierwszej pętli, przypomniałem sobie, że zwykle w tym miejscu szczałem w gacie z emocji. Megan kwiknęła radośnie, gdy zaczęliśmy opadać w dół. Ja ledwo dyszałem. Siedziałem, po prostu zaciskając palce na poręczach tak mocno, że niemal potrzaskały mi kostki. W końcu wagonik zatrzymał się na ostatniej prostej i Megan wyskoczyła jak rybka z akwarium. Ja z najwyższym trudem utrzymałem się na nogach, bo ugiwały się pode mną kolana.

- Okropecznie fajne! - stęknęła.

- Okropecznie! - zawtórowałem. - Powtórzmy to!

- Taeest, sir!

Przejechaliśmy się jeszcze raz, potem zaliczyliśmy Tekszańskie Tornado i Spadek do Lochu o głębokości 230 stóp. Wyobraźcie sobie popierdolonego inżyniera, który budzi się rano z myślą: „Wiem, co tym ludziom sprawi prawdziwą frajdę. Upadek z dachu dwudziestopiętrowego budynku!”. Stwierdziłem, że tego rodzaju myśli bardzo pomagają, gdy musisz wstrzymać się od wrzasku.

O jedenastej temperatura wzrosła do dziewięćdziesięciu kilku stopni. AJ i Megan zapragnęły zjechać z wodnej ślizgawki. Powoli wspięliśmy się na szczyt wieży, gdzie zatrzymaliśmy się na chwilę,

gapiąc się z góry na park Pomachałem dłonią, rozbryzując wodę wokół nas. Jasne krople we włosach Megan wyglądały jak odpryski słońca. Nasze siedzenia zaczęły chylić się w dół. AJ, która położyła się w wodzie obok nas niczym topielica, sięgnęła i musnęła koniuszkami palców moją dłoń.

- Wyobraź sobie - powiedziała - jakież by to było piękne, gdybyś wiedział, że patrzysz na to po raz ostatni.

Runęliśmy ku leżącemu daleko w dole betonowi. Z cementu wyłoniły się nasze twarze, które skoczyły ku nam i znikły w potężnym plusku i rozbryzgu wody. Wyglądałem pewnie jak zmokła kura, bo Megan spojrzała na mnie i parsknęła śmiechem, ja też zacząłem się śmiać.

Zamówiłem dla Megan koktajl mleczny, a potem kupiłem jej koszulkę Republiki Tekszańskiej. Megan chciała jeszcze, żebym jej kupił czerwone okulary przeciwsłoneczne, ale ja się ociągałem. Stała przede mną, opierając dłonie na biodrach.

- Czytaliśmy w jednej książce na lekcji angielskiego, że rodzice pewnej dziewczynki się rozwiedli i zaczęli rywalizować w, jak to tam określono, kupowaniu jej miłości.

- To znaczy?

- Postaraj się!

Kupiłem jej te okulary. Kiedy Megan je włożyła, AJ czekała na mnie w okrągłych ciemnych szklach.

Meg miała się spotkać z Trish i Fondą o 14.30 i zostać odwieziona spod domku mamy Fondy. Podczas drogi ku wyjściu zatrzymała nas i zmusiła mnie do kupienia baloników: jednego wielkiego w kształcie Tygryśka dla niej i drugiego, Kłapouszka, dla mnie.

- Niech każde z nas zapisze życzenie na kartce, przywiąże kartkę do sznurka i wypuści balon, a wtedy te życzenia się spełnią. - Powiedziała to tak, że zabrzmiało niemal jak pewnik.

Podeszliśmy do wejścia na parking i przystanęliśmy, pocąc się w gorącym powietrzu oblepiającym całe Houston. Megan wyjęła ołówek ze szwajcarskiego uniwersalnego wojskowego noża, który podarowałem jej na jedenaste urodziny. Wziąłem kilka papierowych chusteczek, żeby zapisać na nich życzenia. Usiłowałem wymyślić jakieś, ale nic mi nie przychodziło do głowy.

- Nic - powiedziała AJ. - Nic nie może być lepsze od tego popołudnia.

Megan skończyła i podała mi ołówek. Drżała mi dłoń. Udałem, że coś tam skrobię na odwrocie drugiej chusteczki. Potem zwinąłem niezapisany kartelusz i przywiązałem go do sznurka balonika.

Megan odcięła ciężarki naszych baloników.

- Raz, dwa, TRZY! - powiedziała.

Tygrysek i Kłapouchy frunęły w górę szybciej niż się spodziewałem, unoszeni ciepłymi prądami powietrza bijącymi znad rozgrzanego asfaltu. Na wysokości może stu stóp baloniki się rozdzieliły, kołysząc się na wietrze i ciągle przyspieszając, zaczęły wlatywać w różnych kierunkach. Długo staliśmy oboje na parkingu przed Six Flags i patrzyliśmy, jak nasze życzenia, coraz mniejsze, wzbijały się wyżej i wyżej, znikając w jasnym niebie.

Raz jeszcze błysnęły na wysokościach i przepadły.

Po powrocie do domu poszedłem nad Brass Bayou, Po południu pojawiły się chmury i zerwał się niespokojny wiatr. Ujęte w betonowe brzegi wody Bayou płynęły szybciej niż zwykle. W nurcie wisały wielkie plamiste zębacze, czekające na to, co nadpłynie z prądem. Obok mnie w mrocznej wodzie szło odbicie AJ.

- Dlaczego twój chłopak cię zabił? - zapytałem. – Co mu zrobiłaś?

To było dawno temu.

- Nie mówię, że postąpił słusznie. Ale nie zabija się kogoś za nic - powiedziałem. - Musiał być jakiś powód.

Zszedłem z asfaltowego chodnika i kucnąłem nad wodą. Poczulem ciepły zapach podobny do zapachu wody po zmyciu naczyń. Pomyślałem o tym, jak bardzo podobnie brzmi szum pożaru i odgłosy płynącej wody. Wyciągnąłem dłonie, jakbym chciał dotknąć odbicia AJ. Moje palce zawisły tuż nad powierzchnią wody. Wielkie zębacze zaczęły podpływać bliżej. Krążyły niespokojnie pod moimi palcami, otwierając i zamykając paszcze. Nieczyste. Poczulem wilgotne muśnięcia ich wąsów. Gul, gul... Bełkot wody.

- Musiałaś mu coś zrobić - powiedziałem.

Zaraz po tym, jak wróciliśmy do mieszkania, zadzwonił telefon.

- Will! Zgadnij, co się stało?

Josie. Moje głupie serce wywinęło kozła w piersi.

- Co znowu? - zapytałem. - Don coś wam zrobił? Wszystko w porządku?

Josie parsknęła śmiechem.

- Oczywiście. Tyle, że się wyprowadzamy. Nie zmieniamy domu, po prostu wynosimy się z Houston.

Słyszałem w tle telewizor. Megan oglądała „Simpsonów”. Moja córeczka.

- Ten kompan Dona z pracy zaproponował mi stanowisko menedżera w Santa Rosa, w Kalifornii. To gdzieś na północ od San Francisco. Mówi, że tam jest naprawdę pięknie, mnóstwo drzew i w ogóle... Rozmawiali o tym z Donem, żeby jeździć na kempingi. Teraz skombinował sobie wielką morską łódź. Wypływa na morze prawie w każdy weekend. Więc myślę, że to mu naprawdę dobrze robi. - Josie umilkła na chwilę. - Sęk w tym, Will, że ty musisz wyrazić pisemną zgodę na to, żebyśmy mogły wyjechać.

- Co takiego?

- Prawnik mówi, że tylko pod tym warunkiem będę mogła zabrać Megan z hrabstwa Harris.

- Zabrać Megan... - Ująłem słuchawkę bezprzewodowego aparatu w zgięcie łokcia, wyjąłem z fiolki w kuchni kilka tabletek Tylenolu i połknąłem je bez popijania. Utknęły mi w gardle jak kamyki. - Chryste, Josie! - *Nie, kurwa! Nie możesz wyjechać do Kalifornii! Jezusie, nie!*

AJ patrzyła na mnie ze smutkiem z okna. Moje mieszkanie było żałosne, jasna sprawa: jeden duży pokój i materac nawet bez łóżka ze sprężynami pod nim. Brudne ściany, których nigdy nie chciało mi się umyć. Można usprawiedliwić dwudziestolatka, który mieszka w takich warunkach, ale każdy mający ponad trzydziestkę i żyjący w taki sposób musi być popierdolony.

- Jak ty sobie wyobrażasz ten wyjazd? - Usiłowałem mówić spokojnie i bez paniki, na Jezusa, bez paniki w głosie! - Takie oddalenie od Megan zabije twoją matkę.

- Może nas odwiedzać. Will, wiem, że proszę cię o bardzo wielkie wyrzeczenie.

Wyobraziłem sobie Josie na linii autowej boiska otoczonego gigantycznymi sekwojami. Zebrani wokół podstarzali hipisowaci tatusiowie w barwnych, ręcznie malowanych podkoszulkach i z siwiejącymi czuprynymi związanymi w kucyki, dyskutujący zawzięcie z sędziami. W przerwie meczu wszyscy obżerają się zdrowymi kanapkami z masłem orzechowo-bananowym i plasterkami pomarańczy. Koński ogon Megan, która mknie do bramki, żeby strzelić decydującego gola.

- Wspaniale - mruknąłem.

- Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, byłem przygnębiona, ale wiem, że Donowi to dobrze zrobi.

Przypomniałem sobie, jak stałem obok Josie na pogrzebie jej ojca i jak jej obiecywałem, że nigdy nie wytnę takiego numeru, jak ten jej popierdolony tatko.

- Jak Don będzie szczęśliwy - ciągnęła Josie - to my z Megan też.

- Pewnie.

Przypomniałem sobie, jak siedzieliśmy o zmroku z Josie na tamtej plaży w Galveston. Łuk jej szyi i świadomość, że nigdy już jej nie pocałuję. Obrzydliwe uczucie ściskania w dołku. - Jak daleko stąd jest to Santa Rosa? Dwa tysiące mil?

- Will, ja go kocham. Wiem, że ty musisz myśleć o nim jak o popapranych, byłym zawodowym trepie, ale on taki nie jest. On jest naprawdę bystry. Jest... – chwila milczenia. - On nie zawsze walczy ze swoją naturą. Will. Nie poszło mu w życiu tak, jak chciał, Will.

- No, to rzeczywiście prawdziwy skarb.

Josie śmiejąca się w mroku i popijająca czerwone wino z kubka mojego termosu. *Will, chcę się rozwieść*. Twoje życie może nagle lec w gruzy ot tak, z niczego.

- Semper Fi - powiedziałem.

- Co mówisz?

Jestem duchem.

Jestem duchem.

- Co takiego? - zapytała Josie.

- Nic. Przepraszam. Myślałem o czymś innym.

Jakież to zabawne, jak diabelnie śmieszne, przez cały czas mówiłem, że nie będę wracał po śmierci. Żart polegał na tym, że już umarłem. Byłem martwy od dwunastu lat. Nie moje ciało - ono wciąż

było żywe. Ale pod każdym innym względem byłem tylko smugą dymku. Bezcielesny. Martwy.

- Will?

- Josie, ja nie mogę prowadzić samochodu. To jest ponad dwa tysiące mil, a ja nie mogę prowadzić. - Megan w przeciwsłonecznych okularach. Jej małe stopki klepiące o siedzenie autobusu. Nie będzie już żadnych więcej przejazdów. Wiesz, potrzebny mi jesteś do napisania listu. Megan stojąca obok mnie przy wejściu na parking pod Six Flags i patrząca za naszymi znikającymi w niebie balonikami. Mój poleciał bez żadnych życzeń. Baloniki unoszą się coraz wyżej i wyżej.

- Będę ją tu przysyłała. Może w wakacje da się jakoś przysłać ją tu na tydzień lub dwa.

- Don nigdy na to nie pozwoli. Dobrze o tym wiesz Zabierasz ją po to, żeby nigdy już jej nie zobaczył.

- Will...

Oczywiście była dzieckiem Dona. I zawsze nim była zawsze. On i Megan byli ostatecznie żywi. Nie możesz oczekiwać, że żywi będą lojalni wobec umarłych.

- Wspaniale, Josie. Fantastyczne, kurwa, wieści. Udało ci się. Jak już tam zamieszkacie, przyslij mi nowy adres. Albo nie przysyłaj, co mi tam. - Gadka nieboszczyka.

- Will? Will, to tak wiele będzie znaczyło dla... O, cholera! On tu idzie. Lepiej odłożę słuchawkę. Don nie lubi, jak z tobą rozmawiam. - Przerwała połączenie.

Przez chwilę słuchałem sygnału.

- Zegnaj - powiedziałem.

Wziąłem kopertę „Marmur” i wyjąłem płytę. „Radio Free Europe”, „Pilgrimage”, „Laughing”, „Talk About Passion”, „Moral Kiosk” i „Perfect Circle” – pierwsza połowa albumu - wbijają się w pamięć. Te piosenki są niesamowite i chodzą za tobą. Wspaniała muzyka na rozwód. Po tym, jak Josie mnie porzuciła, słuchałem ich dzień w dzień przynajmniej przez rok. Miłość do muzyki nie opuściła mnie nawet w kiepskich latach i podczas złych dni. Nie jest tak, że na niczym mi nie zależy.

Nagrana strona CD jest kręgiem doskonałym, lśniącym srebrzyście zwierciadłem z niewielkim otworem pośrodku. Od czasu wydania albumu „Marmur” moja twarz mocno się postarzała. Przerzedziły mi się włosy i moja krótko na jeża przycięta czupryna miała sporo srebrnych włosków, co nadawało jej miejscami barwę popiołu z cygara. Oczy miałem puste i podkrążone. Truposz Kennedy. Nigdy nie kochał kobiety dość mocno, żeby ją zabić.

Pomyślałem o leżącej na korytarzu AJ, usiłującej się odczołgać, żeby uniknąć trafienia drugą kulą swojego chłopaka. Teraz patrzyła na mnie uważnie z okiennej szyby. Za nią na rozległym niebem nad Houston zbierały się ciężkie chmury, coraz wyżej wznosząc swoje wieże i gmaszyska. Zastanawiałem się, co skłoniło jej chłopaka do zabójstwa.

- Kto był twoją pierwszą miłością? Powiedz prawdę lub podejmij wyzwanie.

- Wyzwanie - odparłem.

Z jakiegoś bliżej nieznanego mi powodu nigdy dotąd nie zniszczyłem cedeka, więc teraz zgiąłem „Marmur”, odchylając głowę w bok, żeby w razie czego nie dostać w twarz odłamkami. Nie chciałem, żeby któryś utkwiał mi w oku. Płyta wygięła się i pękła z zaskakująco głośnym trzaskiem. Nie był tak głośny, jak strzał z pistoletu, ale mimo wszystko nie spodziewałem się takiego hałasu. Dysk rozpadł się na sześć kawałków, dwa większe i cztery mniejsze, wielkości ostrza szwajcarskiego scyzoryka Megan. Duże kawałki były gładkie, ale mniejsze popękane jak odłamki szyb samochodowych po wypadku.

Połamane jeszcze kilka i wszystko odbywało się mniej więcej tak samo. Żadna płyta nie pękła na mniej niż trzy kawałki i tylko raz zostało więcej niż siedem: stara dobra kopia „Rum”, „Sodomy and the Lash” rozsypała się w deszcz odłamków. Pogues byli zespołem godnym zaufania.

Postanowiłem zabrać się do sprawy bardziej metodycznie i narzuciłem sobie porządek alfabetyczny. Kiedy po raz pierwszy rozciąłem sobie dłoń (Butthole Surfers, „Locust Abortion Technical”), pomyślałem o elastycznym bandażu, ale doszedłem szybko do wniosku, że nie warto. Kiedy dobrałem się do „Rain Dogs” Toma Waitsa, krew lała mi się już z obu dłoni, spływając po nadgarstkach i przedramionach. Zabawna sprawa, odczuwałem tę samą lekkość, jakiej doznałem, kiedy Josie powiedziała, że chce się ze mną rozwieść. To samo uczucie pustej ulgi, rozplywającej się z piersi i unoszącej mnie wyżej i wyżej.

Zadzwonił telefon. Przeszedłem do pokoju i sięgnąłem po słuchawkę.

- Nie odbieraj - powiedziała AJ.

Zawiesiłem dłoń.

Ding!

- Czas się zbierać - powiedziała łagodnie.

Ding!

Rozluźniłem palce, które zaczęły mi nieco sztywnieć od tych małych ranek i pokrywających je plastrów. Powinienem odebrać ten telefon.

- Czy jesteś samotny, Willu? - zapytała AJ.

Ding! - Za późno.

- Bo ja jestem - odpowiedziała.

Przeszedłem po trzeszczących mi pod nogami resztkach cedeków do łazienki. Otworzyłem zwierciadlane drzwi apteczki i sięgnąłem na górną półkę po fiolkę po aspirynie, w której trzymałem moją ślubną obrączkę. Otworzyłem po omacku dziecioodporną pokrywkę i wytrząsnąłem obrączkę na dłoń. Jak na taki drobiazg, była zaskakująco ciężka. Stanąwszy nad muszlą, otworzyłem dłoń i upuściłem obrączkę do miski. Brzęk-chlup! A potem spuściłem wodę.

W lustrze nad umywalką stała AJ w zbryzganej krwią koszulce i patrzyła na mnie. Łagodne spojrzenie. Moja pierwsza miłość.

- Strasznie wszystko spieprzyłem - zwróciłem się do niej. - Nawet nie wiesz, jak bardzo. Nie

dbałem o Josie, kiedy była ze mną, a potem ją znienawidziłem, kiedy odeszła. Uczepiłem się Megan jak pies jatki, prawdopodobnie po to, żeby w oczach dziewczynki robić wała z jej ojca. Straciłem dwanaście lat mojego życia dosłownie na nic.

AJ dotknęła dwoma palcami krwawych plam na swojej koszuli. Podniosła wilgotne ciemne opuszki palców do ust, ucałowała je i wyciągnęła ku mnie.

Wróciłem do pokoju. Szła ze mną; zakrwawiona bawełna migąła w potrzaskanych płytach leżących na moim materacu. Pasma czarnych włosów, jedno oko, dwa palce. Potem jej twarz, ponownie scalona w moim oknie, patrząca na mnie wzrokiem pełnym miłości.

Upewniłem się, że wszystkie okna są pozamykane. Odsunąłem kuchenkę od ściany i włączyłem gaz. Napełniłem wodą małą filiżankę i kucnąłem przed piecykiem. W mroku zamigotało światełko płomyka zapalarki. Chlusnąłem wodą i zgasłem ogień.

A potem włączyłem kuchenkę, piekarnik i palniki. Żadnego ognia, tylko równy stały strumień gazu. Następnie wróciłem do pokoju i położyłem się na materacu w moim jednopokojowym mieszkaniu, patrząc w okno. Odepchnąwszy połamane cedeki, spróbowałem ułożyć się wygodniej.

Mówią, że żadna miłość nie trwa wiecznie.

Czasami trwa.

ROZDZIAŁ X

Ten cholerny telefon wciąż dzwonił.

Ding!

Niech sobie dzwoni, myślałem leniwie. Bolała mnie głowa, a obrzmiały język ledwie mi się mieścił w ustach.

Ding!

To nie będzie Josie.

Ding!

To nie będzie Megan.

Ding!

To nie... no dobra, pieprzyć to.

Przelazłem przez materac, nadziewając się na odłamki potraskanych kompaktów, i podniosłem słuchawkę. - Kto tam, u diabła!

- Will! Nareszcie! Przez cały dzień usiłuję się do ciebie dodzwonić. Posłuchaj, mam do ciebie naprawdę wielką, wielką prośbę! Zgłosiłam się do programu teatralnego Grande Vista i teraz zapraszają mnie na przesłuchanie, tylko że to ma być w dzień, kiedy mama i tatko pracują. Czy byłbyś tak dobry i posiedział za mnie przy Vi? W piątek?

- Co? - W głowie dudniły mi tysiące młotów. - Czy to Fonteyne?

- To byłaby tylko godzina. No, góra dwie...

W pokoju śmierdziało gazem, a ja byłem otepiały jakby zamiast krwi w żyłach płynął mi syrop klonowy. I oczy - miałem coś z oczami. Wszystko było czarne i białe. Mój telefon, który miał cukierkową czerwoną barwę, kiedy go kupowałem, był teraz szary - miał szary korpus, szary przewód i szarą bezprzewodową słuchawkę. Pościel na moim materacu też była szara, zbryzgana drobnymi plamkami cienia, które musiały być moją krwią. Całe łóżko miałem zasypane odłamkami cedeków i ich plastikowych kopert. Ale wszystkie barwy na kartkach okładek były czarno-białe, jakby je przepuszczono przez pozbawioną możliwości kopiowania kolorów kserokopiarkę. Spojrzałem w okno. Stała tam AJ, tak blisko, że mógłbym ją pocałować, ale cały świat widoczny za nią: drzewa, budynki i niebo, wszystko zrobiło się czarno-białe. Na gałęzi za oknem siedziała martwa sójka i przechyliwszy łepkę spojrzała na mnie krytycznie. Szeleszczące na wietrze liście wokół niej były miękkie i jakby zwęglone.

- Will? Zatkaną cię czy co?

- Nie. Ale jakby. - Chryste! Jak na nieboszczyka, to strasznie mnie bolał łeb. - Poczekaj chwilkę.

Położyłem słuchawkę, nie przerywając połączenia, przelazłem na czworakach do okna i otworzyłem je, przypadkowo powodując zniknięcie ciała AJ, tak że teraz widać było tylko jej głowę nad dolną krawędzią ramy. Do mojego pokoju wdarł się powiew ostrego houstońskiego powietrza o zapachu

asfaltu z odrobiną ozonu. AJ zrobiła przestraszoną minę.

- Uważaj - powiedziała.

Patrzyła gdzieś za mnie. Odwróciłem się.

W mojej kuchni stał Tom Hanlon, poklepujący się po kieszeniach, jakby czegoś w nich szukał. Wszędzie śmierdziało gazem.

- Hej, stary! - odezwał się Hanlon. - Masz zapalniczki?

- Will? - zaskrzypiała słuchawka głosem Fonteyne.

- Ch... chwileczkę! - stęknąłem.

- Albo zapalniczkę? - dodał Hanlon. - Zapalniczka wystarczy.

Mijając Hanlona, poczłapałem do kuchenki i wyłączyłem palniki oraz piekarnik. Jezusie! Przypadkowa iskra w moim mieszkaniu i cały budynek byłby wyleciał w powietrze.

- Nie patrz tak na mnie - zachnął się Hanlon. - To nie ja ci kazałem włączyć gaz.

Spojrzałem na AJ, a potem na stos połamanych cedeków na moim łóżku. I na plamy krwi. Przypomniałem sobie syk gazu ulatniającego się z palników.

- Czy jesteś samotny, Willu - zapytała. - Bo ja tak. Zeszła z okna, migając ku mnie przez potrzaskane kompakty na moim łóżku: raz po raz widziałem to jasne oko, to ramię koszulki z nieco jaśniejszą plamą pod pachą, to jej dłoń przemykającą przez plastikową kopertę, w której kiedyś miałem starą płytę Joy Division.

- Nie porzucę cię, TK.

Zatrzęsło mnie z wściekłości. Wyobraziłem sobie wracającego do domu Lee, który zwęszyłby gaz i znalazłby mnie martwego w zasłanym odłamkami płyt mieszkaniu. Nie z takim duchem wygrano pierdoloną bitwę pod Stalingradem. Bo wtedy wyszłoby na to, że Josie przez cały czas miała rację. Stałaby nad moją trumną, patrząc, jak ktoś wrzuca ziemię łopatą do dołu, a obok niej stałby Don. A ona by powiedziała: - Dzięki Bogu że nie zostałam z nim. A wszystkie pieprzone mecze piłki nożnej, na które łąziłem i wszystkie prezenty pod choinkę, na które się siliłem, poszłyby jak psu w dupę.

- Will? - odezwała się Fonteyne. - Jesteś tam?

Podniosłem słuchawkę. - Tak, jestem.

- Przestraszyłeś mnie.

- Fonteyne, jasne, przypilnuję ci Vi - powiedziałem. Truposz Kennedy prędzej czy później będzie musiał coś z tym wszystkim zrobić. *Semper Fi*, dziecino, *Semper Fi*. - Posłuchaj, czy nie mogłabyś zadzwonić za kilka minut? Siedzisz w domu?

- Nie, jestem w Metropolita Opera. A gdzie miałabym siedzieć, pacanie?

- To świetnie, po prostu świetnie. Oddzwonię do ciebie.

- Will...

Przerwałem połączenie.

Boże, jak mnie bolał łeb! Od kilku dni prawie nie sypiałem. Całe ciało miałem gorące i poobijane.

Pieprzony administrator do tej pory nie naprawił klimatyzacji.

- Musisz wyrzucić na zewnątrz - powiedziała AJ. - TK, musisz się nauczyć widzieć w mroku.
- Pierdol się.

Hanlon ziewnął. Z jego gęby buchnęła fala gorąca. Otworzył szafkę i skrzywił się, widząc pustki na półkach. - Zaczynij się w końcu trochę szanować - powiedział. - Nigdy nie będziesz miał okazji do naprawy złego wrażenia, jakie wywarłeś za pierwszym razem. Jeżeli wyglądasz na przegranego niedorajdę, to ludzie cię uznają za przegranego niedorajdę. - Twarz Hanlona powlekła się cieniem. - A jak ludzie cię uznają za przegranego, to leżysz i kwiczysz. Już po tobie.

Mdliło mnie po przytruciu gazem i dławiło mnie w krtani tak, że prawie nie mogłem oddychać.

- Nie odebrałeś telefonu - powiedział Hanlon.
- O czym ty mówisz?
- O telefonie. Dzwonił, gdy próbowałeś się zabić.

Racja. Przypomniało mi się. Klęczałem na materacu, krew spływała mi po przedramionach. Telefon zadzwonił, a AJ powiedziała: *Nie odbieraj.*

- Powinieneś był go odebrać - mruknął Hanlon kryjący się w mroku. - To mogło być coś nowego. Coś, co powinieneś był usłyszeć. Coś, co powinieneś był usłyszeć dawno, dawno temu.

- Kto dzwonił? - zacząłem się bać.

Hanlon spojrzał na swoje dłonie i rozsunął palce. Umyślnie zwlekał z odpowiedzią.

- Muszę zajrzeć do domu Josie.
- Nie. Nie rób tego.

- Wiesz, tam jest facet, który właśnie otrzymał złe wieści - zauważył Hanlon. - Usłyszał coś, co sprawi mu wielki zawód. - Spojrzał na mnie z ukosa. - A jak opuścę mieszkanie Josie i Megan, zajrzę do tego miłego domku w Deer Park, żeby odwiedzić rodzinę. Mamuszkę, tatunię i tę twoją brzydką siostrzyczkę, Fonteyne. I ich dzieciaka... jak ona ma na imię? - Umilkł na chwilę. - Vi. Violetta. Ładne imię. Zawsze potrafiłem zapamiętać imię - powiedział. I zniknął.

W półmroku z trudem mogłem rozróżnić cyfry na ekraniku pamięci telefonu. Istotnie, nie odebrałem jednego telefonu. Dzwonił Don.

O, cholera! On tu idzie. Lepiej odłożę słuchawkę. Don nie lubi, jak z tobą rozmawiam.

Klik.

Ciarki mnie obleciały. Wyobraziłem sobie, jak Don patrzy na Josie, a ona odkłada słuchawkę. Trep udaje, że niewiele go to obchodzi. - Z kim rozmawiałaś, Josie? - Wie, że Josie potrafi oszukiwać. Wie o tym lepiej, niż ktokolwiek inny. Nie ufa się komuś, kto raz popełnił zdradę. Tak właśnie mógłby sobie pomyśleć.

Otworzyłem jeszcze kilka okien, usiłując pozbyć się gazu z mojego mieszkania. Czułem senność, byłem przestraszony i dudniło mi we łbie. *Wyobraź sobie, że ten człowiek ma broń...*

Lee był w pracy. Miało minąć kilka godzin, zanim wróci. Znalazłem zapasowy klucz do jego

mieszkania i wszedłem do środka. Frank mnie powitał, jakbym przyniósł mu żarcie. Odszukałem pudełko po butach, w którym Lee trzymał rozłożony na części pistolet Colt 45. Zabrałem je do mojej kuchni i wysypałem części na stół. Potem usiadłem i dość długo siedziałem bez ruchu.

Może Don dzwonił do mnie, żeby zakopać topór wojenny. W końcu potrzebował mojego podpisu, żeby wyjechać do Kalifornii i zacząć nowe cudowne życie. Może chodziło tylko o to.

Wiesz, tam jest facet, który właśnie otrzymał złe wieści.

Zabiję ich wszystkich, Will... Za to, że cię kochają.

- Naprawdę nie chciałbym usłyszeć żadnej z tych pierdoł - powiedziałem głośno. Mógłbym udawać, że niczego nie wiedziałem. Do kurwy nędzy, problemy Josie od dwunastu lat nie były już moimi problemami. Była już dużą dziewczynką, wybrała sobie łóżko i mogła w nim kłamać, tak jak kłamała w moim. Niełatwo byłoby znaleźć usprawiedliwienie pozostawienia Megan w domu ze stukniętym facetem, który ma broń.

Zacząłem grzebać wśród leżących na moim stole części czterdziestki piątki. Znalazłem prowadnicę, potem korpus, lufę i obejmę lufy. Sprężynę powrotną, blokadę prowadnicy, kołek mocujący sprężynę. Znow miałem pięć lat i w pokoju wuja Walta składałem łamigłówkę. Poczułem nikły zapach smarów.

Usiłowałem znow zobaczyć świat w kolorach, ale nic z tego nie wychodziło. Coś się stało z moimi oczami, jak wtedy, gdy dwa razy widziałem Josie w czerni i bieli. Tyle, że tym razem wszystko tak wyglądało. Tym razem cały świat był martwy.

Zadzwoiłem na komórkę Dona. Żadnej odpowiedzi. - Abonent ma wyłączony telefon albo jest poza zasięgiem. - Zadzwoiłem na telefon domowy. Nikt nie odebrał. Prawdopodobnie znalazłoby się jakieś proste wyjaśnienie.

Podnosząc magazynek pistoletu, zdziwiłem się, jak jest lekki. Wewnątrz tkwiło pięć nabojów. Przesunąłem po nim kciukiem; był mniejszy niż tabliczka czekoladek Hersheya i perforowany małymi dziurkami. Walt zawsze mówił, że kiedy AJ wyprowadziła się z domu, powinien był jej kupić pistolet. W pudełku po butach był klucz do zakręcania osady lufy. Zastanawiałem się przez chwilę, czy Lee wiedział, co to w ogóle jest i do czego służy. Chyba nie miał o tym pojęcia. Ot, kolejna część dość kłopotliwego prezentu tatki. Mój przyjaciel miał pozostać w pracy jeszcze przez kilka godzin. Gdybym wziął pistolet, pewnie bym zdążył pojechać do Woodland i wrócić, zanim Lee by się połapał, że pożyczyłem sobie jego broń. Mógłbym się upewnić, czy Josie i Megan nic nie jest - i nikt o niczym nie byłby się dowiedział.

Bardzo łatwo jest wyczyścić Colta 45. Tak go zaprojektowano. Jeżeli planujesz coś, czemu powinien podołać każdy biedny skurwysyn służący w Siłach Zbrojnych Stanów Zjednoczonych, powinienes poprzeczkę ustawić naprawdę nisko.

Powietrze w Houston jest jak oliwa do czyszczenia broni, wilgotne, lepkie i śmierdzi metalem. Wszystko, co nie jest zamknięte i osłonięte, pokrywa się tu brudem, który w niczym nie przypomina kurzu spotykanego gdziekolwiek indziej. Wyobraźcie sobie sproszkowany żużel i olej do motorów,

rozproszone w delikatną czarną mgiełkę tak, że możesz opylić tym wszystko, co leży na otwartej przestrzeni; każdy papierowy ręcznik, którym zechcesz cokolwiek wytrzeć, powleka się czernią. Na częściach starej broni mnóstwo było tego gówna, czyszcząc wszystko szmatką, zastanawiałem się, co powinienem zrobić.

Wyglądało na to, że Lee nigdy nie złożył pistoletu w całość; powinien był go od czasu do czasu przeczyścić, choćby ze względu na szacunek dla ojca, który kochał tę broń.

Zacząłem wybierać części, usiłując złożyć broń. Nie było istotne to, że widziałem tylko czerń i biel, ale ciężko było zacząć, ponieważ patrzyłem na nie oczami trzydziestodwulatka z drugiej strony życia. Wiedziałem, że powinienem osadzić lufę w osłonie zamka, a zamek połączyć z korpusem, wsuwając go w prowadnicę. Wetknąć magazynek w kolbę. Przez moją obolałą głowę błyskawicznie przemykały różne myśli. Niełatwo było pozbyć się wizji Josie z rozdartą bluzką i skórą pokrytą plamami czerni. Niełatwo było przegnać precz wizerunek Megan ze strumyczkiem krwi sączącym się z kącika ust. Będzie usiłowała się ukryć w sypialni. Tam właśnie ją znajdę.

Wziąwszy się w garść, złożyłem cały zamek, z lufą, sprężyną powrotną i tak dalej. Czułem, że z każdym oczyszczonym elementem ścieram kilka lat mojego życia. Odsloniłem muszkę i moje ręce zaczęły poruszać się pewniej, jak w tych latach, kiedy bijałem się z marines po rozmaitych barach i spotykałem miłego glinę opychającego się sałatką z arugulą. Osadziłem na miejscu oś sprężyny głównej, czepiec sprężyny i urządzenie spustowe, wracając do końca mojego małżeństwa. Zerknąłem wzdłuż lufy, patrząc przez szczerbinę i muszkę na moje wesele.

Jeżeli Don będzie w domu i zacznie się strzelanina, sprawy przyjmą kiepski obrót. Musiałem wziąć tę możliwość pod uwagę. Nawet jeżeli nie stanę się bohaterem jednego z tych czarno-białych jutrzejszych nekrologów, nawet jeżeli zdążę go zabić, zanim on zabije mnie, znajdę się na prostej drodze do Huntsville bez biletu powrotnego. Przypomniałem sobie list, który dostałem od jednego z więźniów siedzących w Huntsville i to, jak Lee przeczytał mi go, prosząc o napisanie naprawdę bardzo, ale to bardzo uprzejmej odpowiedzi.

Zatyczka prowadnicy, osada kurka, oś kurka i kurek. Trzask, klik i gotowe.

Pistolet Colt 1911A kaliber 45 otrzymał swoją nazwę od roku, w którym ten model zaczęto produkować. Zadziwiające, jak niewiele poprawek wprowadzono od tego czasu. Dobra i niezawodna broń, jak mawiał wujek Walt. Broń podstawowego wyposażenia. Oczywiście do takiego właśnie celu została zaprojektowana.

Cofając się jeszcze głębiej w otchłań czasu, przypomniałem sobie, jak AJ pokazała mi stos numerów „Playboya”, które znalazła w szafce swojego tatki. Były ukryte za skrzynką z narzędziami, w której wuj Walt trzymał swojego gnata. - A oto niezwykle duże piersi - mówiła tonem nauczycielki. - Nie gap się tak, TK. Jesteś za młody - powiedziała z irytującym uśmiechem. Miałem wtedy dwanaście lat.

Złożyłem mechanizm spustowy, osadziłem go w korpusie, cofnąłem zamek i go zatrzaskałem. Na końcu wziąłem magazynek z pięcioma nabojami - powinno wystarczyć - i wsunąłem go w kolbę.

Usiadłem wygodniej, szczęśliwy jak pięciolatek przepojony niczym niezmaconą radością wypływającą z satysfakcji, jaką było oczyszczenie i złożenie mechanizmu w funkcjonalną całość.

A potem zadzwoniłem po taksówkę.

Odkładając słuchawkę, przypomniałem sobie, że przecież nie mam żadnej gotówki. Wróciłem więc do mieszkania Lee i przeszukałem jego ubrania. Znalazłem w sumie dwadzieścia dwa dolary i siedemdziesiąt trzy centy drobnymi.

Choć wieczór był gorący, włożyłem marynarkę podszytą haczykami, bo potrzebowałem czegoś z kieszeniami, w których mógłbym ukryć pistolet. Potem zszedłem po schodach na dół i stanąłem przy krawężniku, czekając na samochód. Bursztynowe światła nad ulicą też stały się czarno-białe, siejąc z góry mocną, szarą poświatę. Potem spadły pierwsze krople ciepłego deszczu.

Podjechała moja taksówka. Powinna być żółta, ale wpisała się w martwy świat. Wyposażenie wnętrza było w odcieniach szarości. Każde pasmo miało inne nasycenie, od spłowiałych siedzeń do głęboko ciemnych, wyglądających na plamy wilgoci obejm, w których osadzono pasy bezpieczeństwa.

W czerni i bieli moje oczy widziały wszystko bardzo wyraziście. Widziałem wgniecenia od klamer na pasach, zgnieciony plastikowy kubek, szczecinę na policzku kierowcy, wszystko odciskało się we mnie, jakbym był z wosku. Czarno-biały świat był piękniejszy od barwnego.

Cholernie bolała mnie głowa.

Kierowcą był pyzaty czarno-biały Pakistańczyk o imieniu Abdul, który lubił wygłaszać zdecydowane opinie i miał na karku pozew sądowy byłej żony. Wymieniliśmy wyrazy współczucia. Od mojego mieszkania przejazd do Woodland to jakieś czterdzieści pięć minut - dolar za minutę. Kazałem mu się zatrzymać o jeden blok przed domkiem Josie, żeby nie wiedział, dokąd zmierzam i, podając mu moje 22,73, stwierdziłem oziębło: - Mam tylko tyle. Przykro mi.

- Dopiero będzie ci przykro, skurwielu! Zapłacisz co do centa, popaprańcu albo zostaniesz w wozie, a ja podjadę na najbliższy posterunek!

- Przykro mi, nie mogę. To sprawa życia i śmierci.

Sięgnąłem po klamkę, on ruszył z miejsca, więc musiałem wyciągnąć gnata.

- Mam jeszcze tę spluwę - dodałem.

Abdul zatrzymał wóz i spojrzał na mnie jak człowiek głęboko zraniony w swoich uczuciach.

- A tak dobrze nam się gadało.

Przeprosiłem go ponownie, on jednak nie zwrócił na to uwagi.

- Chcę powiedzieć, że ja też mam kopyto, to przecież pierdolona Ameryka, nie? - dodał, a ja zrozumiałem, że on nie żartuje: lewą dłonią ujmował kierownicę, ale w prawej trzymał coś, co wyglądało jak kieszonkowa armata; był to jakiś rewolwer jak z filmu o Dzikim Zachodzie, Colt Peacemaker z lufą długości mojego przedramienia i o kalibrze kuli bilardowej. Abdul wymachiwał nią z ponurą miną i nastroju, jaki ogarnął cały świat. - Znaczy, spróbuj mnie pierdolnąć, to zrobię w tobie dziurę, przez którą będziesz mógł sobie wrzucić głowę do dupy - powiedział melancholijnie - ale to naprawdę sieprzy nam

obu cały dzień.

W przednią szybę uderzyła kropla deszczu. W sekundę później spadła druga, a potem lunęło na całego. Abdul kciukiem odsunął bezpiecznik, ale w końcu potrząsnął głową.

- Zrobimy tak. Ja ci dam moją wizytówkę, a ty mi zapłacisz za kurs, plus dziesięć dolców jako grzywnę za wymachiwanie bronią. - Lufa jego rewolweru przesunęła się po mojej piersi, gdy dla podkreślenia stanowczości wypowiedzi przechylił się ku mnie nad oparciem. - Chryste! Nie możesz liczyć na to, że jak zagroisz spluwą, to każdy pęknie!

Wziąłem wizytówkę. Miał piękne pulchne palce o wypiełgnowanych, krótko przyciętych paznokciach. - Zgoda - powiedziałem. Naprawdę zdążyłem go polubić. - Dzięki. I raz jeszcze przepraszam.

Spojrzał na mnie ze smutkiem w oczach. - A tak przyjemnie nam się gawędziło.

Wysiadłem z taksówki, wetknąłem jego wizytówkę do tylnej kieszeni i przez chwilę stałem, patrząc jak odjeżdża; wciąż potrząsał głową, rozmyślając o wrednych niespodziankach, na jakie możesz się natknąć na tym świecie. Potem odetchnąłem głęboko i zacząłem bieg przez deszcz. Miałem nadzieję, że zdążyłem; miałem nadzieję, że nie straciłem szansy uczynienia dla Megan czegoś dobrego, siedząc w moim pokoju i zastanawiając się, co robić.

Gnałem po chodniku smagany deszczem. Zalewał mi oczy i sprawiał, że marynarka lepiała mi się do ramion i łokci. Pistolet w kieszeni uderzał boleśnie w moje biodro. Nie mogłem zapomnieć o wizji rozstrzelanej Josie. Strasznie mnie to wkurwiało, miałem trzydzieści dwa lata i wciąż musiałem się troszczyć o tę popierdoloną kobietę. Wolałbym, żeby mnie nie odwiedziła w szpitalu. Wolałbym nie widzieć tego, jak jej twarz nagle robi się czarno-biała. Dużo łatwiej byłoby uwierzyć w to, że wszystko skończy się szczęśliwie. Ale na miłość boską, nie każde zakończenie jest szczęśliwe. Takie już jest to życie w realnym świecie. *Jest fontanną pełną krwi.*

W salonie Josie świeciła lampa. Przez wielkie frontowe okna na dziedziniec przed domem sączyło się martwe światło. Chciałbym, żeby moje oczy działały jak należy. Podbiegłem chodnikiem i zadzwoniłem do drzwi wejściowych. Serce waliło mi tak, że czułem ból w piersiach. W końcu drzwi się otworzyły i stanęła w nich Josie w dżinsach i podkoszulku. Nie umiałbym powiedzieć czy była żywa, czy martwa. Pomiedzy nami było tylko szkło i druty we wzmocnionej nimi szybie. Stała tak blisko, że mógłbym ją pocałować.

Ujrawszy mnie zrobiła zaskoczoną minę. Mój widok bynajmniej jej nie uszczęśliwił.

- Will? Co ty tu robisz?

W oknie salonu zobaczyłem AJ, która potrząsała głową. Wyglądała na przestraszoną. Ponownie pomyślałem o tym jej przyjacielu. Na swój sposób musiał ją kochać. Nikogo nie zabija się ot tak, chyba że bardzo go kochasz.

Sięgnąłem dłonią do kieszeni i wyciągnąłem pistolet.

- O Jezu! - westchnęła Josie.

Hanlon stał tuż za mną. - Zrób to, powiedział.

A ja pomyślałem, że mógłbym to zrobić.

I wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że niektórych ludzi duchy nawiedzają nie bez naprawdę ważnych powodów.

ROZDZIAŁ XI

Na zewnątrz domu było gorąco i ciemno. Godzina może dziewiąta. Padał deszcz, padał deszcz. W rynsztokach płynęła woda ze smugami oleju. Woodland jest obsadzone drzewami iglastymi, najczęściej widzi się tu świerki i szkockie jodły; w nabrzmiewającym mroku deszcz i upał przynosiły nikły zapach żywicy.

Byłem zaskakująco czujny i spokojny, jak zaciekawiony widz, który obserwuje całą scenę zza szklanej płyty. A można było zobaczyć wiele rzeczy. Na przykład mnie stojącego z automatycznym coltem, który dziadunio Lee miał przy sobie podczas bitwy w Ardenach. Była to dobra, niezawodna broń. Za mną stał Tom Hanlon, śmierdzący benzyną i przypalonym mięsem. Miał jakby zniecierpliwioną minę. Nasza kuzynka AJ patrzyła z okna salonu domku Dona i Josie. Pierś AJ pokryta była krwią; dziewczyna wyglądała na bardzo przybitą i zasmuconą. I oczywiście w drzwiach stała Josie, jedyna kobieta, którą kochałem dostatecznie mocno, żeby ją zabić.

To ja byłem facetem, którego Hanlon chciał podbechtać do zabójstwa Josie. Nie Don. Przypomniawszy sobie wszystko, doszedłem do wniosku, że od samego początku do tego właśnie zmierzał. Weźmy na przykład rozgoryczonego człowieka, którego akurat spławiono, mówił Hanlon. I takiemu człowiekowi przychodzi do głowy, że jego żona robiła go w jajo. I wyobraź sobie, że on ma broń.

Choć jako żywa Josie wyglądała dobrze, lepiej jej było w czerni i bieli. Twarze ludzi robią się z wiekiem obwisłe; lata opadają na nie, jak słodki puder na babcine ciasto Strach jednak starł te lata z twarzy Josie. Dobrze było zobaczyć ją tak spiętą i czujną, przypomnieć sobie, że jej brwi były nisko osadzone, więc nawet rozluźniona wyglądała poważnie albo tak, jakby za moment miała je zmarszczyć z dezaprobatą. Wciąż miała te sześć pierścieni w lewym uchu i niemal do bólu w opuszkach palców zatęskniłem za ich dotknięciem, przypominając sobie, jak dobrze było dotykać tych krążków, gdy zmęczona miłością i senna leżała obok mnie. Były jakby sprężyną uwalniającą diablika z pudełka. Choćbyśmy byli nie wiedzieć jak zdołowani, Josie nigdy nie zniżyłaby się do sypiania na materacu rzuconym niedbale na podłogę. Doznałem wielkiego przypływu czułości dla niej; miłą, odległą sympatię, jaką czujesz dla kogoś, kto dawno już umarł.

Przez cały ten czas studiowałem wzrokiem twarz martwej Josie; ale jej korpus stanowił większy cel i w niego właśnie wycelowałem. Krew wciąż miałem zgęstniałą od gazu w moim mieszkaniu. Czułem się tak, jakby tysiące młotów waliło mnie w skronie, ale colt leżał w mojej dłoni lekko i pewnie, a ta dłoń w ogóle nie drżała. Była nieruchoma jak skała. Czułem, że mogę tak trzymać ten pistolet przez całą wieczność.

- Will? - powiedziała Josie.

Zniecierpliwiony Hanlon zmienił za mną pozycję, owiewając mnie żarem, jak powiew żaru znad palnika kuchenki. - Zrób to, TK.

Nie byłem jeszcze gotów. - Don jest w domu?

Josie zwilżyła wargi językiem. - Tak, jest w warsztacie.

- Kłamiesz - powiedziałem. - Myślisz, że nie wiem, jak wyglądasz, kiedy kłamiesz? Wyszedł. Polazł gdzieś z kumplami, żeby świętować nowe stanowisko. Cieszy się na tę pracę w Północnej Kalifornii. - Stojąca w oknie salonu AJ patrzyła na mnie ze smutkiem w oczach, ale ja w ogóle się tym nie przejmowałem. Czułem się doskonale. Byłem spięty, jak skóra na bębnie. I czujny. - No, jazda, Josie. Jeżeli jest w warsztacie, zawołaj go. No, zawołaj.

- Will - powiedziała. - Proszę cię.

- No, zawołaj go, do kurwy nędzy!

Nie odezwała się.

- Nie powinnaś była mnie okłamywać - powiedziałem.

- Rozmawiałam dziś z twoją mamą - odezwała się po chwili Josie. - Powiedziała mi, co zrobiłeś dla wuja Walta. - Patrzyła niby na mnie, ale jej oczy wciąż wracały do pistoletu, jakby przyciągane jego magnetyczną siłą.

- No dalej, TK - warknął zniecierpliwiony Hanlon. - Na co czekasz? Nie kochasz jej może?

Kochałem. Wciąż ją kochałem. Chciałem przestać, ale nie mogłem. Tego właśnie w sobie nienawidziłem. Te pierdolone haczyki wciąż we mnie siedziały i przez całe życie będę kochał tę kobietę, choćby to nie wiem jak bolało. Odejdzie albo umrze, ale to nic nie pomoże, ból się nie zmniejszy, bo nie mogłem przestać jej kochać. Zawsze będę wierny temu uczuciu. Co to za pieprzony układ? Dlaczego nie mogę się zdobyć na nic innego? Wszyscy inni żyją w kolorze. Zmieniają się. Zapominają. Ale my, martwi - pamiętamy. Wiemy, co wiemy i nigdy nie zapominamy.

Semper Fi.

- Przerażasz mnie, Will - powiedziała Josie. *Will, chcę się rozwieść.*

- Porzuciłaś swoją pierwszą miłość - powiedziałem. Z dziury na mojej piersi wypłynął strumyczek potu i pociągnął w dół. Po raz pierwszy poczułem tchnienie spokoju. - Pieprzyłaś się z Donem przed naszym rozwodem, prawda?

- Uwierzysz w to, co powiem?

- Prawdopodobnie nie.

- Więc myślę, że oboje siedzimy po uszy w gównie - powiedziała Josie. - Chcę powiedzieć, że zamierzasz mnie tu zastrzelić, nieważne, co powiem, prawda?

- Jeżeli choć piśniesz, zastrzelę cię - zagroziłem. - Jeżeli zaczniesz kombinować, udawać, że zraniłem twoje uczucia albo - uchowaj Boże! - udasz oburzenie, zastrzelę cię, kurwa, tam, gdzie stoisz.

Mój spokojny sobowtór, ten który obserwował wszystko zza szklanej szyby, zdziwił się nawet, słysząc, że te słowa wychodzą z moich ust. A jednak naprawdę zamierzałem tak właśnie postąpić. Ze spokojnej pewności, z jaką trzymałem broń wnosił, że nie zamierzałem pogodzić się z żadnym gównianym wykrętem, jakim by mnie poczęstowała. Nie pogodzę się z najmarniejszym choćby

kłamstwem. Nie po tym wszystkim.

Coś się poruszyło w oknie saloniku. AJ dotknęła palcami zakrwawionej koszulki, uniosła wilgotne opuszki i nakreśliła na szkle słowo NIE.

- Już ci nie ufam - powiedziałem.

Josie zobaczyła, że patrzę w okienną szybę i zapytała, do kogo mówię, ale zostawiłem to pytanie bez odpowiedzi.

- Mógłbym powiedzieć twoim starym, gdzie mogliby znaleźć twoje pigułki antykoncepcyjne albo prochy, ale nigdy na ciebie nie donosiłem. Nigdy nie powiedziałem na ciebie złego słowa.

- Dziwka - dodał Hanlon.

AJ spojrzała wreszcie i na niego. *Hej, proszę pana*, warknęła. Jej miła twarz nagle przybrała przerażający wyraz. A głos zrobił się mroczny i burkliwy, jak brudna woda płynąca ściekami. *Mógłby mnie pan podwieźć?*

Hanlon odskoczył w tył. Widać było płomyki tańczące w jego szeroko otwartych, przestraszonych oczach. Przypomniałem sobie martwą dziewczynę w jego garażu i jej zakneblowane usta.

Ja cię, kurwa, podwiozę, powiedziała AJ z furią w głosie.

- To Hanlon. Jest gdzieś tutaj, prawda? - powiedziała Josie. - Jest gdzieś tutaj i każe ci robić pewne rzeczy, ale to on jest zabójcą, Will. Nie ty. Pomyśl o tamtej dziewczynie. Związał ją i pobił na śmierć, tak mówiłeś, Will.

- Pieprzyła się z kim popadnie - odparłem. Łeb bolał mnie tak bardzo, że miałem ochotę się rozplakać. Wciąż mi łomotało w skroniach. Czuję się nieco zbity z tropu. - Ufał jej. Był nikim, a ona sprawiła, że poczuł się kimś, ale to wszystko było kłamstwem.

Z jakiegoś powodu moja ręka zaczęła się trząść.

- Zrób to! - syknął Hanlon.

Ja jednak popatrzyłem na Josie, a potem na AJ. Przypomniałem sobie, jak AJ zabrała mnie w odwiedziny do tej jej koleżanki w szpitalu. Dziewczyny, która się załamała i nigdy nie da się tego naprawić. Przypomniałem sobie te białe plastikowe bransoletki na jej nadgarstkach. Przypomniałem sobie, jak AJ mówiła mi w windzie: *...któregoś dnia to ty się zamkniesz z jakąś dziewczyną w ciasnym pokoiku. Więc nie bądź kutasem.*

Ni z tego, ni z owego zacząłem się zastanawiać, jakby to było, gdybym zastrzelił AJ zamiast Josie. Wyobraziłem sobie, jak okno rozpryskuje się na setki kawałeczków i AJ rozpada się na ułamki. Wszystkie lecą twarzą w dół na piękne drewniane klepki podłogi w salonie Josie. Znikają dwie brzydkie plamy krwi na jej piersi. Zostają tylko dwie niewielkie dziurki w jej plecach. Zastanawiałem się, jaki numer wycięła swemu chłopakowi, że zrobił jej coś takiego.

Gdzieś na górze rozległ się głos Megan: - Mamo? Kto przyszedł?

To było tak, jakby w pierś Josie uderzyła kula. Zobaczyłem, jak jej twarz umiera. - Nikt - odpowiedziała. Głos ją zdradził, bo się załamywał. Musiała tak mówić tego dnia, kiedy znalazła ojca w

toalecie z igłą sterczącą mu z ramienia.

Chciałem powiedzieć: „Każ Megan przyjść tu na dół”, ale nagle zacząłem drżeć. Osobliwie trzęsła mi się ręka. A na jej końcu był ten pistolet. Coś się wydobywało z mojej głębi, wrywało się naprawdę szybko. Jakby jakaś straszna kula rozdzierała mnie na strzępy, przebijając się przez moje flaki, rozdzierając mu żebra i wiedziałem, że jak dotrze do głowy, to umrę. Zobaczyłem leżącą na podłodze zamordowaną Josie z dwoma czerwonymi kwiatami na piersi. Taka piękna. Na końcu mojej ręki był pistolet.

- Zrób to! - wrzasnął Hanlon. - Zrób to! Na miłość boską, czy ty jej nie kochasz? Nie umiesz nikogo pokochać?

- Mamo, czy to Will?

- Nie możesz pozwolić, żeby Megan to zobaczyła - powiedziała Josie.

Broń w mojej dłoni pochyliła się w dół. *Oto ten moment*, powiedziała AJ. *Prawda lub wyzwanie*.

Szkło dzielące mnie ode mnie i tego, co robiłem, rozleciało się gwałtownie na drobne odłamki i nagle poczułem się jak mój dziadek Jay Paul, który stał przy oknie, gdy eksplodował „Grandcamp” i przeszło go tysiące szklanych igieł. *Tacy właśnie są mężczyźni. Jay Paul był taki wredny, i nawet nie wiedział, że jest stuknięty.*

- O Boże! - szepnąłem. - Josie, ja przyszedłem cię zabić! Spojrzałem na nią przerażony. - Chciałem cię zabić od tej chwili, kiedy przyszedł do szpitala. Dlatego zobaczyłem cię na czarno i biało. O mój Boże!

Zniszczenie. Zniszczenie.

- Tak bardzo cię kochałem - wyznałem. Sam byłem tym zaskoczony. Dopiero teraz, gdy było już za późno, zacząłem wszystko rozumieć, teraz, gdy przekroczyłem linię, spoza której nie da się już wrócić. Spojrzałem na wciąż tkwiący w mojej dłoni pistolet. Nie byłem zwykłym pechowcem. Byłem potworem. Zaprzagnąłem umrzeć.

Wszystko bym oddał za drugą szansę. Gdyby można było cofnąć czas o godzinę albo miesiąc, a jeszcze lepiej o trzynaście lat. Gdybym znów stał się dziewiętnastolatkiem, mógłbym wszystko naprawić. Wiedząc to co wiem teraz, byłbym bez porównania lepszym mężem czy ojcem. Może nie byłbym ideałem, ale dostatecznie dobrym. To byłoby takie łatwe.

Ale w życiu coś takiego się nie zdarza. Nigdy nie będziesz miał szansy, by ponownie wywrzeć korzystne wrażenie. W okamgnieniu sprzedałbym duszę i byłbym zrobił wszystko, żeby cofnąć się do czasu, zanim zawiódłem Megan i Josie, mamę, Paris i Fonteyne - wszystkich... Zanim wszystkich odtrąciłem i porzuciłem. Ale nie było już odwrotu, nie było niczego, prócz uwięzienia w przyszłości, w której wszystko zniszczyłem, i tak już miało zostać. Na zawsze.

- Cyt - powiedziała AJ. - W porządku, TK. Wyjdiesz z tego.

Hanlon chwycił mnie za nadgarstek i ponownie skierował broń w pierś Josie. - Zrób to, Will!

I chciałem to zrobić. Chciałem, żeby na bluzce Josie zakwitły krwawe kwiaty; chciałem ją

zapytać, dlaczego już mnie nie kocha i czekać przez całą wieczność na jej odpowiedź. Zawsze, zawsze i zawsze...

Zamiast tego wyrwałem pistolet z uścisku Hanlona i skierowałem lufę w ziemię. Byłem cholernym Zamaskowanym Krzyżowcem, a obrońcy dobra nie zabijają spokojnych ludzi. Bo nigdy, nigdy nie porzuciłem mojej pierwszej miłości - i jakkolwiek głupie mogłoby się to komuś wydawać, za cholerę nie miałem ochoty psucia zapisu swoich życiowych osiągnięć morderstwem Josie. Bo nie byłem Tomem Hanlonem. Bo nie byłem chłopakiem AJ. Nie byłem martwy, jeszcze nie...

Hanlon westchnął ponuro i kopnął ziemię swoim płonącym butem od Florsheima. - TK, na miłość boską - stwierdził tonem oskarżenia - nawet mając na sprzedaż idealny towar, musisz jednak zawalić transakcję.

Kroki Megan schodzącej w dół po schodach.

- Musisz pozbyć się tej broni i to już! - powiedziała Josie. W moim świecie znów pojawiły się pierwsze strzępy barw: jedno z oczu pośrodku białej twarzy Josie ponownie stało się błękitne i popłynęły zeń łzy. - Will, ona nie może tego zobaczyć.

Cisnąłem pistolet w klomb pod oknem salonu. Widoczna w oknie AJ odetchnęła z ulgą.

- Mamo, czemu mi po prostu nie powiesz, kto przyszedł? - zapytała Megan, schodząc ze schodów i patrząc gniewnie na Josie. Potem zobaczyła mnie. - Jezu Chryste, Will! Co ty tu robisz? Jak Don tu wróci, będziesz miał kłopoty.

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć.

Megan spojrzała na mnie krytycznie. - Upiłeś się?

- Nie, jeszcze nie - odpowiedziałem. I puściłem pawia.

- Fantastycznie - powiedziała Megan. - Do tego jeszcze się zalał! Pójdę po jakąś ścierkę.

Kiedy wreszcie przestały mną targać torsje, wytarłem usta rękawem marynarki. Czułem się wewnątrz pokaleczony i pusty. Deszcz ustał i wokół nas zamknęła się gorąca noc. Znów zacząłem dostrzegać niektóre kolory Wszystko, na co patrzyłem wprost, było czarno-białe, ale na brzegach mojego pola widzenia zaczęły pojawiać się barwy: żółta koszulka Megan i czerwień liter na oknie na którym AJ pisała krwią NIE.

Nie.

Nie.

Nie.

Miałem dwanaście lat, kiedy w Houston uderzył huragan Alicja i oczywiście pomyślałem, że to fantastyczne wydarzenie - pamiętam głównie zaklejanie okien na krzyż pasmami przezroczystej taśmy samoprzylepnej i pakowanie dodatkowych kostek lodu do zamrażarki. Tato wyjął materace z małżeńskiego łóżka i spróbował zrobić z nich osłony dla dzieciaków, wykładając nimi ściany korytarza,

żebyśmy mieli jaką taką ochronę przed spadającymi odłamkami, gdyby wichura uniosła dach naszego domku. Mnie powierzono zadanie dopilnowania, żeby siostry nie zrobiły czegoś głupiego i doskonale pamiętam, kiedy wreszcie zaczęły chrapać. Wiem, że wiatr był bardzo silny, była też nielicha ulewa, ale najlepiej pamiętam wygląd ulic następnego dnia, kiedy wykradłem się z domu, żeby pomyszkować po sąsiedztwie. Wszędzie pełno było połamanych gałęzi drzew, a wszystkie palmy miały ogolone łby, z których sterczały tylko jakby drzewce oszczepów. Mnóstwo odłamków szkła. Wszechobecny smród błocka. Na sąsiedzkim trawniku leżał przewrócony kamper Winnebago, na którym usiadło kilka ponurych białych czapli. Później miasto miało się odezwać jękami syren i odgłosami ciężko pracujących pił łańcuchowych, ale rankiem nigdzie nie było widać poruszających się samochodów i świat otuliła dziwna, niesamowita cisza.

Tak właśnie się poczułem: jak kawałek śmiecia porzucony na trawniku Josie. Połamany od środka. Niesamowicie spokojny.

Megan zeskoczyła z ganku i podała mi mokrą szmatę. Jako tako się oczyściłem i doprowadziłem do porządku. Z moich ust ulotnił się wreszcie posmak gazu. Poczułem się zmęczony, ale czysty.

- Przepraszam za to całe zamieszanie - zwróciłem się do Josie. - Byłem chory, naprawdę chory. Posłuchaj, jak masz te papiery, to ja je podpiszę. Te w sprawie wyjazdu Megan z hrabstwa Harris. To chyba niezły pomysł - dodałem.

- Myślę, że musisz to zrobić w obecności notariusza.

- Naprawdę?

- Tak myślę.

Megan wzięła ode mnie ręcznik, trzymając go niezręcznie za jeden róg. - Musisz się stąd wynieść, zanim wróci tatko.

- Tak. Posłuchaj, mała, muszę przez chwilę porozmawiać z twoją mamą na osobności.

Megan spojrzała na mnie z urazą. - Pięknie. Ja mam zanieść szmatę z twoimi rzygowinami do pralni? Czemu nie? - Odwróciła się i godnie wmaszerowała do domku.

Spojrzałem na Josie. - Muszę mieć ten pistolet.

- Co takiego?

- Należy do mojego przyjaciela. To był prezent od jego ojca i ma dla niego wielką wartość ze względów sentymentalnych. Powiniennem...

- Chyba ocipiałeś!

- No tak. Nie, masz rację. Dobrze... a gdybym ci powiedział, jak się wyjmuje magazynek i kule, a dopiero potem poprosił, żebyś mi podała samą broń? - Josie patrzyła na mnie bardzo uważnie. - Albo mógłbym cofnąć się na chodnik, a ty byś rzuciła mi pistolet i zamknęła drzwi? - Wszystko to zaczęło mnie już okropnie męczyć. - Oczywiście możesz też zatrzymać spluwę jako dowód, aż do przyjazdu glin.

- Niezły pomysł - stwierdziła Josie.

Chciałem już odpowiedzieć: - Przepraszam - ale ugryzłem się w język.

Josie patrzyła na mnie. - Niezły z ciebie skurwysyn.

- Wiem.

- Sentymalna wartość. Ty kutasie. - Zeszła z ganku i podniosła leżący wśród kwiatów pistolet.

- Jak mam wyjąć ten magazynek?

- Tam z boku jest taki guzik - o, masz. Teraz tylko wystarczy... właśnie. - Magazynek wypadł na dłoń Josie. Przyszło mi na myśl, że miałem szczęście, trafiwszy na taką dziewczynę jak Josie, zamiast kogoś takiego, jak Sonia, żona Andy'ego. Nie jestem pewien, czy ludziska w Connecticut pojmują, że broń może mieć jakąś sentymalną wartość. Nie wiem. Może to tylko niesprawiedliwy stereotyp.

Josie zapytała mnie, jak rozładować magazynek, więc jej powiedziałem. Wyłuskała kule na zewnątrz niczym małe jasne spizowe cukierki, wetknęła pusty magazynek w kolbę i rzuciła broń na trawnik. Podniosłem pistolet i wsunąłem do kieszeni. - Więc podpiszę wszystkie papiery, jakie zechcesz.

- W porządku. - Oboje zrozumieliśmy, że prawdopodobnie nigdy się już nie zobaczymy. - Uściskaj ode mnie swoją mamę. - W ten sposób Josie zwykle się żegnała.

Chciałem jej powiedzieć, żeby uważała na moją córkę, Megan - ale nie mogłem. Nie w tej chwili.

Pomyślałem, że nie zostało mi już wilgoci na żaden płacz, ale moje oczy znów zaczęły łzawić i poczułem, że smutek znów oblewa mnie ciężką falą, więc się tylko odwróciłem i poszedłem precz od Josie i mojej córki. Byłem pewien, że najbliższe sześćdziesiąt sekund będzie najgorszymi w moim życiu i żywiłem jedynie pragnienie wynieść się jak najdalej, zanim splamię kolejną chwilę życia Josie i Megan. Jeżeli nic już nie mogłem dla nich zrobić, to przynajmniej niech zniknę. Mogę obiecać, że nie wypowiem do żadnej z nich ani jednego słowa, o nic nie poproszę, nie zadzwonię ani nie napiszę. Będę dla nich jak martwy.

Przyspieszyłem kroku, żeby iść szybciej.

- Will? - zawołała za mną Josie. Odwrócenie się zajęło mi kilka lat ciężkiego wysiłku. Stała w drzwiach z wyrazem rozdrażnienia na twarzy. - Potrzebujesz drobnych na autobus?

- Chuj z autobusem - powiedziałem.

Kiedy wróciłem do mojego mieszkania, światła były w nim pogaszone, ale drzwi stały otworem. Tylko z lodówki lała się smuga światła - otworzył ją Lee, który zaciekle szukał czegoś wewnątrz. - Nie masz piwa - powiedział.

- A skąd, mam dwie butelki Dos... - urwałem zobaczywszy obie puste stojące na kuchennym blacie.

- Powiedziałem, że nie masz, kurwa, piwa. A to? Co to jest, do cholery? - Lee wyprostował się z jakimś słoikiem w ręku i zmrużył oczy, usiłując przeczytać ręcznie wypisaną nalepkę na zakrętce.

- Sos z jalapeno. Robi go mój wujek Chase. - Czułem się tak, jakby mi ktoś zbombardował flaki i byłem tak zmęczony, że chciałem tylko się gdzieś położyć i zdechnąć.

- To ten, co mieszka w Brownsville?

- Taaa...

Lee przez chwilę przetrwał to, co usłyszał. - Nienawidzę Brownsville. Nie cierpię też pierdolonego sosu jalapeno, nie znoszę pierdolonego Dos Equis i pierdolonych przyjaciół, którzy w taką noc, jak ta mają tylko dwa pierdalone piwa w lodówce!

W kiepsko oświetlonym mieszkaniu nie za bardzo mogłem stwierdzić, czy twarz Lee jest kolorowa, czy czarno-biała, ale i tak wyglądał jak gówno w spodniach. Był jakby wygnieciony i bardzo nieszczęśliwy.

- O Boże! - westchnąłem. - Masz deprechę?

- Możesz się założyć o własną dupę, że mam deprechę - stwierdził Lee.

- Ale...

- Chłopie, jestem zrozpaczony - powiedział trzęsącymi się wargami.

Nie do wiary! Niedawno niewiele brakło, a byłbym zabił swoją byłą żonę, a teraz Lee ma deprechę! Bywają takie dni, kiedy zaczynasz podejrzewać, że Bóg przestał cię kochać.

Odetchnąłem głęboko. - Jesteś wylany czy tylko nacięty? - zapytałem.

- Nacięty jak cholera. I może wylany. Uwierzyłbyś, kurwa, gdybym ci powiedział, że nalewam beczkowane piwko Lone Star po dolarze za kufel w barze naszego bilardowego klubu, kiedy wchodzi Vicky i mówi: „Lee, nie zniosę już tego dłużej”? Stoję jak idiota z tym cholernym kuflem w ręce. Wszyscy ludzie przy barze gapią się na mnie. Ale rozgrywam to na zimno. Wypijam kufel jednym tchem, jakby to była herbatka, odwracam się do Vicky i mówię: „Nie możemy porozmawiać o tym później?”. „Nie - odpowiada ona - zawsze odkładamy tę rozmowę na później, a ja już mam dość ciebie i tego czasu przyszłego!”

- Powiedziała: „Czasu przyszłego?”.

Lee kiwnął głową. - A potem powiedziała, Lee, to koniec. Nie mogę tego już dłużej ciągnąć. Wychodzi, ja zostaję z tym pustym kuflem w łapie, sięgam pod ladę baru, nalewam sobie solidny trzyćwiertniowy kufel Shiner Bock i wychodzę tylnymi drzwiami.

- W samym środku twojej zmiany?

- Chyba tak.

- To może z tym wylaniem poczekają do jutra?

- Nie byłem aż tak zajęty - stwierdził Lee. Potem się sprężył w ramionach i zacisnął wargi. - Czas jechać, amigo.

Ostatnim razem, kiedy Lee został porzucony przez dziewczynę, wytrąbił pod rząd pięć drinków Bacardi, a potem wsiadł do wozu i pojechał do Disneylandu w Orlando na Florydzie. Kiedy wytrzeźwiał, za chińskiego boga nie umiał sobie przypomnieć powodu, dla którego się na to zdecydował.

- Lee, żadnych wycieczek samochodem. I tak już śmierdzisz jak dywan w tanim burdelu. Gdzie masz kluczyki?

- Wrzuciłem do Bras Bayou. Ale możemy je odszukać - odparł ruszając ku drzwiom.

- Albo może kupimy jeszcze kilka piw u Krogera.

Lee zwolnił. - Dobra - powiedział. - Też może być.

W pół godziny później obaj siedzieliśmy na schodach przeciwpożarowych za naszym budynkiem i popijaliśmy Tecates. Lee siedział na podeście za drzwiami mojej kuchni i gadał. Ja siedziałem dwa schodki niżej, opierając plecy o ciepłą ścianę budynku i grzejąc podeszwy na rozgrzanym metalu stopnia. Było gdzieś tak między jedenastą a północą. Jedyna żarówka nad podwórkiem za domem wypaliła się pod koniec października, a administracja nie podjęła jeszcze decyzji o jej wymianie. Ledwo widoczny trawnik otaczały drzewa, na których pozawieszano huśtawki dla dzieciarni i powbijano w nie obręcze do kosza. Było ciemno, ale przyjemnie. Wydawało mi się, że poruszanie się przy pomocy jedynie węchu i dotyku jest jak najbardziej prawidłowe. Wędrowki po starym mrocznym kraju bez zbędnych słów.

Powoli obdzierałem moją butelkę Tecate z nalepki. Po drugiej stronie podwórka warczały i buczały komunalne pralki. Nieco dalej miarowo posykiwał ruch uliczny na ulicy Fannina i OST. Nawet teraz słyszeliśmy odległe pojękiwania syren. Kiedy moje siostry były małe, opowiadałem im, że te odległe syreny były jak spadające gwiazdy, i jeżeli usłyszało się jedną z nich, trzeba było powiedzieć „Cyt!” i wypowiedzieć w duchu jakieś życzenie.

Kiedy miałem dziesięć lat, AJ zgasiła raz wszystkie światła w swoim pokoju, a potem zapaliła jedną świecę i kazała mi się gapić na jej odbicie w wiszącym na ścianie lustrze. Powiedziała, że jak będę patrzył dostatecznie długo, zobaczę swoją przyszłość, ale zamiast tego zmęczyłem tylko wzrok do tego stopnia, że gęba w lustrze zaczęła mi się wydawać obcą. Bardzo się wtedy przestraszyłem, ale dziś w nocy z wielką ochotą popuściłem sobie wodze. Tej fatalnej sierpniowej nocy wcale nie potrzebowałem Willa Kennedyego. Lepiej było być kimś mniej określonym. Po prostu zbiorem połączonych wspólną nicią wspomnień, kołyszających się na falach mrocznego morza.

Oczywiście swój udział w tym wszystkim miało i piwo.

- A pieprzyć to - odezwał się Lee. - Prawdopodobnie tak będzie najlepiej.

- Więcej czasu na filmy - czknąłem.

- Mogę przeczytać kilka świetnych książek. Znaczący, związki międzyludzkie są złodziejami czasu.

I spójrzmy prawdzie w oczy, Vicky nie jest intelektualistką.

- I jest jeszcze pizza z dostawą do domu.

- Właśnie! Kobiety tego nienawidzą. - Lee upił jeszcze trochę piwa. - Rzeczy, które nas nie zabijają...

- ...totalnie nas popierdolą.

- Amen.

Lee dmuchnął nad wylotem pustej butelki, wywołując dość osobliwy dźwięk. - I jeszcze jedno: nie jestem katolikiem. Ani Meksykaninem.

- Mógłbyś się przechrzcić.

- Na meksykanizm?

- Pewnie. Czemu nie?

- Koleś... - powiedział Lee. - Nie możesz się nauczyć lubienia muzyki akordeonowej. To sprawa dziedziczności.

- Co prawda, to prawda. - Wciąż miałem w kieszeni kopyto jego dziadka. - Czy słyszałeś o tym ich kartelu narkoridowym? Gangsta-Tejano? - kolejny łyk piwa. - Przemycają prochy w akordeonach.

- Dzikusy. - Lee ponownie zmusił pustą butelkę do przeciągnięcia jęku. - Ale z drugiej strony, weź Eaglesów...

- No, teraz to już trafiłeś w dychę!

Nadal obłuskiwałem Tecate z naklejki, zdrapując ją paznokciem. Chciałbym mieć takie paznokcie, jak Abdul taksówkarz. Prawdopodobnie mógłby nimi zrywać kapsle z butelek. Muszę pamiętać, żeby mu posłać pocztą resztę forsy.

- Twoi starzy wciąż są razem? - zapytał Lee.

- Taa... - Kiedyś w ogóle nie byłbym w tym widział niczego dziwnego. Doprawdy, niewiarygodne. Myślisz, że świat jest trwały, zbudowany z brudu, żelaza i betonu, nudny i solidny jak Refinery Row. Ale tak naprawdę wszystko wokół jest nietrwałe jak pajęczyna. W okamgnieniu może rozpaść się w nicłość. Spójrzmy na wuja Walta lub AJ. Albo na wuja Billyego. Lub mojego kuzyna Toma, jeśli już się o tym zgadało - samotny i nawet z tego zadowolony w tej swojej Europie. Nagle miłość trafia cię jak kula w serce - i lądujesz w domku swojej matki z martwą dziewczyną w garażu.

Spójrzcie na mnie. Tego ranka nie byłem przecież mordercą. Tego ranka miałem byłą żonę, o której usiłowałem nie myśleć i dzieciaka, którego widywałem przez kilka godzin raz na dwa tygodnie. Twoje życie może się zwrócić przeciwko tobie w jednym krótkim mgnieniu oka. I nic ci nie zostanie, oprócz śladów stóp na piasku.

Z mroku doleciał mnie głos Lee: - Jak moi starzy się rozeszli, byłem naprawdę mały. Tatko nigdy nie powiedział złego słowa na mamę. A ona naprawdę się starała nie narzekać na niego.

- A w ogóle go lubiłeś?

- Uwielbiałem. Tylko mnie trochę onieśmielał.

- Taaa...

Lee nigdy by mi tego nie powiedział, gdyby nie był urażony. Gdybyśmy nie byli tylko dwoma głosami w ciemnościach. Zacząłem się zastanawiać, kiedy Megan wpadła na myśl noszenia biustonosza. Ciekawiło mnie, czy chłopaki pociągają ją za gumki, tak jak ja to robiłem w szóstej klasie.

- Mama zawsze mi mówiła, że nadejdzie czas, kiedy będziesz musiał powiedzieć życiu: nie zasłużyłem na aż takie gówno. - Lee przerwał i łyknął piwa.

- Taa... - skwitowałem. Zegnaj, Josie.

- A tatko mawiał, że w każdym związku musisz być gotów na to, żeby zapierdalać jak wół. Musisz płacić cenę.

- Prawda jak cholera.

- Nie kumam tylko - zakończył Lee - skąd masz wiedzieć, co jest czym?

Zegnaj, Meg.

- Znaczy, może powinienem pieprzyć wszystko. Może Vicky jest Tą Jedyną i powinienem sprzedać duszę, żeby utrzymać to, co mam?

- No, choćby za jej gotowanie.

- Racja, dokładnie tak! Ale może utrzymanie wszystkiego w kupie jest właśnie błędem i trzeba po prostu dać sobie siana i popłynąć z pieprzonym prądem? Ale najlepsze ze wszystkiego może być to, że Ta Tak Naprawdę Jedyna przejdzie obok każdego z nas, a my nawet tego nie zauważymy, bo będziemy zbyt zajęci, usiłując naprawić to, co w istocie jest stratą pierdolonego czasu.

Samotny pikap wjechał od tyłu na podjazd i powoli przesunął się wzdłuż obitej cynkowaną blachą rampy, szukając miejsca do rozładunku. Zastanawiałem się, kto go prowadzi? Jak bardzo jest zmęczony? A może to jakieś dzieciaki wracają do domu z imprezy? Student kończący ćwiczenia w pracowni? Może ktoś wracający z długiej przejażdżki, po odwiedzeniu rodziny w Lake Charles, Tupelo albo nawet w Pensacola?

- Will?

- Taaa?

- A ty co o tym myślisz?

- Myślę, że wszystko jest muzyką. - Łyknąłem jeszcze trochę piwa. - Każdy z nas dostaje cedeka do nagrania, trzy dwudziestki i dziesięć. Niektóre melodie są krótsze, inne nieco dłuższe. Niektóre są cholernie głośne. Inne mogą ci złamać serce. - Zdarłem już nalepkę z mojej butelki Tecate. Teraz tylko rolowałem strzępy lepkiego papieru w palcach. - I te siedemdziesiąt minut jest wszystkim, co ci dano. Każdy z nas chciałby stworzyć taki album, jak „Marmur”, ale może nie każdemu jest to dane. Może przeznaczono ci zagrać coś jak, bo ja wiem, „Rammstein”? Nie zawsze masz wybór. Sęk w tym, żeby nigdy nie robić przerw. - Byłem już prawdopodobnie nawalony jak autobus. - Każdą jebaną minutę musisz wypełnić muzyką.

- Amen - stwierdził Lee. - Wiesz, że ona mnie prosiła, żebym się z nią ożenił?

- Vicky? Jasny gwint! Dzisiaj?

- Nie, trochę wcześniej. Jak cię wylali z pracy.

- I co jej powiedziałaś?

Lee dmuchnął nad wylotem, wydobywając z butelki długi, ponury dźwięk. - Pomyślałem, że robi sobie jaja.

- No, stary... Znaczy, to w niej dojrzewało.

- Cztery tygodnie. „Przed egzekucją”³⁸.

³⁸ Film z Seanem Pennem, reżyserowany przez Tima Robbinsa, opisujący ostatnie dni życia skazańca przygotowywanego na śmierć przez zakonnicę.

- O kurwa! - stwierdziłem z głębi serca. - Naprawdę to spieprzyłeś.

- Taa...

Długa chwila milczenia.

- Will?

- Mmm?

- Masz coś, na czym mógłbym wypróbować ten ostry sos jałapeno?

- Krakersy. Są na lodówce. Częstuj się.

Lee wrócił po chwili z talerzem, przeżuując coś z namysłem.

- Jak smakują?

- Zajebicie.

Skończyłem wreszcie moje piwo. - Wiesz, odkryłem dziś coś naprawdę ważnego, co dotyczy tych moich martwiaków - powiedziałem, zwracając się w mrok.

Lee przełknął krakersa. - Co takiego?

- Są tacy piękni - odpowiedziałem.

Komóra Lee zaćwierkała niczym świerszcz. Sięgnąwszy po nią, przez chwilę szarpał się z kieszenią džinsów i, opryskując moją koszulę, wypuścił z dłoni piwo. Telefon zaćwierkał ponownie i Lee zaklął sążnście, usiłując go otworzyć nieposłusznymi palcami. W nikłym i bladym blasku sączącym się z wyświetlacza ujrzałem panikę na jego twarzy. - Vicky? - zapytał, przełykając resztki krakersa. Można by rzec, że sam dźwięk jej głosu wyrwał go z pijackiej rezygnacji.

Odwołałem się do każdej, wzmocnionej piwem, uncji mocy intelektualnej Kapitana Podziemniaka i zapragnąłem, żeby ta rozmowa skończyła się dobrze. Czułem, że powstrzymywanie Lee od wściekłych wrzasków, gniewnych pomruków lub puszczania pawia wymaga ode mnie całej superkoncentracji. Napięcie było niesamowite. Myślałem, że zaraz mi zbieleją włosy, jak doktorowi Strange.

W końcu Vicky odłożyła bat. - No dobrze, w porządku - odezwał się Lee z szerokim uśmiechem. - Jesteśmy umówieni. To będzie dobre... - Jego uśmiech poszerzył się jeszcze bardziej. - A po cholere chcesz tam jechać?

Słuchanie, jak się godzą, było trochę przykre. Poza tym, musiałem jeszcze uprzątnąć te połamane cedeki i zasłać łóżko oraz pozakręcać kurki i włączyć wszystkie urządzenia. I oczywiście wcale mi nie zależało na tym, żeby wciąż łązić w zalanej piwem koszuli. Chwyciłem się żelaznej barierki i dźwignąłem na nogi. Lee przerwał rozmowę i, podnosząc brwi, patrzył, jak chwiejnym krokiem idę pod górę. - Ja już nie mam tu nic do roboty - powiedziałem, przestępując ostrożnie przez jego wyciągnięte nogi. Wciąż słyszałem z jego słuchawki szybko terkoczącą coś Vicky. Lee z przesadną emfazą uniósł brwi w górę, jakby chciał powiedzieć „Znowu to samo”, ale widać było, że jest wyczerpany, wdzięczny i uszczęśliwiony. Zakrył na moment mikrofon dłonią i szepnął: - Las chicas³⁹, stary. Zawsze takie same.

³⁹ Dziewczyny.

ROZDZIAŁ XII

W sześć tygodni później, wychodząc na rodzinne spotkanie, wyjąłem ze swojej skrzynki pocztowej list od Megan. Widok stempla „Santa Rosa CA” podziałał na mnie jak kubek zimnej wody. Moje oczy wciąż były częściowo niesprawne. Widziałem kolory na obrzeżach rozmaitych przedmiotów, ale wszystko, na co patrzyłem wprost było martwe, więc atrament, znaczek i adres zwrotny Megan były czarno-białe.

Stałem na tym śmierdzącym gotowanymi dywanami korytarzu. Był to trzeci weekend września i mieliśmy przed sobą jeszcze cały miesiąc upałów. Ale te upały nie rozciągały się z pewnością nad Santa Rosa w Kalifornii. Tam była prawdopodobnie mgła snująca się leniwie pomiędzy gigantycznymi sekwojami.

Z ulicy doleciało mnie nagłące buczenie klaksonu i pospieszyłem na zewnątrz, zabierając list ze sobą.

- Siadaj z tyłu obok Vi - poleciła Fonteyne. - Ona lubi towarzystwo.

- Ja też.

Wsiadłem do buicka i zapiąłem pasy. Guzdranina przy nich wciąż jeszcze wywoływała ból w moim ramieniu na tyle silny, że musiałem go skwitować grymasem. Vi łypnęła na mnie z głębin swojego samochodowego siedzenia, a potem przyjaźnie zagulgotała. Wyglądała całkiem dobrze - miała ładną główkę i ciekawie patrzące oczy. Przyglądała mi się uważnie, patrząc głównie na koszulkę z napisem „25. Coroczny Zjazd Rodziny Smithersów” i powoli wciskając sobie piastkę do ust.

Podczas kilku ostatnich lat rodzina Smithersów zbierała się nad położonym dość blisko Houston jeziorem Conroe, tego roku mama postanowiła jednak wrócić do dawnej tradycji zlotów w starym Hill Country nad Little Blanco Rober. Powodem było po części to, że na stare miejsce zjeżdżało się więcej krewniaków mieszkających w Austin i San Antonio; głównie jednak mama chciała zrobić przyjemność mnie, bo było to moje ulubione miejsce. Ot, jedna z tych drobnych korzyści, jakie człowiek zyskuje, gdy go postrzelą.

Siedząca na przednim siedzeniu Fonteyne włączyła klimatyzację i wnętrze wozu wypełnił niezbyt głośny szum. Fonteyne też wyglądała całkiem nieźle. Miała nowe okulary słoneczne i makijaż. - Wszyscy gotowi do podróży?

- Jesteś jak promyk słońca.

- Mam przed sobą trzydniowy weekend, a ktoś spał cicho przez całą minioną noc. - Gdy odbijała wozem od krawężnika, po przedniej szybie przepłynęły odbicia gałęzi dębów.

List Megan sprawił, że zaczęły drzeć mi dłonie jak chłopakowi, który podwędził coś w sklepie. Nie rozmawiałem z nią od tamtej nocy, kiedy puściłem pawia na ganek przed jej domkiem. Nie wiem, czy Josie powiedziała jej o pistolecie. Podpisując dokumenty pozwalające Megan na wyjazd ze stanu, postarałem się urządzić to tak, żeby Josie nie musiała mnie oglądać. Następnego dnia spodziewałem się glin, ale ona chyba ich nawet o niczym nie powiadomiła.

Dłonie pociły mi się tak, że na kopercie zakwitły tłuste plamy.

Pieprzyć to. To ja - przynajmniej teoretycznie - byłem dorosły i powinienem spokojnie wysłuchać tego, co Megan miała mi do powiedzenia. Otworzyłem list. Napisała go niebieskim flamastrem, litery były więc duże i niezbyt staranne.

Drogi Willu.

- dobry początek. Ponownie oderwałem wzrok od listu. Nie było tak źle.

Nigdy nie byłem zbyt dobry w uczuciach. Zamiast doświadczać całej gamy rozmaitych emocji, byłem jak zepsuty odbiornik, w którym siłę głosu można było ustawić tylko w dwu położeniach - Cicho i Cholernie, Kurwa, Głośno. Przez cały czas pozostawałem jednak nastrojony na jedną stację. Te same piosenki. Ale od tamtego dnia, kiedy omal nie zabiłem Josie, doznawałem różnych uczuć.

Wiem, że to brzmi nieźle. Głowę bym dał, że terapeuta Normy Ferris byłby prawdopodobnie powiedział, iż zdolność do odczuwania prawdziwego smutku czy gniewu jest Oznaką Postępującego Powrotu do Zdrowia... tylko że było to irytująco przypadkowe. Mogłem na przykład, jadąc autobusem, zobaczyć jakiegoś trzymającego piłkę do kosza czarnoskórego chłopaka w dresach Steve Francis⁴⁰ i natychmiast dorabiałem do tego widoku całą historię, w której były marzenia o występach w NBA, ale ponieważ kiepsko mu szły testy i nie miał nadziei na stypendium NCAA, podjął próbę dostania się do drużyny kosza w szkole średniej i po trzech miesiącach sezonu w San Jacinto zawałił egzamin z klasyki, co miało zakończyć jego karierę. W sześć miesięcy później pracowałby w sklepie sportowym Footlockera i wszyscy którzy go znali, uważaliby, że w wieku dwudziestu jeden lat jest już skończonym człowiekiem.

I wtedy w tym autobusie zaczynały mi łzawić oczy. A chłopak spostrzegając, że na niego patrzę i odpowiadał mi gniewnym spojrzeniem typu: „No i czego, kurwa, się na mnie gapisz?”.

- Uwielbiam prowadzenie - odezwała się Fonteyne z przedniego siedzenia. - Kocham jazdę samochodem. Lubię wydostać się z miasta i... gnać prosto przed siebie.

- Mmm... - potwierdziłem.

Drogi Willu.

Jak się czujesz? U mnie wszystko w porządku. Nie mam źle, tylko że dzieciaki w szkole uważają, że jestem stuknięta. Sądzą, że każdy Teksanńczyk chodzi z obrzynem, jeździ pikapem i nienawidzi czarnych, co jest dość zabawne, bo tu nie ma żadnych czarnoskórych dzieciaków poza jedną dziewczynką, która została adoptowana skądś z Jamajki, ale wszyscy są cholernie dumni z tego, że wykazują ogromną tolerancję w stosunku do nieobecnych w szkole Afroamerykanów. Uważają także, że wszyscy Teksanńczycy mieszkają na pustyni, co jest po prostu głupie, a gdy im powiedziałam, że w Houston drzewa są liczniejsze, niż w większości innych amerykańskich miast, to uznali, że ich nabieram. Rozmowy z idiotami

⁴⁰ Steve Francis - koszykarz i późniejszy właściciel firmy odzieżowej, oferującej klientom głównie odzież sportową (przyp. tłum.).

to strata czasu. Mama chce, żebym grała tu w piłkę, ale kolejne cztery godziny tygodniowo z dziewczętami z Kalifornii to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, więc przeważnie siedzę w domu i gapię się w TV.

- Psiakrew! - warknąłem.

- Nie przeklinaj przy Vi! - skarciła mnie odruchowo Fonteyne. - A wiesz, niedawno przytrafiło mi się coś fajnego...

- Taaa?

Piszę ten list, żebyś wiedział, że nie za bardzo mi się spodobało to, co robiłeś ostatnio. Biłeś się z tatusiem, rzygałeś i chyba nas podpatrywałeś. Ani ja, ani mama nie powiedziałyśmy tatusiowi o tym ostatnim razie - więc się nie martw o to, że ktoś się będzie Ciebie czepiał - ale wierz mi, bywały chwile, kiedy miałam ochotę to zrobić. I do tego nie chciało Ci się nawet pójść do prawnika, żeby zapewnić sobie jakieś prawa do wizyt czy czegoś takiego. Przecież chciałam tylko, żebyś tego nie spieprzył. Podejrzewam, że jedynym powodem, dla którego przenieśliśmy się do Kalifornii jest to, iż okazałeś się porąbanym ojcem, a teraz ja muszę za wszystko zapłacić.

- Więc pewnego dnia byłam w Galerii i w dziale restauracyjnym natknęłam się na Richarda Linklatera - powiedziała Fonteyne.

- Na kogo?

- Na Richarda Linklatera. To reżyser z Austin. Tobie przede wszystkim poleciłabym „Slackera”. - Fonteyne się roześmiała, ale nie był to śmiech złośliwy. - Albo „School of Rock”.

Megan rezygnująca z gry w piłkę nożną to był jakiś koszmar. Josie i Don powinni ją zmusić, żeby została w drużynie.

- Tak czy owak podchodzę do niego i mówię: Pan Richard Linklater, jak sądzę? Odpowiedział, że tak więc mówię, że „Before Sunrise” to mój ulubiony film romantyczny - mówiąc między nami to niemal prawda - bo pomyślałam, iż wielu ludzi zna go ze „Slackera”, no wiesz, i może byłoby mu przyjemnie, gdyby usłyszał coś miłego o filmie, który nie wypalił, choć jest naprawdę dobry - a jest.

Vi wychyliła się tak daleko, jak jej na to pozwalały szelki i przyglądała się listowi Megan, jakby miała zamiar czytać mi przez ramię. Miała taką minę, jakby się nad czymś naprawdę bardzo poważnie zastanawiała.

A potem wszystko spieprzyłeś po tym naprawdę miłym dniu w Six Flags: zarzygałeś nam trawnik i cholernie przestraszyłeś mamę. W sumie nie wiem, po co to wszystko piszę. Jeżeli zamierzasz znowu wszystko spieprzyć, to się nie kłopotcz. Zawsze popierałam cię w czasie kłótni z ojcem, ale może to on miał rację. Potrzebujesz pomocy. Po cichu mam nadzieję, że ją odnajdziesz. Nie martw się o nas. Poradzimy sobie.

- A więc wydał mi się całkiem miłym człowiekiem - powiedziała Fonteyne. - Powiedziałam mu, że bardzo podobają mi się dobrze zarysowane postacie zwykłych ludzi w jego filmach. Jemu też się to podobało, a potem powiedziałam... - Fonteyne zerknęła na tylne siedzenie - ...że jestem kasjerką pracującą u Krogera, która chce być aktorką. Już bardziej zwykłym być chyba nie można? Myślałam, że przewróci oczami i skona z zażenowania, ale on był naprawdę miły, po prostu się roześmiał i zapytał, czy widziałam „Waking Life”, a ja powiedziałam, że tak, i mimo iż były w nim fragmenty, których nie rozumiałam, uważam, że film był zarabisty. Nie taki jak przeciętna sieczka z Hollywood.

Nie martw się o nas, poradzimy sobie.

Z poważaniem

Megan Cummings

Znaczy, nie Kennedy. Z drugiej strony na metryce i tak miała nazwisko Dona.

Otoczał nas łagodny poszum aparatury klimatyzacyjnej Buicka. Vi uniosła główkę, obdarzyła mnie długim spojrzeniem, a potem skrzywiła buźkę, jakby chciała powiedzieć „Auć!”.

- I co sądzisz o tym wszystkim? - zapytała Fonteyne.

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. Wyglądało na to, że mój emocjonalny odbiornik stracił zdolność regulowania poziomu emocji. Może za minutę popadnę w nastrój skrajnej depresji i rozryczę się na całe gardło? *Z poważaniem, Megan Cummings.*

Vi zagulgotała coś i spojrzała na siebie z wielkim zdziwieniem w oczkach.

- Will? - odezwała się niepewnie Fonteyne.

Weźcie dupę w troki, towarzyszu Will. Spróbowałem sobie przypomnieć, co ona mówiła. Reżyser, dział restauracyjny, filmy. Moja siostra przyglądała mi się uważnie, patrząc w lusterko wsteczne. Na jej czole widać było zmarszczki strapienia i zdałem sobie sprawę z faktu, że ona chce, żebym jakoś zareagował na to, co usłyszałem.

- Doskonale to rozegrałaś - powiedziałem.

- Naprawdę tak uważasz? - ulga w jej głosie otrzeźwiła mnie jak ostry policzek.

- Myślę, że lepiej by się nie dało - stwierdziłem. - Czy on dał ci wizytówkę albo coś takiego?

- Nie. To było wszystko, naprawdę. Nie chciałam przeciągać struny. Pomyślałam sobie, że jak znam siebie samą, zaraz palnę coś głupiego - odparła Fonteyne. - A zresztą miałam ze sobą Vi w tych szelkowych nosidełkach, a ona akurat zaczęła marudzić. Więc podziękowałam mu tylko za jego filmy i wyszłam. W lewo, przez kasę na artykuły spożywcze.

Pokazałem Vi palec. Wyjęła mokrą piąstkę z buzi, chwyciła mój paluch i zakwiliła z zadowoleniem w głośniku. Była zupełnie innym niemowlęciem niż Megan. Vi chciała wszystkiego dotknąć rączkami. Megan tylko się rozglądała. Jej rączki i nóżki poruszały się każda sama z siebie, jakby Megan o nich zupełnie zapomniała. Megan była wyłącznie oczami.

- Czasami dobre wyjście jest wszystkim, czego możemy chcieć od życia - stwierdziłem filozoficznie.

- Cóż, pewnie masz rację - odparła moja siostra. - Ale na wszelki wypadek zrobiłam sobie nowe CV i dodałam kilka zdjęć, a gdybyś nie miał nic przeciw temu, bo i tak jedziemy do Hill Country, pomyślałam, że jak będziemy wracać do domu, to moglibyśmy wpaść do jego biura w Austin?

- Do biura Linklatera?

- Jasne. - Fonteyne ponownie spojrzała na mnie poprzez lustro nad tablicą rozdzielczą. Była trochę spięta i w jej oczach czaiło się coś w rodzaju wyzwania.

- Mam nadzieję, mała, że zrobi z ciebie gwiazdę - powiedziałem.

Mam osiem lat i odwiedzamy dziadunia Jay Paule'a w hospicjum. Mama stoi u wezgowia łóżka i coś mówi. Ja stoję przy nogach i gapię się na oplecione pajęczyną niebieskich żyłek stopy dziadka. Ma tak białą i cienką skórę, że jest niemal przezroczysta. Zanim dostał udaru, po którym trafił do hospicjum, uczył mnie grać w bilard na stojącym w garażu stole. Jego dłonie już wtedy tak bardzo drżały, że do każdego uderzenia musiał osadzać kij na podstawce. Nigdy nie mógł dobrze dopasować sztucznej szczęki i gdy się śmiał, bywało, że gubił zęby.

Teraz w hospicjum jego paznokcie mają tę samą żółtawą barwę co stara bila.

Kilka pierwszych tygodni po dniu, w którym niemal zabiłem Josie, robiłem wszystko, co było trzeba. Na przykład uprzątnąłem mieszkanie. Zajęło mi to trzy dni, bo musiałem usunąć plamy krwi z pościeli i wymienić baterie w czujnikach przeciwpożarowych. Pomyślałem też o oczyszczeniu swego wnętrza. Posunąłem się nawet do tego, że przejrzałem w książce telefonicznej strony przeznaczone dla psychiatrów i terapeutów, ale wszyscy żądali wariackich cen za usługi, więc pomyślałem że powinienem poczekać, aż załatwię sobie pracę i ubezpieczenie.

Dostałem trzy wezwania od ludzi mających problemy z duchami: w dwu wypadkach okazało się, że to fałszywy alarm, ale trzeci duch był prawdziwy. Skończyło się to zarobieniem dwu tysięcy dolarów i kolejnych trzech od Johnsona Del Grande. Tatko zabrał mnie do urzędu miejskiego i odstaliśmy swoje w kolejce, żeby dostać licencję. Powiedział mi, jak sobie załatwić tanie wizytówki na koszt urzędu i przedstawił mnie swemu księgowemu, który wydał mi się całkiem sympatycznym facetem.

Mam dziewięć lat. Odwiedzamy rodzinę dziadka w Dallas i patrzymy na dziewczęta grające w fastpitcha⁴¹. Siedzę z dziadkiem Chetem i patrzę, jak jedna z jego wnuczek gra na drugiej bazie. Dziadek lubi patrzeć na jej grę, więc gdy jej zespół jest przy piłce, łamię z emocji jeden papieros po drugim. Wciąż pamiętam, jak tamtego wieczoru pogryzły mnie pchły piaskowe, jak mnie swędziało i pamiętam papierosowy zapach skóry dziadka.

⁴¹ Odmiana baseballu (przyp. tłum.).

Moje mieszkanie zostało wreszcie uprzątnięte, a ja zarabiam całkiem niezłą forszę. Wciąż codziennie biorę prysznic. W sumie sprawuję się całkiem dobrze, choć gdyby pogrzebać głębiej, to okazałoby się, że właściwie tylko się poruszam, bez udziału woli. Jedną z rzeczy, jakich się uczysz, dorastając, jest jak to robić i jak postępować właściwie, nawet wtedy, gdy kiepsko się czujesz. Jedyną rzeczą, jaką robiłem, wkładając w to całą niemal duszę - a nikogo nie zdumiało to bardziej ode mnie - było pomaganie mojej matce w organizowaniu rodzinnego zjazdu.

W kilka dni po tym, jak dorobiłem się licencji, mama poprosiła mnie, żebyśmy zjedli razem lunch, gdyż ma dla mnie Nowiny, jak powiedziała. Wsiadłem więc do autobusu i przejechałem całą długą trasę do Deer Park. W szpitalnej izbie przyjęć, gdzie pracowała, zjawiłem się tuż przed południem.

W poczekalni siedziała grupka pacjentów. Była wśród nich jakaś młoda mama z nieco umorusaną, opluwającą wszystko kielkami pszenicznymi dziewczynką, bawiącą się tymi plastikowymi zabawkami, jakie się zwykle widzi w poczekalniach dla dzieci. Obok niej siedział facet w średnim wieku, grzebiący palcami w tyłku. Jako dwudziestolatek nie zwróciłbym na niego uwagi, teraz jednak rozpoznałem w nim członka Uniwersyteckiego Bractwa Cierpiących na Bóle w Dupie. Naprzeciwko niego siedział chudy czarnoskóry mężczyzna o nalanych krwią oczach, który powoli przeglądał egzemplarz „Sports Illustrated” z poprzedniego miesiąca.

Mama podsunęła mi książkę wpisów, potem podniosła wzrok i zobaczyła, że to ja. Uśmiechnęła się. Usiadłem obok czarnego i do 12.15 gapilem się na rybki w szpitalnym akwarium. Kwadrans po dwunastej mama miała godzinną przerwę na lunch. Razem wyszliśmy z chłodnego gmachu na rozpaloną ulicę. Mama spociła się już podczas przechodzenia przez jezdnię do leżącej naprzeciwko meksykańskiej restauracyjki. Jak byłem mały lokalik ten nazywał się El Monterrey i mama zabierała mnie tam po wizytach u lekarza, osobliwie tych połączonych z zastrzykami. Zamawiałem sobie serowe enchiladas i na deser sopapillas. W latach 80. restauracyjka zmieniła właściciela i teraz nazywała się Taco Loco. Zawsze czekający na nas starzy meksykańscy kelnerzy teraz zniknęli, zastąpieni przez kilkunastoletnie czarnoskóre dziewczyny i hałaśliwych białych chłopaków. A w menu już nie mieli sopapillas.

Zamówiłem Lunch Special nr 3: dwa placki burritos z meksykańskim ryżem i fasolą oraz colę za 5,25. Mama wzięła sobie naleśniki enchiladas verdes z bardzo ostrym kremem i półmisek grzanek nacios pływających w serowym sosie. Do tego zamówiła dietetyczną colę. Zamówienie zrealizowała sympatyczna czarnoskóra dziewczyna z plakietką imienną „D’Andra”.

- Wczoraj wieczorem zadzwoniła do mnie ciocia Patty - zaczęła mama.

- Sprawa dotyczy wuja Walta? - Zgodnie z tym, co powiedział Andy poszperawszy trochę w sieci, Stowarzyszenie Ubezpieczeń Zawodowych śmierć człowieka często kwitowało beczelnie niską kwotą odszkodowania; można się było spodziewać dwudziestu tysięcy dolców na odczepne. Jeżeli wyrosłeś i wychowałeś się w Refinery Row, powinienes być się przyzwyczaić do myśli, że życie człowieka nie jest warte nawet tyle, co nowa toyota. Kiedy o tym rozmawialiśmy, Andy powiedział, że ci od Crowna mogą

cioci Patty dać dwadzieścia kawałków tak samo, jak jakiś biurokrata z SUZ.

Mama łyknęła trochę swojej dietetycznej coli. - Zarząd Crowna postanowił, że nie warto się sądzić.

- Zamierzają dać cioci Patty jakieś porządne odszkodowanie? - Było to dość sensowne, choć niełatwo mi przyszło uwierzyć, że radcy prawni kompanii się na to zgodzili- - No, ale to pomoże spłacić szpitalne rachunki.

- Tego akurat jestem pewna - powiedziała mama, niespodziewanie się uśmiechając. - Mają zamiar zapłacić coś około sześciuset tysięcy dolarów.

Poczułem się tak, jakby mnie walnęła ciężarówka.

- Sz-sz-sześćset tysięcy dolarów?

- Ciocia Patty poszła do jakiegoś szcwanego prawnika, który od dawna zajmował się sprawami azbestu i innymi odszkodowaniami związanymi z nieprzestrzeganiem przepisów o bezpieczeństwie w pracy. Powiedziała, że zamierza pozwać Crowna o odszkodowanie SUZ za wypadek wuja Walta. A ten na nią patrzy i mówi: „Szanowna pani, za dwadzieścia tysięcy dolców to nie chce mi się nawet sięgać po telefon i niechże mi pani wierzy, te takie syny od Crowna doskonale o tym wiedzą”.

- Sześćset tysięcy dolarów?

- Kochanie, już to mówiłeś.

- O mój Boże!

- I wszystko to zawdzięczają tobie i Andy'emu. - Mama uśmiechnęła się szeroko. - Dobrze się spisałeś, synu.

Jedliśmy. Mama polewała swoje enchiladas rzekami sosu Papa Charro's Picante. Sześćset tysięcy dolców. Nie do wiary! Ciocia Patty z pewnością spłaci teraz domek i wynajmie pielęgniarkę, żeby jej pomogła przy wuju Walcie. Bardzo dobre nowiny i po części stało się tak za sprawą tego mojego superbohatera Kapitana Podziemniaka, który nareszcie zrobił coś pożytecznego. Szczęśliwe zakończenie. Josie z pewnością by się to spodobało.

Przez chwilę grzebałem widelcem w tym meksykańskim ryżu. - Mamo? Czy sądzisz, że Josie miała romans z Donem, zanim się rozeszliśmy?

Widelec z porcją fasoli zawisnął w powietrzu w połowie drogi pomiędzy talerzem a ustami mamy. - A czemu nagle... - odłożyła widelec i spojrzała na mnie ze smutkiem. - Och, Will... Ty zawsze sprawiałeś mi problemy, dzieciaku. Nawet jak byłeś mały. Twój ojciec się na ciebie czasami wściekał, bo byłeś bardzo uparty, a ja mu wtedy zawsze mówiłam: „Jimmy, on się po prostu boi. To wszystko”. Bo ty nigdy tego nie okazywałeś. Krzywiłeś się, gdy inne dzieciaki płakały.

Wokół nas słychać było szczęk noży i widelców o talerze. D'Andra otworzyła kopnięciem drzwi kuchni i śmignęła obok nas z talerzem skwierczących jeszcze fajitas.

Matka westchnęła. - Co się tyczy Josie... wydaje mi się, że ważniejsze jest to, w co wierzysz, niż to co zrobiła. Ale tak naprawdę, to nie wiem. Nie powinno się zaglądać w sprawy wewnętrzne czyjegoś

małżeństwa. Nawet, gdy chodzi o własne dzieci.

- W porządku. - Przez chwilę grzebałem w moim meksykańskim ryżu.

Mama skończyła swoje enchiladas, ostrożnie odłożyła nóż na widelec, a potem wytarła dłonie. – Byłeś rocznym berbeciem, kiedy miałam romans.

Bezbrzeżnie zdumiony wytrzeszczyłem na nią oczy. Wytrzymała moje spojrzenie, choć lekko się zarumieniła.

- Teraz myślę, że była to kwestia depresji po porodzie. Miesiąc przed moim zejściem w ciążę twój ojciec porzucił stałą pracę. Kiedy okazało się, że będę miała dziecko, wpadł w popłoch. Podczas pierwszego roku po twoich narodzinach bardzo usilnie pracował, żeby puścić te swoje interesy w ruch. Cały czas pracował. - Mama odetchnęła głęboko. - A w przychodni był jeden młody doktor z Korpusu Pokoju, który, jak widział tych biednych czarnych i Meksów, to nie brał od nich za dużo... no, wiesz. A ja wtedy nie byłam taka otyła. I byłam taka przygnębiona.

Z talerza fajitas stojącego na stole za nami napłynęła fala zapachu cebuli. Rozkaszałem się.

- Spaliśmy ze sobą wszystkiego trzy razy.

- Mamo...

- Oczywiście wiedziałam, że postępuję źle i ciężko mi było z tym żyć. Ciężko mi było wracać do domu i spoglądać w oczy twojemu ojcu. Wiedziałam, że jestem złą matką. Kiedy podchodziłam do drzwi, babcia podawała mi cię do ucałowania, a ja czułam się wtedy taka... niegodna. I wciąż bardzo kochałam twojego ojca. Więc w końcu mu powiedziałam.

Pomyślałem o ojcu, układającym jeden plan po drugim. Kombinującym jak się dało, żeby zdobyć pieniądze na życie.

- Twój ojciec był wstrząśnięty. Bardzo go to dotknęło. Ale mu powiedziałam, że nadal go kocham, a on mi uwierzył. I nigdy nie przestałam mu być za to wdzięczna. - Mama łyknęła trochę swojej dietetycznej coli. - Wybaczył mi, choć wcale nie musiał. Nigdy też mnie nie zapytał, czy jesteś jego synkiem. A jesteś z pewnością, nie możesz w to wątpić. Podczas kolejnych trzydziestu lat ani razu mi tego nie wytknął. Więc nie myśl o nim jako o nieudaczniku. Wiem, że nie wszystkie jego interesy się udawały, ale zawsze trwał przy mnie. Nigdy nie zawiódł swojej rodziny.

Trudno mi było oddychać, jakby przez moją pierś przeszła kolejna kula. - Jezusie!

Z oczu mamy wypłynęło kilka łez. - Ja... - odetchnęła głęboko. - Zawsze się zastanawiałam, dlaczego ty widzisz tych martwych ludzi. Zastanawiałam się, czy to nie przypadkiem przeze mnie. Z powodu czegoś, co kiedyś zrobiłam.

- Nie sadzę, żeby tak było - odezwałem się.

- Wiesz... nikt inny w rodzinie nie musi cierpieć i przechodzić przez to, co ty, więc czasami się zastanawiam... I nie umiem znaleźć odpowiedzi.

- Ja myślę, że to po prostu przypadek - stwierdziłem.

Uścisnęła mi dłoń i spróbowała się uśmiechnąć. - Will, powiedz, że nadal mnie kochasz.

- Zawsze będę cię kochał, mamó.

Pamiętam, że jak byłem młody, to wszystko mnie nieustannie nudziło. Pamiętam, że nienawidziłem zwyczajnej codzienności. W radio nieustannie pieprzeni „Eagles”, a w TV po raz dziewiąty w tygodniu powtarzają „MASH”.

Teraz zdarzają mi się takie dni, w których nie chcę już żadnych niespodzianek.

Mam trzydzieści dwa lata i myślę o moich umarłych.

Tak czy inaczej stałem się demonem pracy przy organizacji zjazdu rodzinnego. Dzwoniłem do facetów wynajmujących wielkie rożny do grillowania, ślęczałem nad porównywaniem cen moteli, spisywałem listę spraw, którymi trzeba się było zająć i namawiałem ludzi, żeby się nimi zajmowali. Zadzwoiłem do mojego wuja Chase'a i namówiłem go do przyjazdu, mimo że ciocia Dot też miała zamiar się pokazać. Chase zastrzegł się tylko, żeby nie pozwolono jej opowiadać o minionych życiach i terapiach zrzucania wagi w tym samym pomieszczeniu, w którym przebywał on sam. Przedstawiłem jej to raczej jako sugestię niż warunek, ona jednak przyjęła to bardzo pogodnie. - Ja tylko stanę przed tym starym pierdzielem i będę szczupła - powiedziała.

Moje wysiłki nie poszły na marne. Wyglądało na to że 25. Zjazd Rodziny Smithersów będzie najlepszym od 1991 (w którym to roku po raz ostatni w pełnym składzie zjechały się odgałęzienia rodu z Colorado i Arkansas) i setki krewniaków zbiorą się w jednym miejscu. - Niesłychane osiągnięcie - stwierdził tata kpiącym tonem, ale nie tak głośno, iżby to usłyszała mama. Zrobił się w tych rzeczach cholernie dobry.

Mam szesnaście lat i jestem u Josie. Jej tatko po raz ostatni wyszedł z pierdła. Nie wiadomo dlaczego gramy w Indian, najgłupszą grę karcianą na świecie, podczas której przykładasz kartę do czoła i stawiasz na to, że jest pewnie wyższa niż karty innych graczy. Tatko Josie jest szczęśliwy i nawet nie pijany. - Widzę i przebijam cię o pięć jankeskich dolarów, Will. - Uśmiecha się tak, jak nigdy w życiu. I pokazuje trójkę.

Gdy Fonteyne i ja dotarliśmy na miejsce zjazdu, piknikowe stoły zaczynały się już uginać pod ciężarem jedzenia. Ciocia Dot przywiozła sałatkę z selerów i sałatkę Waldorff w galarecie z dietetycznego żelu, a także coś co nazwała „kurczakiem z Georgii”, co okazało się chudymi filetemi z kurczaka w sosie z masła orzechowego. Uparcie też twierdziła, że sposób przygotowania tej potrawy przyswoiła sobie, kiedy żyła na Jamajce w czasach królowej Wiktorii.

- Przykro mi z powodu tej sprawy pomiędzy tobą i Tomem - powiedziała mi.

- Znałaś Hanlona, ciociu?

Zdjęła plastikowe opakowanie z wazy z sałatką.

- Owszem, natknęłam się na niego kilka razy. Wiesz, że nigdy nie zżyliśmy się z Eugenią. Ale

kiedy przeczytałam tę wiadomość na rodzinnej stronie Smithersów, nie byłam za bardzo zdziwiona. - Niemal wszyscy z pokolenia mojej babuni stali się aktualnie demonami poczty elektronicznej i rozprzestrzeniaли rodzinne ploteczki z szybkością światła.

- Czy nie uważasz, że Hanlón zapłacił za coś, co zrobił w poprzednim życiu? - zapytałem z grzeczności.

Uszczypnęła mnie w policzek. Cioteczynom babkom pozwala się na takie numery, niezależnie od tego, jak bardzo jest się dorosłym. - Teraz chcesz mnie zirytować - powiedziała, układając wykałaczki wokół wazy z filetami. - On po prostu był jednym z tych chłopców, którym do końca życia nic nie wychodzi.

Mam trzynaście lat i włączę do corvetty kuzyna Danny'ego. Od czerwonej skórzanej wykładziny siedzeń samochodowych ciągnie łagodnym zapachem pleśni. Danny bierze mnie na rajd po barach. Za dziesięć lat będzie się chciał zaciągnąć do lotnictwa, a teraz za trzy tygodnie wybiera się na szkolenie motywacyjne. Zapinam pas, a potem zaczynam się rozglądać dookoła.

- Nie masz pasów dolnych?

Danny uśmiecha się szeroko. - Lubię żyć na krawędzi.

Ciocia Patty, na której zawsze można polegać, dostarczyła najlepszy szponder, jaki jadłem od lat; tym mięsem moglibyście napchać rożek na lody i je lizać. Przywiozła także funtowy placek cytrynowo-makowy, ale zniechęciła mnie do skosztowania tego ciasta, mówiąc, iż dowiedziała się, że te placki dają pozytywną reakcję w testach na spożycie prochów, powinni więc ich unikać ludzie, którzy - jak ja - mogą być wkrótce poddani badaniom potrzebnym przy załatwianiu sobie pracy albo tacy jak kuzyn Jerome, co wyszedł niedawno z pierdła i stara się namówić swojego kuratora do pogodzenia się z Jezusem.

Kuzyneczka Suzy Colbert, której zawdzięczałem swoje piętnaście minut sławy w Houston, przywiozła placek frito. Była żona kuzyna Raidera, Juanita, dostarczyła zupę na wędzonce poblano, swoje słynne enchiladas verdes i ciasto beżowe „pałac pustyni” z truskawkowym sokiem, którego hiszpańską nazwę natychmiast zapomniałem. Wuj dotrzymał obietnicy i zjawił się ze swoim nieodłącznym żelem jalapeno i stoma funtami kukurydzianego ziarna, które można było podgrzać na blasze.

Ze szczególną satysfakcją powitałem kuzyna Andy'ego, czarodzieja komputerów, który łąził po całym obozowisku z szerokim uśmiechem na swojej bladej, ale szybko pokrywającej się czerwienią pierwszej opalenizny twarzy. Jego jankeska żona Sonia przyniosła keksy, melbę i ser brie na niewielkim srebrnym talerzyku. I naprawdę bardzo pilnie śledziła jego drogę wśród zebranych. Porozumiałem się wzrokiem z kuzynem Jeromeem - mówiąc między nami, jest naprawdę porządnym facetem, choć może zbyt krótko utrzymanym - i w pół godziny wyzarliśmy wspólnie ser ze środka.

- Chłopie, to było dobre - westchnął Jerome ustami pełnymi jeszcze drobnych okruchów keksów.

Sonia zamrugała powiekami i obdarzyła nas uśmiechem świadczącym o tym, że nie wie, czy ma nas kląć, czy nam dziękować.

- Mieszkalem kiedyś z dziewczyną i przez cały czas to jedliśmy, zapijając czerwonym winem - dodał Jerome z nostalgią w głosie. - To było zanim skończyłem z piciem.

- Cieszę się, że wam smakowało - powiedziała Sonia. - Nie byłam pewna, czy dobrze robię, przynosząc to tutaj.

- Nie ma czegoś takiego jak złe jedzenie - zaśmiał się Jerome. A potem, jakby wyczuwając, że dobrze byłoby zawrzeć pokój, mrugnął do niej porozumiewawczo i ruszył w kierunku turnieju Klubu 42⁴². Sonia ze swojej strony golnęła sobie pod rząd kilka szklanek Ponczu Dla Starych Wygów, zaraz potem przestała się martwić o swoją paterę i chyba zaczęła się dobrze bawić.

Mam osiemnaście lat. Jest czwarty lipca, a moja dotąd zawsze mi wroga kuzynka Alice emanuje entuzjazmem, choć ma rozprawę wyznaczoną zaraz po długim weekendzie.

- Własność, człowieku - chichocze. Z jej ust i nosa wysnuwają się pasemka dymu. - W dziewięciu dziesiątych prawo dotyczy własności.

Jak daleko sięgam pamięcią, na rodzinnych zjazdach wuj Walt zajmował się grillowaniem, ale w tym roku musiał zostawić to innym. Pamięć zaczęła mu wracać, ale pozostało drzenie dłoni i męczyło go dłuższe stanie. Posadziliśmy go w wielkim wygodnym fotelu obok paleniska, skąd przez całe popołudnie wytykał błędy w działalności mojego taty, który zajął jego miejsce. I miał chyba z tego taką samą frajdę, jak dawniej.

Kiedy skręciłem ku jamie paleniska z paczką pełną mięsa, zobaczyłem stojącego obok niej Hanlona. Pochylał się nad żarem obok mojego tatki, wciąż w tym swoim płaszczu przeciwdeszczowym, choć było tam piekielnie gorąco, a jedną dłoń oparł lekko o kratę. Gdy podszedłem bliżej, pozdrowił mnie skinieniem i zobaczyłem, że na dłoni ma kraciasty odcisk wypalony przez druty, jak na porządnie przysmażonym steku.

- Hej, TK, co jest na ogniu? - zapytał z uśmiechem. - Wiesz, że to jeszcze nie koniec? - Kciukiem i dwoma palcami ułożył dłoń w pistolet, jak babcia tego dnia, kiedy wracałem widmową drogą i wymierzył w plecy mojego taty. - Babach!

Zignorowałem go.

- Przypiekane kotlety - powiedziałem, stawiając skrzynkę na stole obok tatki. - Wrzuć je na ogień, zanim zaczną się psuć.

Tatko łypnął podejrzliwie w głąb skrzynki.

- Stu teksańskich kmiotów zjechało się na rodzinny zjazd, kiedy...

⁴² Klub 42 - istniejący w Austin klub zrzeszający miłośników rozmaitych form współzawodnictwa - na przykład rzucania na odległość zeschniętym krowim plackiem - nazwany tak od bardzo popularnej w Stanach dość nietypowej odmiany gry w domino (przyp. tłum.).

- Człowieku, gdyby się dowiedział, co naprawdę o nim myślisz, to by się załamał - stwierdził Hanlon.

Nadal nie zwracałem na niego uwagi. Duchy to w końcu tylko duchy. Tatko zapytał wuja Walta o najmłodszego, który grał na pozycji miotacza w Baylor.

- Idzie mu cholernie dobrze - stwierdził łaskawie wuj Walt. Po wypadku postarzał się na twarzy o dobre dziesięć lat i trzęsła mu się głowa. - Na razie rozegrali tylko kilka wstępnych meczów przed sezonem i w jednym trener wystawił go do gry, ale sprawił się całkiem nieźle. Z drugiej strony... nie sądzę, żeby miał widoki na karierę. Jak przyjdzie co do czego, wystawią starych wyjadaczy i posadzą go na ławie rezerwowych. Bryce łatwo się zniechęca. Ale rozegra kilka piłek, będzie miał trochę zabawy i możliwe, że profesorowie wbiją mu do głowy nieco wiedzy, jak nie będzie uważał.

Ruszyłem z powrotem do kuchni.

- Nie sądziłeś, że mnie tu zobaczysz, co? - zawołał za mną Hanlon.

- Należysz do rodziny - odpowiedziałem, nie odwracając głowy.

Po powrocie do pawilonu znalazłem drzwi opatrzone napisem CABALLEROS i wszedłszy do łazienki spryskałem twarz zimną wodą, jakbym chciał zmyć z niej smrodliwy dym Hanlona.

Wiosną 1996 zobaczyłem martwego człowieka grającego na koncercie Carolyn Wonderland. To było chyba podczas jej ostatniego występu w Last Concert Cafe, ale mogę się mylić. Stałem pomiędzy stolikami, ludzie kręcili się wokół mnie jak zwykle i zobaczyłem na proscenium tego martwego faceta grającego na gitarze, ale tak cicho, że prawie go nie słyszałem wśród brzęku butelek i stuków bil przy stołach do gry. Było to kilka tygodni po śmierci Jeffreya Lee Pierce z „Gun Club”.

Nie mógł to być on - Jeffrey pochodził z LA i większość swojego krótkiego życia spędził w Europie. Nie było żadnego sensownego powodu, dla którego miałby grać akurat w Houston. Ale facet na scenie był jasnowłosy, miał cienkie ręce i wyglądał na chorego. Wydawał się dziwnie pogodzony ze światem i sobą, jego gitara jakby mówiła, a on tylko słuchał i przekazywał, co ona ma do powiedzenia. Podoba mi się myśl, że Pierce znalazł wreszcie spokój. Był równie dobrym tekściarzem jak Cobain, ale nigdy nie zdobył sobie takiej sławy. Chyba nikt mu o tym nie powiedział.

Zanim stał się kimkolwiek, był założycielem i szefem fanów „Blondie”. Nikt o tym teraz nie wie.

Myślę, że jeżeli kiedykolwiek wrócę - no, spójrzmy prawdzie w oczy, to nie jest niemożliwe - to właśnie w ten sposób. Nie żeby kogoś skrzywdzić. Po prostu słuchać.

- Tak może być - powiedziała AJ.

Stała w lustrze łazienki i patrzyła na mnie.

- Hej - powiedziałem.

- Ty sam hej.

- Zacząłem myśleć o tym twoim przyjaciolem i o tym, co się z nim stało. Andy sprawdził to dla mnie. Wciąż siedzi w Huntsville. Zadzwoń do komisji zwolnień warunkowych; za półtora roku będą rozpatrywać jego sprawę. Ale wciąż nie mogę pojąć, czemu on to zrobił.

AJ popatrzyła na mnie znad swoich ciemnych okularów.

- Chcę powiedzieć, że musiał mieć jakiś powód. Nie, żeby to był powód wystarczający; żadnego morderstwa nie można usprawiedliwić. Ale... po prostu się zastanawiam.

Umyłem ręce.

Ostatnim razem, kiedy widziałem AJ, stała w oknie salonu Josie i widziała, jak niewiele brakowało, a zestrzeliłbym swoją byłą żonę.

- Wybaczasz ci - powiedziała AJ.

- Ja nie.

- Wiem.

- W porządku. - Chlusnąłem sobie wodą w twarz. - W porządku.

- Jesteś gotów?

- Jeszcze nie.

Jej oczy pełne były miłości. Wyciągnęła rękę i przyłożyła swoją zakrwawioną dłoń do lustra, jak wtedy, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy w łazience domu jej rodziców. Bądź wierny aż do śmierci, powiedziała, a dam ci koronę żywota. Rozdygotany wewnątrz podniosłem rękę i dotknąłem jej palców swoimi. Kiedy się zetknęły, poczułem zimno, nieskończone zimno szkła.

Czas stanął w miejscu.

Długo patrzyłem na jej twarz. Potem odjąłem dłoń od lustra i wyszedłem z tej łazienki.

Mam piętnaście lat, a rodzinny zjazd po raz pierwszy odbywa się nad jeziorem Conroe. Od prawie roku nie rozmawiałem z AJ. Przyjeżdża na motocyklu swojego chłopaka, obejmując go w pasie nagimi ramionami. Chciałem się z nią przywitać, ale ona go wszystkim przedstawia, a ja muszę poprowadzić poszukiwanie skarbów dla dzieciaków. Jestem zajęty aż do obiadu, a gdy wreszcie wszyscy siadają przy stołach, okazuje się, że tych dwoje już odjechało.

Nigdy nie wiadomo, kiedy się zdarzy ten ostatni raz.

W 1994 roku mieliśmy w Houston oberwanie chmury, w niecałe czterdzieści osiem godzin napadało dwadzieścia cali wody. Osiemnaście tysięcy ludzi zostało zalanych w swoich domach, a przepływająca przez środek miasta rzeka San Jacinto osiągnęła swój najwyższy poziom. Trzydziestu ludzi utonęło. Na domiar wszystkiego złego rzeka eksplodowała. Dwie gigantyczne rury, przez które płynęła szósta część paliwa dostarczanego do całych Stanów, znalazły się pod falami San Jacinto na głębokości trzech stóp. Burza naruszyła koryto rzeki i wtedy jakiś kawał złomu przebił jedną z rur. Na powierzchnię wypłynęło i zapaliło się dwieście tysięcy baryłek ropy i benzyny, tworząc ścianę ognia

płynącą z falami w tempie osiemdziesięciu mil na godzinę i niszczącą wszystko czego dotknęła. Chcę przez to powiedzieć, że jak gówno wylatuje w powietrze, powinieneś się domyślić, że pod pieprzoną rzeką była benzyna.

Mówię oczywiście o chłopaku AJ.

Benzyna pod powierzchnią rzeki.

Telefon oderwał mnie od stołu, na którym graliśmy w 42, dość skomplikowaną i pełną podstępów odmianę domina. Grałem w parze z kuzynem Andyym, a naszymi przeciwnikami byli wuj Chase i Sonia. Jedną z zasad Chase'a głosi, żeby nigdy nie pozwolić parze (małżeńskiej czy narzeczeńskiej) grać razem w domino lub karty - jak powiada, oszczędza to przyszłych sprzeczek. Chase ma dziewięćdziesiąt cztery lata, ale jest uznanym autorytetem w tej grze (i czterynastokrotnym mistrzem Turniejów Rodzinnych Zjazdów). Jeżeli idzie o Sonię, to choć w swoim Connecticut nie grywała w 42, to z pewnością wielokrotnie grywała tam w brydża. Oboje bezlitośnie nas ogrywali. Sonia, mająca na swoim koncie już wiele punktów i kilka pucharów ponczu, chełpiła się tym otwarcie, ale wuj Chase stwierdził, że to dlatego, iż on i jego partnerka siedzą podobnie blisko do najbliższej wazy.

- Will? - zawołała moja mama, omijając nie bez trudu stół, wokół którego rozsiedli się gracze w pinochle⁴³. - Pani Moreno mówi, że przy stole recepcyjnym masz jakiś telefon.

- Dobrze - stwierdził uradowany Andy. - No to kończymy.

Sonia ujęła jego ramię stalowymi kleszczami jednej dłoni i zwróciła się do mamy: - Suzan, czy nie zechciałabyś usiąść do gry razem z nami?

Mama, która postanowiła, że podczas tego rodzinnego zjazdu oswoi Sonię z rodziną albo umrze, próbując, oświadczyła głośno, że cieszy ją możliwość oderwania się na moment od kucharzenia. Andy łypnął na mnie z wyrzutem w oczach i zostawiłem go jego losowi.

W recepcji motelu kręcił się jakiś nieboszczyk, ale nie rozpoznałem w nim żadnego z krewniaków, ot, jakiś kmiot, który odchyliwszy głowę do tyłu gapił się na trofea - pozawieszane na ścianach wypchane ryby. Umieszczone pod nimi plakietki głosiły, że wszystkie co do jednej złowiono w płynącym nieopodal dopływie Little Blanco River, ale nie bardzo chciało mi się w to wierzyć, ponieważ jedną z nich był wspaniały okaz marlina. Podejrzewam, że i nieboszczyk mocno w to wątpił.

Zastanawiałem się, kto mógł tu do mnie zadzwonić. Cała moja rodzina była na miejscu razem ze mną. Pomyślałem jednak, że mógłby to być Lee informujący mnie, że moje mieszkanie się spaliło albo utonęło w bagnisku, ale wespół z Vicky zebrało im się chyba na jakiś romantyczny weekend na South Padre Island. Jednym słowem - tajemnica.

- Słucham - rzuciłem do słuchawki.

- Hej - Megan.

W sumie nie wiem, po co to wszystko piszę.

⁴³ Gra karciana, do której używa się dwu talii kart, zawierających razem 42 karty (przyp. tłum.).

- Hej - odpowiedziałem.

- Zadzwońłam do twojego mieszkania, ale nikt nie odpowiadał, więc zadzwoniłam do babci i automat mi powiedział, że wszyscy wyjechaliście na rodzinny zjazd ale też podał mi numer.

- Taaa... - moja mama bardzo dobrze sobie radziła z automatycznymi sekretarkami. Po stronie Megan odbiór był dość kiepski. Słyszałem w tle jakiś tłum i chyba fontannę. Hałasy typowe dla centrum handlowego, jak te w sekcji restauracyjnej. - Czy Don wie, że dzwonisz z jego komórki?

- On nigdy nie wykorzystuje tych premiowych minut na weekend - stwierdziła Megan. - Więc... były już te zawody w pluciu na odległość pestkami melonów?

- Będą za godzinę.

- To była moja najbardziej ulubiona część imprezy.

- Moja też.

Przecież chciałam tylko, żebyś tego nie spieprzył.

- Kocham cię - powiedziałem. Nieważne, co chciała mi napisać, to jej sprawa. Ale ja byłem już dorosły i powinienem dać jej do zrozumienia, że wcale się tym nie przejąłem.

- Taaa, wiem. Posłuchaj, posłałam ci list, który powinien dojść dziś albo jutro i będzie na ciebie czekał w domu, ale jak go dostaniesz, to nie czytaj, tylko wyrzuć, dobrze?

Duch w recepcji przystanął, żeby się pogapić na jakiegoś mającego trzy i pół stopy szczupaka, którego ktoś rzekomo wyciągnął z Little Blanco w 1978.

- Dobra - powiedziałem.

- Jak go pisałam, byłam wściekła, bo się pokłóciłam ze starymi i... a zresztą, to nieważne. Po prostu go wyrzuć, dobrze?

- Dobrze - powiedziałem.

- Obiecujesz?

- Obiecuję - odparłem. - Dobrze, że dzwonisz. Jak tam Kalifornia?

- W porządku. Tu są naprawdę wielkie drzewa.

- A co z koleżankami i kolegami? - zapytałem. - Dogadujesz się z nimi?

- Nie zapominaj, że jestem cwana - przypomniała mi Megan. - Zawsze ląduję na czterech łapach.

- Nie rezygnuj z gry w piłkę.

- Co? - zapytała ostro i z nagłą podejrzliwością w głosie.

- Większość dziewcząt w twoim wieku rezygnuje z takich rozrywek. Cały czas rozmawiają tylko o chłopakach, rezygnują z piłki i opuszczają się w matmie. A ty nie powinnaś tego robić, bo chłopaki... no cóż, nie są tego warci. Jeszcze nie teraz.

- Bez obaw. Chłopaki tylko się gapią na dziewczyny z wielkimi cycami. - Chwila milczenia.

- Uważasz, że jestem... ładna? - zapytała w końcu cichutko.

Poczułem nagłą i ostrą nienawiść do tych chłopaków, którzy się nie gapili na piersi mojej córki. Bycie ojcem to źródło nieustannych zaskoczeń.

- Kochanie, jesteś śliczna, przysięgam Bogu. Gdziekolwiek się zjawiasz, świat staje się piękniejszy. Nawet te głupie matoly już wkrótce to zauważą.

- Wiesz, to było moje życzenie. Tamtego dnia w Six Flags. Chciałam mieć duże cyce. - Pauza. - I nic z tego.

- No, balonikowe życzenia docierają do celu w cztery do sześciu miesięcy.

Parsknęła śmiechem i poczułem się jak wzorowy ojciec.

- Naprawdę?

- Pewnie. To nie jest jak przy spadających gwiazdach czy w wypadku Wróżki Zębuszki. Baloniarze mają zupełnie inny grafik doręczeń. - Uśmiechałem się do telefonu. - Więc mówisz, że dalej grasz? Naprawdę podobały mi się te mecze.

- Owszem, grałam tylko po to, żebyś się mógł napatrzeć. - Megan nieco się rozluźniła. - I chyba z tego nie zrezygnuję. Posłuchaj, muszę już kończyć. A teraz przejdźmy do rzeczy - powiedziała. - Powinieneś się zobaczyć z jakimś doradcą albo kimś takim.

Nie odpowiedziałem, że to zrobię, jak mi przyśle zdjęcie swojej drużyny, bo nie jej sprawą było zawieranie ze mną układów. Nie do niej należało troszczenie się o mnie.

- Muszę już iść - stwierdziłem. - Mam być sędzią w tym konkursie plucia. - To było kłamstwo.

- Te weekendowe minuty są chyba za darmo.

- Kocham cię - powiedziałem. Postarałem się, żeby to nie zabrzmiało zbyt poważnie. Zawsze ją kochałem, zawsze będę kochał i było to coś, czego nie trzeba wyrażać z emfazą. Nie oznajmia się z powagą o tym, że codziennie rano wstaje słońce. - Wiesz o tym, prawda?

- Wiem - odpowiedziała.

Rozłączyliśmy się.

Czas na wyznanie: kiedy Megan skończyła dziesięć lat, kupiłem jej kompakt „ABBA Greatest Hits”. Uwielbiała te melodie. Nadal mam przed oczami obraz mojej córeczki kołyszącej się na huśtawce w Hermann Park po wycieczce do zoo, wymachującej nogami i śpiewającej „Dancing Queen” ile sił w płucach, podczas gdy ja popychałem huśtawkę i robiłem za chórek. Prawda jest taka, że kiedy miałem dziesięć lat, też uwielbiałem te piosenki.

Wróciłem na łono rodziny, zastanawiając się, co jej posłać następnym razem.

Może płytę „Supertrampów”?

Mam sześć lat. Pierwszy piątek w pierwszej klasie. Powietrze śmierdzi płonącym plastykiem, a znad fabryki Philipsa, w której pracuje wuj Billy, unosi się chmura ciężkiego dymu. Chmura ciągle rośnie i jest w niej gdzieś wuj Billy, rozplywający się po brudnym niebie jak grudka cukru w szklance zmrożonej herbaty. Wszystkie rodziny w Deer Park zgromadziły się wokół telefonów.

Poza gronem najbardziej zatwardziały wielbicieli domino, wszyscy pozostali uczestnicy

rodzinych zjazdów uważają zawody w pluciu pestkami melonów za gwóźdź programu, ale tego popołudnia postanowiłem je sobie odpuścić. Odczekałem, aż cały klan zgromadzi się wokół naprędce zorganizowanego placu rozgrywek, a potem wymknąłem się poza teren motelu i przeszedłem pół mili ścieżką ku rzece. Jak na tę porę roku dzień był całkiem miły. Około czwartej po południu temperatura wynosiła dziewięćdziesiąt pięć, może sześć, stopni i wilgotność sięgała najwyżej sześćdziesięciu procent. Owszem, powietrze było odrobinę lepkie, ale nie jak nad patelnią Houston. Później, po zachodzie słońca, atmosfera miała się stać łagodna, ciepła i senna, ale na razie było jeszcze jasno. Promienie słońca ogrzewały pobliskie łąki, skąd niósł się ciepły zapach rozgrzanej trawy. Nieco dalej, nad zakurzoną drogą, pochylały się wysokie drzewa, dęby, buki i topole, a nad rzeką rosły wierzby, dość gęste, żeby zaćmić światło i zieleń na brzegach mojego pola widzenia, więc wszystko, na co patrzyłem, wydawało mi się czarno-białe.

Nad brzegiem rzeki ciągnęła się ścieżka. Skręciłem w nią i ruszyłem ku niewielkiej, zapamiętanej jeszcze z dzieciństwa i doskonale nadającej się do pływania zatoczce z wiszącą nad nią oponą do huśtania. Opona wciąż jeszcze tu wisiała - i był też wuj Billy, jak się tego zresztą spodziewałem. Za życia też nie lubił zawodów w pluciu pestkami.

Oczywiście był czarno-biały i martwy. Stał na płyciźnie, jakby czekał tam na mnie już od kilku dni. Od zawsze. - Hej - powiedziałem. Pod powierzchnią wolno płynącej wody widziałem jego stopy, białe jak biszkopty.

- ...krzyczę do ciebie, lecz ty mi nie odpowiadasz - powiedział z naciskiem w głosie - stoję, lecz ty nie zważasz na mnie⁴⁴.

To było podobne do wuja Billy'ego, którego pamiętałem. Zdjąwszy buty i skarpetki usiadłem w cieniu na korzeniu drzewa i zanurzyłem stopy w wodzie, płosząc śmigające po jej powierzchni nartniki.

- Czyż nie płakałem nad utrapionym przez los? - zapytał wuj Billy. - Czyż moja dusza nie ubolewała nad biednym? - Przez chwilę mierzył mnie groźnym spojrzeniem, a potem zerknął w dół i podwinął mankiety swojego kombinezonu Browna i Roota. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, a potem wuj nie wytrzymał i się uśmiechnął.

Chłodna woda pieściła moje stopy. Odpowiedziałem podobnym uśmiechem.

Wuj Billy wyciągnął dłoń, którą ująłem po chwili wahania. Wuj ruszył w nurt, pociągając mnie za sobą. Jego palce były lodowate niczym zimowy pył. Poszedłem za nim kilka kroków, a potem zatrzymałem się i rozejrzałem za AJ, wypatrując jej odbicia na powierzchni wody. Nie chciałem zostać wciągnięty w wody Little Blanco River i utopiony czy to przez ducha, czy przez moją własną skołataną osobowość. Nie zrobiłbym czegoś takiego wszystkim zebrany na rodzinnym zjeździe krewniakom.

Nigdzie żadnego znaku obecności AJ. Może wuj Billy miał własny sposób na odstraszenie AJ albo wciąż bawiła się na zjeździe, słuchając wrzasku dzieciaków lub gnębiąc Hanlona. Uderzyła mnie myśl, że to akurat jest całkiem prawdopodobne.

⁴⁴ Księga Hioba, 30, 20 (przyp. tłum.).

Dałem się Billy emu zaprowadzić jeszcze kilka kroków w głąb nurtu. Prąd był tu wciąż leniwy, ale ostatni krok był dość stromy. Wydałem cichy okrzyk zaskoczenia, bo nagle znalazłem się po jaja w wodzie. Ale po sekundzie się rozluźniłem. Chłód wody był miłą odmianą po dziennym upale. To uczucie było naprawdę przyjemne.

Billy sięgnął i ujął moją głowę w obie dłonie. Jednym ostrym szarpnięciem zwałił mnie do rzeki i trzymał przez chwilę, gdy ja szarpałem się i dławilem wodą, usiłując się uwolnić. W końcu pomógł mi wstać.

Wynurzyłem się, charcząc i klnąc. - Co jest, do kurwy nę... - zacząłem, ale zimne dłonie ponownie wciągnęły mnie w głąb. Tym razem zdołałem jednak w porę nabrać tchu i udało mi się go zatrzymać, dopóki Bill nie wypchnął mnie ponownie na powierzchnię. - Dam ci koronę życia - zagruchał.

Domyśliłem się, o co mu chodzi i przestałem się wyrywać. Zanurzył mnie łagodnie, jakby po raz trzeci przygotowywał mnie do chrztu. - Wiesz, że to nie działa na nas, niewierzących - powiedziałem, ale się nie opierałem. Jeżeli to go ma uszczęśliwić...

Nabrałem tchu w płuca i pozwoliłem głowie opaść w tył, zanurzając się pod powierzchnię rzeki. Nie zamykając oczu, patrzyłem przez chłodną wodę na płataninę gałęzi wierzb nade mną i przesączające się przez listowie światło. Miałem osobliwe uczucie, że nurt rzeki przepływa przez dziurę w mojej piersi, wypłukując ze mnie przez ranę wylotową smród dymu, krew i rozczarowanie, które plamiły wody Little Blanco jak ropa z przedziurawionej rury.

Odgłosy świata zewnętrznego dobiegały mnie mocno przytłumione przez szmer wody, która wokół mnie płakała, śmiała się i uskarżała. Było tak, jakbym słyszał głosy umarłych, czy to ukrytych w wodzie, czy zakopanych w ziemi.

Wynurzyłem się z głośnym wojennym okrzykiem, rozbryzgując wodę - i stwierdziłem, że świat się zmienił. Wszystko było wilgotne i barwne, jakby całą planetę niedawno pomalowano. Tuż obok mnie przeleciał kardynał, zmieniając nieustannie kierunek i wysokość, a jego purpurowy grzebień był jaskrawoczerwony jak czupryna Irokeza. Otaczające go liście wierzb ociekały blaskami słonecznego popołudnia. Świat skąpał się w kolorach; pnie drzew zabarwiły się na szary brąz z naciekami zielonego mchu, a otaczały je wachlarze zielonych paproci. A wspaniałe kolory rozigranych fal samej Little Bianco? Kiedy siadałem tu przed kilkoma chwilami, w cieniu pod ukorzenionym drzewem, rzeka miała barwę mrocznego, tajemniczego brązu... jakby nartniki ślizgały się po powierzchni minionych lat. Teraz, nieco dalej od brzegu, tam gdzie przez gałęzie i listowie wierzb przesączało się światło słońca, płynęła bursztynowa woda, jak mocny strumień mrożonej herbaty.

W odległości kilku jardów za nurtem była płycizna, cała skąpana w żółtym słonecznym świetle. Woda była tam czysta i przejrzysta jak szkło, a na usianym kamykami dnie migotały monety i cekiny.

Wuj Billy też się nasączył kolorem. Nie cały - jego ubranie nadal było szare, a skóra biała jak pieczarka - ale oczy miał brązowe i żywe jak bystro płynąca woda i widziałem czerwoną smugę opalenizny wokół jego szyi.

Nie bez zdziwienia odkryłem, że płaczę. Wuj Billy udał, że tego nie widzi. Obdarzył mnie tylko nieznacznym skinieniem głowy i ruszył ku brzegowi.

KONIEC